

Adam Mickiewicz

**PAN TADEUSZ**  
**czyli ostatni zajazd na Litwie**  
**Historia szlachecka**  
**z roku 1811 i 1812**  
**we dwunastu księgach wierszem**

**Księga I: Gospodarstwo**

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,  
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie  
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy  
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy  
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!  
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,  
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę  
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę  
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu  
Iść za wrócone życie podziękować Bogu),  
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.  
Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną  
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,  
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;  
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,  
Wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem;  
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,  
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,  
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą  
Zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą.  
Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,  
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,  
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;  
Świeciły się z daleka pobielane ściany,  
Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni  
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.  
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,  
I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi  
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może;  
Widać, że okolica obfita we zboże,  
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów  
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów  
Orzących wcześniej łany ogromne ugoru,  
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,

Uprawne dobrze na kształt ogrodowych grządek:  
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.  
Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,  
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek  
I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek,  
Wysiadł z powozu; konie, porzucone same,  
Szczypiąc trawę ciągnęły powoli pod bramę.  
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto  
Zaszczepkami, i kolkiem zaszczepki przetknięto.  
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,  
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.  
Dawno domu nie widział, bo w dalekim mieście  
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.  
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne  
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.  
Też same widzi sprzęty, też same obicia,  
Z którymi się zabawiać lubił od powicia;  
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały  
I też same portrety na ścianach wisiały.  
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma  
Podniesionymi w niebo, miecz oburącz trzyma;  
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,  
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,  
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie  
Siedzi Rejtan żałośny po wolności stracie,  
W rękę trzymna nóż, ostrzem zwrócony do łona,  
A przed nim leży Fedon i Żywot Katona.  
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posepny,  
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny,  
Stoją na szańcach Pragi, na stosach Moskali,  
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.  
Nawet stary stojący zegar kurantowy  
W drewnianej szafie poznał, u wniścia alkowy,  
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,  
By stary Dąbrowskiego posłyszeć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,  
Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.  
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice  
Po ścianach; w tej komnacie mieszkanie kobiece?  
Któż by tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty,  
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.  
To nie był ochmistrzyni pokój? Fortepiano?  
Na nim nuty i książki; wszystko porzucano  
Niedbale i beładnie; nieporządek miły!

Niestare były rączki, co je tak rzuciły.  
Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjęta  
Do ubrania, na krzesła poręczu rozpięta.  
A na oknach donice z pachnącymi ziołki,  
Geranium, lewkonija, astry i fijołki.  
Podróżny stanął w jednym z okien - nowe dziwo:  
W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą,  
Był maleńki ogródek, ścieżkami porznięty,  
Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty.  
Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płótek  
Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.  
Grządki, widać, że były świeżo polewane;  
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,  
Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki;  
Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzwiczki  
Świeżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki  
Na piasku, bez trzewika była i pończoszki;  
Na piasku drobnym, suchym, białym na kształt śniegu,  
Ślad wyraźny, lecz lekki, odgadniesz, że w biegu  
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnymi  
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,  
Wonnymi powiewami kwiatów oddychając,  
Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,  
Oczyrna ciekawymi po drożynach gonił  
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,  
Myślał o nich i, czyje były, odgadywał.  
Przypadkiem oczy podniósł, i tuż na parkanie  
Stała młoda dziewczyna. - Białe jej ubranie  
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,  
Odślaniając ramiona i łabędzią szyję.  
W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,  
W takim nigdy nie bywa od mężczyzn widziana;  
Więc choć świadka nie miała, założyła ręce  
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.  
Włos w pukle nie rozwity, lecz w węzłki małe  
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,  
Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku  
Świecił się, jak korona na świętych obrazku.  
Twarzy nie było widać, zwrócona na pole  
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;  
Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,  
Jak biały ptak zleciała z parkanu na błonie  
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,  
I po desce opartej o ścianę komnaty,  
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,

Nagła, cicha i lekka jak światłość miesiąca.  
Nucąc chwyciła suknie, biegła do zwierciadła;  
Wtem ujrzała młodzieńca i z rąk jej wypadła  
Suknia, a twarz ad strachu i dziwu pobladła.  
Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,  
Jak obłok, gdy z jutrzenką napotka się raną;  
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,  
Chciał coś mówić, przeproszać, tylko się ukłonił  
I cofnął; dziewica krzyknęła boleśnie,  
Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;  
Podróżny zląkł się, spójrzył, lecz już jej nie było,  
Wyszedł zmieszany i czuł, że serce mu biło  
Głośno, i sam nie wiedział, czy go miało śmieszyć  
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzic, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nie uszło baczności,  
Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.  
Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano,  
Jako w porządnym domu, i obrok, i siano:  
Bo Sędzia nigdy nie chciał, według nowej mody,  
Odsyłać konie gości Żydom do gospody.  
Słudzy nie wyszli witać, ale nie myśl wcale,  
Aby w domu Sędziego służono niedbale;  
Słudzy czekają, nim się pan Wojski ubierze,  
Który teraz za domem urządzał wieczerzę.  
On Pana zastępuje i on, w niebytności  
Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości  
(Daleki krewny pański i przyjaciel domu).  
Widząc gościa, na folwark dążył po kryjomu  
(Bo nie mógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie),  
Wdział więc, jak mógł najprędzej, niedzielne ubranie,  
Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,  
Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.

Pan Wojski poznał z dala, ręce rozkrzyżował  
I z krzykiem podróżnego ścisnął i całował;  
Zaczęła się ta prędką, zmieszana rozmowa,  
W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa  
Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,  
Wykrzykników i westchnień, i nowych powitań.  
Gdy się pan Wojski dosyć napytał, nabadał,  
Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

"Dobrze, mój Tadeuszu (bo tak nazywano  
Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano  
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził),  
Dobrze, mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził

Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.  
Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele;  
Jest z czego wybrać; u nas towarzystwo liczne  
Od kilku dni zbiera się na sądy graniczne,  
Dla skończenia dawnego z panem Hrabią sporu,  
I pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;  
Podkomorzy już zjechał z żoną i z córkami.  
Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,  
A starzy i kobiety żniwo oglądają  
Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.  
Pójdziemy, jeśli zechcesz, i wkrótce spotkamy  
Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy".

Pan Wojski z Tadeuszem idą pod las drogą  
I jeszcze się do woli nagadać nie mogą.

Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,  
Mniej silnie, ale szerzej niż we dnie świeciło,  
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze  
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze  
Na spoczynek powraca; już krąg promienisty  
Spuszcza się na wierzch boru i już pomrok mglisty,  
Napelniając wierzchołki i gałęzie drzewa,  
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;  
I bór czernił się na kształt ogromnego gmachu,  
Słońce nad nim czerwone jak pożar na dachu;  
Wtem zapadło do głębi; jeszcze przez konary  
Błysnęło, jako świeca przez okienic szpary,  
I zgasło. I wnet sierpy, gromadnie dzwoniące  
We zbożach, i grabliska suwane po łące  
Ucichły i stanęły: tak pan Sędzia każe,  
U niego ze dniem kończą prace gospodarze.  
"Pan świata wie, jak długo pracować potrzeba;  
Słońce, Jego robotnik, kiedy znidzie z nieba,  
Czas i ziemianinowi ustępować z pola".  
Tak zwykł mawiać pan Sędzia; a Sędziego wola  
Była ekonomowi pocziwemu świętą,  
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto  
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły;  
Cieszą się z nadzwyczajnej ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,  
Wesoło, lecz w porządku; naprzód dzieci małe  
Z dozorcą, potem Sędzia szedł z Podkomorzyną,  
Obok pan Podkomorzy otoczony rodziną;  
Panny tuż za starszymi, a młodzież na boku;  
Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku

(Tak każe przyzwoitość) ; nikt tam nie rozprawiał  
O porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał,  
A każdy mimowolnie porządku pilnował.  
Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował  
I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu  
Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu;  
"Tym łądem, mawiał, domy i narody słyną,  
Z jego upadkiem domy i narody giną".  
Więc do porządku wykli domowi i słudzy;  
I przyjezdny gość, krewny albo człowiek cudzy,  
Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,  
Przejmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego z synowcem witania,  
Dał mu poważnie rękę do pocałowania  
I w skroń ucałowawszy, uprzejmie pozdrowił;  
A choć przez wzgląd na gości niewiele z nim mówił,  
Widać było z łez, które wylotem kontusza  
Otarł prędko, jak kochał pana Tadeusza.

W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru,  
I z łąk, i z pastwisk razem wracało do dworu.  
Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy  
I wznosi chmurę pyłu; dalej z wolna kroczy  
Stado cielic tyrolskich z mosiężnymi dzwonki;  
Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki;  
Wszystko bieży ku studni, której ramię z drzewa  
Raz w raz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

Sędzia, choć utrudzony, chociaż w gronie gości,  
Nie uchybił gospodarskiej, ważnej powinności,  
Udał się sam ku studni; najlepiej z wieczora  
Gospodarz widzi, w jakim stanie jest obora;  
Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy,  
Bo Sędzia wie, że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z woźnym Protazym ze świecami w sieni  
Stali i rozprawiali, nieco poróżnieni,  
Bo w niebytność Wojskiego Woźny po kryjomu  
Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu  
I ustawić co prędzej w pośrodku zamczyska,  
Którego widne były pod lasem zwaliska.  
Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił  
I przeproszał Sędziego; Sędzia się zadziwił,  
Lecz stało się; już późno i trudno zaradzić,  
Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.  
Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył,

Dlaczego urządzenie pańskie przeinaczył:  
We dworze żadna izba nie ma obszerności  
Dostatecznej dla tylu, tak szanownych gości,  
W zamku sień wielka, jeszcze dobrze zachowana,  
Sklepienie całe - wprawdzie pękła jedna ściana,  
Okna bez szyb, lecz latem nic to nie zawadzi;  
Bliskość piwnic wygodna służącej czeladzi.  
Tak mówiąc na Sędziego mrugał; widać z miny,  
Że miał i tań inne, ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,  
Okazały budową, poważny ogromem,  
Dziedzictwo starożytnej rodziny Horeszków;  
Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszków.  
Dobra całe zniszczone sekwestrami rządu,  
Bezładnością opieki, wyrokami sądu,  
W części spadły dalekim krewnym po kądzieli,  
A resztę rozdzielono między wierzycieli.  
Zamku żaden wzięść nie chciał, bo w szlacheckim stanie  
Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie;  
Lecz Hrabia, sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,  
Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,  
Przyjechawszy z wojażu upodobał mury,  
Tłumacząc, że gotyckiej są architektury;  
Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tem,  
Że architekt był majstrem z Wilna, nie zaś Gotem.  
Dość, że Hrabia chciał zamku, właśnie i Sędziemu  
Przyszła nagle też chętka, nie wiadomo czemu.  
Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównym sądzie,  
W senacie, znowu w ziemstwie i w guberskim rządzie;  
Wreszcie po wielu kosztach i ukazach licznych  
Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał, że w zamkowej sieni  
Zmieści się i palestra, i goście proszeni.  
Sień wielka jak refektarz, z wypukłym sklepieniem  
Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,  
Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi;  
Sterczały wkoło sarnie i jelenie rogi  
Z napisami: gdzie, kiedy te łupy zdobyte;  
Tuż myśliwców herbowne klejnoty wyryte  
I stoi wypisany każdy po imieniu;  
Herb Horeszków, Półkozic, jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem;  
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;  
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,

Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.  
Przy nim stał Kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,  
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie;  
Mężczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli  
I chołodziec litewski milcząc żwawo jedli.

Pan Tadeusz, choć młodzik, ale prawem gościa  
Wysoko siadł przy damach obok Jegomościa;  
Między nim i stryjaszkiem jedno pozostało  
Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.  
Stryj nieraz na to miejsce i na drzwi poglądał,  
Jakby czyjgoś przyjścia był pewny i żądał.  
I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,  
I z nim na miejscu pustym oczy swe osadzał.  
Dziwna rzecz! miejsca wkoło są siedzeniem dziewic,  
Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,  
Wszystkie zacie zrodzone, każda młoda, ładna;  
Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna.  
To miejsce jest zagadką, młódź lubi zagadki;  
Roztargniony, do swojej nadobnej sąsiadki  
Ledwie słów kilka wyrzekł, do Podkomorzanki;  
Nie zmienia jej talerzów, nie nalewa szklanki,  
I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,  
Z których by wychowanie poznano stołeczne;  
To jedno puste miejsce nęci go i mami,  
Już nie puste, bo on je napelnił myślami.  
Po tym miejscu biegało domysłów tysiące,  
Jako po deszczu żabki po samotnej łące;  
Śród nich jedna króluje postać, jak w pogodę  
Lilia jezior skroń białą wznosząca nad wodę.

Dano trzecią potrawę. Wtem pan Podkomorzy,  
Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,  
A młodszej przysunąwszy z talerzem ogórki,  
Rzekł: "Muszę ja wam służyć, moje panny córki,  
Choć stary i niezgrabny". Zatem się rzuciło  
Kilku młodych od stołu i pannom służyło.  
Sędzia, z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza  
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,  
Nalał węgryzna i rzekł: "Dziś, nowym zwyczajem,  
My na naukę młodzież do stolicy dajem,  
I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki  
Mają od starych więcej książkowej nauki;  
Ale co dzień postrzegam, jak młódź cierpi na tem,  
Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem.  
Dawniej na dwory pańskie jachał szlachcic młody,  
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody,



Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana  
(Mówiąc, Podkomorzemu ścisnął za kolana);  
On mnie radą do usług publicznych sposobił,  
Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił.  
W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,  
Co dzień za duszę jego proszę Pana Boga.  
Jeślim tyle na jego nie korzystał dworze  
Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,  
Gdy inni, więcej godni Wojewody względów,  
Doszli potem najwyższych krajowych urzędów,  
Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu  
Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu  
W uczciwości, w grzeczności; a ja powiem śmiało,  
Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.  
Niełatwą, bo nie na tym kończy się, jak nogą  
Zręcznie wierzgnać, z uśmiechem witać lada kogo;  
Bo taka grzeczność modna zda mi się kupiecka,  
Ale nie staropolska ani też szlachecka.  
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;  
Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,  
I względ męża dla żony przy ludziach, i pana  
Dla sług swoich, a w każdej jest pewna odmiana.  
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić  
I każdemu powinna uczciwość wyrządzić.  
I starzy się uczyli; u panów rozmowa  
Była to historyja żyjąca krajowa,  
A między szlachtą dzieje domowe powiatu.  
Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,  
Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;  
Więc szlachcic obyczaj swe trzymał pod strażą.  
Dziś człowieka nie pytaj: co zaczął? kto go rodzi?  
Z kim on żył, co porabiał? każdy gdzie chce wchodzi,  
Byle nie szpieg rządowy i byle nie w nędzy.  
Jak ów Wespazyjanus nie wahał pieniędzy  
I nie chciał wiedzieć, skąd są, z jakich rąk i krajów,  
Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!  
Dość, że ważny i że się stempel na nim widzi,  
Więc szanują przyjaciół jak pieniądze Żydzi".

To mówiąc Sędzia gości obejrzał porządkiem;  
Bo choć zawsze i płynnie mówił, i z rozsądkiem,  
Wiedział, że niecierpliwa młodzież terazniejsza,  
Że ją nudzi rzecz długa, choć najwymowniejsza.  
Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiem;  
Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem,  
Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,  
Ale częstym skinieniem głowy potakiwał.

Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwał;  
Więc Sędzia jego puchar i swój kielich nalał  
I dalej mówił: "Grzeczność nie jest rzeczą małą:  
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,  
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,  
Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:  
Jak na szalach, żebyśmy nasz ciężar poznali,  
Musim kogoś posadzić na przeciwnej szali.  
Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnej  
Grzeczność, którą powinna młodź dla płci nadobnej ;  
Zwłaszcza gdy zacność domu, fortuny szczodroty  
Objaśniają wrodzone wdzięki i przymioty.  
Stąd droga do afektów i stąd się kojarzy  
Wspaniały domów sojusz - tak myśleli starzy.  
A zatem..." Tu pan Sędzia nagłym zwrotem głowy  
Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy,  
Znać było, że przychodził już do wniosków mowy.

Wtem brząknął w tabakierkę złotą Podkomorzy  
I rzekł: "Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!  
Teraz nie wiem, czy moda i nas starych zmienia,  
Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorzenia.  
Ach, ja pamiętam czasy, kiedy do Ojczyzny  
Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny!  
Gdy raptem paniczyki młode z cudzych krajów  
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,  
Prześladując w Ojczyźnie Boga, przodków wiare,  
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.  
Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,  
Gadających przez nosy, a często bez nosów,  
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,  
Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.  
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszczka;  
Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przepuszcza,  
Odbiera naprzód rozum od obywateli.  
I tak mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli,  
I zląkł ich się jak dżumy jakiej cały naród,  
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród;  
Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;  
Zmieniano wiare, mowę, prawa i ubiory.  
Była to maszkarada, zapustna swawola,  
Po której miał przyjść wkrótce wielki post - niewola!

Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecię,  
Kiedy do ojca mego w oszmiańskim powiecie  
Przyjechał pan Podczaszyc na francuskim wózku,  
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.

Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,  
Zazdrozczono domowi, przed którego progiem  
Staneła Podczaszyca dwukolna dryndulka,  
Która się po francusku zwała karyjulka.  
Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,  
A na kozłach niemczyko chude na kształt deski;  
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,  
W pończochach, ze srebrnymi klamrami trzewiki,  
Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.  
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,  
A chłopci żegnali się mówiąc: że po świecie  
Jeździ wenecki diabeł w niemieckiej karecie.  
Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo,  
Dosyć, że nam się zdawał małpą lub papugą,  
W wielkiej peruce, którą do złotego runa  
On lubił porównywać, a my do kołtuna.  
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie  
Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,  
Milczał; boby krzyczała młodzież, że przeszkadza  
Kulturze, że tamuje progresy, że zdradza!  
Taka była przesądów owoczesnych władza!

"Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,  
Cywilizować będzie i konstituować;  
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni  
Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi;  
Choć o tym dawno w Pańskim pisano zakonie  
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.  
Nauka dawną była, szło o jej pełnienie!  
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,  
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,  
Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.  
Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł markiza;  
Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,  
A natenczas tam w modzie był tytuł markiza.  
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,  
Tenże sam markiz przybrał tytuł demokraty;  
Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,  
Demokrata przyjechał z Paryża baronem;  
Gdyby żył dłużej, może nową alternatą  
Z barona przechrzciłby się kiedyś demokratą.  
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,  
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

"Chwała Bogu, że teraz jeśli nasza młodzież  
Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,  
Nie szukać prawodawstwa w drukarskich kramarniach

Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.  
Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,  
Nie daje czasu szukać mody i gawędki.  
Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosna,  
Że znowu o Polakach tak na świecie głośno;  
Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!  
Zawždy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.  
Tylko smutno, że nam, ach! tak się lata wleka  
W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!  
Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina!  
Ojczyźnie (ciszej rzekł do Bernardyna),  
Słyszałem, żeś z Niemna odebrał wiadomość;  
Może też co o naszym wojsku wie Jegomość?"  
"Nic a nic" odpowiedział Robak obojętnie  
(Widać było, że słuchał rozmowy niechętnie),  
"Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy  
Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy  
Bernardyńskie; cóż o tym gadać u wieczerzy?  
Są tu świeccy, do których nic to nie należy".

Tak mówiąc spojrział zyzem, gdzie wśród biesiadników  
Siedział gość Moskal; był to pan kapitan Ryków;  
Stary żołnierz, stał w bliskiej wiosce na kwaterze,  
Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.  
Ryków jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,  
Lecz na wzmiankę Warszawy rzekł podniósłszy głowę  
"Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy  
O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!  
He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a po polsku umiem,-  
Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!  
Wy Polaki, ja Ruski, teraz się nie bijem,  
Jest armistycjum, to my razem jemy, pijem.  
Często na awanpostach nasz z Francuzem gada,  
Pije wódkę; jak krzykną: ura! - kanonada.  
Ruskie przysłowie: z kim się biję, tego lubię;  
Gładź družkę jak po duszy, a bij jak po szubie.  
Ja mówię, będzie wojna u nas. Do majora  
Płuta adiutant sztabu przyjechał zawczora:  
Gotować się do marszu! Pójdziem, czy pod Turka,  
Czy na Francuza. Oj, ten Bonapart figurka!  
Bez Suworowa to on może nas wytuzi.  
U nas w pułku gadano, jak szli na Francuza,  
Że Bonapart czarował, no, tak i Suwarów  
Czarował; tak i były czary przeciw czarów.  
Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta!-  
A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta;  
Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,

Dalej drzeć pazurami, a Suwarów w kuca.  
Obaczcież, co się stało w końcu z Bonapartą..."  
Tu Ryków przerwał i jadł; wtem z potrawą czwartą  
Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba, przystojna i młoda;  
Jej zjawienie się nagle, jej wzrost i uroda,  
Jej ubiór zwrócił oczy; wszyscy ją witali,  
Prócz Tadeusza, widać, że ją wszyscy znali.  
Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,  
Suknię materyjalną, różową, jedwabną,  
Gors wycięty, kołnierzyk z koronek, rękawki  
Krótkie, w rękę kręciła wachlarz dla zabawki  
(Bo nie było gorąca); wachlarz pozłocisty  
Powiewając rozlewał deszcz iskier rześisty.  
Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,  
W pukle, i przeplatane różowymi wstęgi,  
Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,  
Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu,  
Słowem, ubiór galowy; szeptali niejedni,  
Że zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.  
Nózek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,  
Bo biegła bardzo szybko, suwała się raczej,  
Jako ósóbki, które na trzykrólskie święta  
Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.  
Biegła i wszystkich lekkim witając ukłonem  
Chciała usieść na miejscu sobie zostawionem.  
Trudno było; bo krzesel dla gości nie stało,  
Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało,  
Trzeba było rzed ruszyć lub ławę przeskoczyć;  
Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,  
A potem między rzędem siedzących i stołem,  
Jak bilardowa kula toczyła się kołem.  
W biegu dotknęła blisko naszego młodziana;  
Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana  
Pośliznęła się nieco i w tym roztargnieniu  
Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu.  
Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swym siadła  
Pomiędzy nim i stryjem, ale nic nie jadła;  
Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek  
Kręciła, to kołnierzyk z brabanckich koronek  
Poprawiała, to lekkim dotknięciem się ręki  
Muskiała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.  
Tymczasem w końcu stoła naprzód ciche szmery,  
A potem się zaczęły wpółgłośne rozmowy:

Meżczyźni rozsądzali swe dzisiejsze łowy.  
Asesora z Rejentem wzmogła się uparta,  
Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,  
Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił  
I utrzymywał, że on zająca pochwycił;  
Asesor zaś dowodził na złość Rejentowi,  
Że ta chwała należy chartu Sokołowi.  
Pytano zdania innych; więc wszyscy dokoła  
Brali stronę Kusego albo też Sokoła,  
Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.  
Sędzia na drugim końcu do nowej sąsiadki  
Rzekł półgłosem: "Przepraszam, musieliśmy siadać,  
Niepodobna wieczerzy na później odkładać:  
Goście głodni, chodzili daleko na pole;  
Myślałem, że dziś z nami nie będziesz przy stole".  
To rzekłszy, z Podkomorzym przy pełnym kielichu  
O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,  
Tadeusz przyglądał się nieznanej osobie;  
Przypomniał, że za pierwszym na miejsce wejrzeniem  
Odgadnął zaraz, czym miało być siedzeniem.  
Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie;  
Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!  
Więc było przeznaczono, by przy jego boku  
Usiadła owa piękność widziana w pomroku;  
Wprawdzie zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,  
Bo ubrana, a ubiór powiększa i zmniejsza.  
I włos u tamtej widział krótki, jasnozłoty,  
A u tej krucze, długie zwijały się sploty?  
Kolor musiał pochodzić od słońca promieni,  
Którymi przy zachodzie wszystko się czerwieni.  
Twarzy wówczas nie dostrzegł, nazbyt rychło znikła,  
Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła;  
Myślał, że pewnie miała czarniutkie oczęta,  
Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta;  
U tej znalazł podobne oczy, usta, lica;  
W wieku może by była największa różnica:  
Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,  
A pani ta niewiastą już w latach dojrzałą;  
Lecz młodzież o piękności metrykę nie pyta,  
Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta,  
Chłopcowi każda piękność zda się rówiennicą,  
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Tadeusz, chociaż liczył lat blisko dwadzieście  
I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkim mieście,

Miał za dozorcę księdza, który go pilnował  
I w dawnej surowości prawidłach wychował.  
Tadeusz zatem przywiózł w strony swe rodzinne  
Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;  
Ale razem miała chętkę do swywoli.  
Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli  
Używać na wsi długo wzbronionej swobody;  
Wiedział, że był przystojny, czuł się rześki, młody,  
A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.  
Nazywał się Soplica; wszyscy Soplicowie  
Są, jak wiadomo, krzepcy, otyli i silni,  
Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni.

Tadeusz się od przodków swoich nie odrodził:  
Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,  
Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,  
Choć stryj na wychowanie niczego nie skąpił.  
On wolał z flinty strzelać albo szablą robić;  
Wiedział, że go myślano do wojska sposobić,  
Że ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;  
Ustawicznie do bębna tęsknił siedząc w szkole.  
Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,  
Kazał, aby przyjechał i aby się żenił,  
I objął gospodarstwo; przyrzekł na początek  
Dać małą wieś, a potem cały swój majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety  
Ściągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety  
Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,  
Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,  
I w twarz spójrzała, z której wytryskał rumieniec,  
Ileż z jej oczyma spotkał się młodzieniec:  
Bo z pierwszej lekliwości całkiem już ochłonał  
I patrzył wzrokiem śmiałym, w którym ogień płonął;  
Również patrzyła ona, i cztery źrenice  
Gorzały przeciw sobie jak roratne świece.

Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę;  
Wracał z miasta, ze szkoły; więc o książki nowe,  
O autorów pytała Tadeusza zdania  
I ze zdań wyciągała na nowo pytania;  
Cóż, gdy potem zaczęła mówić o malarstwie,  
O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie!  
Dowiodła, że zna równie pędzel, nuty, druki;  
Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki,  
Lękał się, by nie został pośmiewiska celem,  
I jąkał się jak zaczął przed nauczycielem.

Szczęściem, że nauczyciel ładny i niesrogi;  
Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,  
Wszczęła rzecz o mniej trudnych i mądrych przedmiotach:  
O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,  
I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,  
By życie uprzyjemnić i wieś rozweselić.  
Tadeusz odpowiadał śmieiej, szła rzecz dalej,  
W pół godziny już byli z sobą poufali;  
Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.  
W końcu, stawiała przed nim trzy z chleba gałeczki,  
Trzy osoby na wybór; wziął najbliższą sobie;  
Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie,  
Sąsiadka zaśmiała się, lecz nie powiedziała,  
Kogo owa szczęśliwsza gałka oznaczała.

Inaczej bawiono się w drugim końcu stoła,  
Bo tam wzmógłszy się nagle stronnicy Sokoła  
Na partyję Kusego bez litości wsiedli:  
Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli.  
Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,  
A najstraszniej pan Rejent był zaciętrzewiony.  
Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoją tokował  
I gestami ją bardzo dobitnie malował.  
(Był dawniej adwokatem pan rejent Bolesta,  
Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta).  
Teraz ręce przy boku miał, w tył wygiął łokcie,  
Spod ramion wytknął palce i długie paznokcie,  
Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem;  
Właśnie rzecz kończył: "Wyczha! puściliśmy razem  
Ja i Asesor, razem, jakoby dwa kurki  
Jednym palcem spuszczone u jednej dwururki;  
Wyczha! poszli, a zając jak struna smyk w pole,  
Psy tuż (to mówiąc, ręce ciągnął wzdłuż po stole  
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał),  
Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał;  
Sokoł smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec,  
Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec;  
Wiedziałem, że spodłuje; szarak, gracz nie lada,  
Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada;  
Gracz szarak! skoro poczuł wszystkie charty w kupie,  
Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,  
A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,  
Psy za nim fajt na lewo, on w las, a mój Kusy  
Cap !!!" Tak krzycząc pan Rejent, na stół pochyłony,  
Z palcami swymi zabiegł aż do drugiej strony  
I "cap!" Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem;  
Tadeusz i sąsiadka, tym głosu wybuchem



Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,  
Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy,  
Jako wierzchołki drzewa powiązane spodem,  
Gdy je wichur rozerwie; i ręce pod stołem  
Blisko siebie leżące wstecz nagle uciekły,  
I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.  
Tadeusz, by nie zdradzić swego roztargnienia:  
"Prawda, rzekł, mój Rejencie, prawda, bez wątpienia  
Kusy piękny chart z kształtu, jeśli równie chwytny..."  
"Chwytny? krzyknął pan Rejent, mój pies faworytny  
Żeby nie miał być chwytny?" Więc Tadeusz znowu  
Cieszył się, że tak piękny pies nie ma narowu,  
Żałował, że go tylko widział idąc z lasu  
I że przymiotów jego poznać nie miał czasu.  
Na to zadrżał Asesor, puścił z rąk kieliszek,  
Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliiszek.  
Asesor mniej krzykliwy i mniej był ruchawy  
Od Rejenta, szczuplejszy i mały z postawy,  
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,  
Bo powiadano o nim: ma żądło w języku.  
Tak dowcipne żarciki umiał komponować,  
Iżby je w kalendarzu można wydrukować:  
Wszystkie złośliwe, ostre. Dawniej człek dostatni,  
Schedę ojca swojego i majątek bratni,  
Wszystko strwonił, na wielkim figurując świecie;  
Teraz wszedł w służbę rządu, by znaczyć w powiecie  
Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,  
Już to że odgłos trąbki i widok obławy  
Przypominał mu jego lata młodociane,  
Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane;  
Teraz mu z całej psiarni dwa charty zostały,  
I jeszcze z tych jednemu chciano przeczyć chwały.  
Więc zbliżył się i z wolna gładząc faworyty,  
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:  
"Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu,  
Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu,  
A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?  
Zresztą zdać się możemy na sąd Pańskiej cioci.  
Choć pani Telimena mieszkała w stolicy  
I bawi się niedawno w naszej okolicy,  
Lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi:  
Tak to nauka sama z latami przychodzi".

Tadeusz, na którego niespodzianie spadał  
Grom taki, wstał zmieszany, chwilę nic nie gadał,  
Lecz patrzył na rywala coraz straszniej, srożej...  
Wtem, wielkim szczęściem dwakroć kichnął Podkomorzy.

"Wiwat!" krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił  
I z wolna w tabakierę palcami zadzwonił:  
Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,  
A w środku jej był portret króla Stanisława.  
Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,  
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował;  
Gdy w nią dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać;  
Umilkli wszyscy i ust nie śmieli otwierać.  
On rzekł: "Wielmożni Szlachta, Bracia Dobrodzieje!  
Forum myśliwskim tylko są łąki i knieje,  
Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję  
I posiedzenie nasze na jutro solwuję.  
I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę;  
Woźny! odwołaj sprawę na jutro na pole.  
Jutro i Hrabia z całym myślistwem tu zjedzie,  
I Waszec z nami ruszysz, Sędzio, mój sąsiedzie,  
I pani Telimena, i panny, i panie,  
Słowem, zrobim na urząd wielkie polowanie;  
I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi".  
To mówiąc tabakierę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział,  
Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,  
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,  
Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.  
On milczał, szczyptę wziętą z tabakiery ważył  
W palcach i długo dumał, nim ją w końcu zażył;  
Kichnął, aż cała izba rozległa się echem,  
I potrząsając głową rzekł z gorzkim uśmiechem:  
"O, jak mnie to starego i smuci, i dziwi!  
Cóż by to o tym starzy mówili myśliwi,  
Widząc, że w tylu szlachty, w tylu panów gronie  
Mają sądzić się spory o charcim ogonie?  
Cóż by rzekł na to stary Rejtan, gdyby ożył?  
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!  
Co by rzekł wojewoda Niesiołowski stary,  
Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary  
I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,  
I ma sto wozów sieci w zamku Woronczańskim,  
A od tylu lat siedzi jak mnich na swym dworze?  
Nikt go na polowanie uprosić nie może;  
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!  
Bo cóż by on na waszych polowaniach łowił?  
Piękna byłaby sława, ażeby pan taki  
Wedle dzisiejszej mody jeździł na szaraki!  
Za moich, panie, czasów, w języku strzeleckim  
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem szlacheckim,

A zwierzę nie mające kłów, rogów, pazurów  
Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów;  
Żaden pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki  
Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śrut cienki!  
Trzymano wprawdzie chartów, bo z łowów wracając,  
Trafia się, że spod konia mknie się biedak zając;  
Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze  
I na konikach małe goniły panicze  
Przed oczami rodziców, którzy te pogonie  
Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!  
Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy  
Odwołać swe rozkazy, i niech mi wybaczy,  
Że nie mogę na takie jechać polowanie  
I nigdy na nim noga moja nie postanie!  
Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha  
Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha".

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył,  
Wstano od stołu; pierwszy Podkomorzy ruszył,  
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;  
Za nim szedł Kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,  
Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,  
Tadeusz Telimienie, Asesor Krajczance,  
A pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszance.

Tadeusz z kilku gośćmi poszedł do stodoły,  
A czuł się pomieszany, zły i niewesoły,  
Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki,  
Spotkanie się, wieczerzę przy boku sąsiadki,  
A szczególnie mu słowo "ciocia" koło ucha  
Brzęczało ciągle jako naprzykrzona mucha.  
Pragnąłby u Woźnego lepiej się wypytać  
O pani Telimienie, lecz go nie mógł schwytać;  
Wojskiego też nie widział, bo zaraz z wieczerzy  
Wszyscy poszli za gośćmi, jak sługom należy,  
Urządzając we dworze izby do spoczynku.  
Starsi i damy spały we dworskim budynku,  
Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano,  
W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

W pół godziny tak było głucho w całym dworze  
Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;  
Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.  
Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu nie zmrzuża:  
Jako wódz gospodarstwa obmyśla wyprawę  
W pole, i w domu przyszlą urządza zabawę.

Dał rozkaz ekonomom, wójtom i gumiennym,  
Pisarzom, ochmistrzyni, strzelcom i stajennym,  
I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać,  
Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.  
Woźny pas mu odwiązał, pas słucki, pas lity,  
Przy którym świecą gęste kutasy jak kity,  
Z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty,  
Na wywrót jedwab czarny, posrebrzany w kraty;  
Pas taki można równie kłaść na strony obie,  
Złotą na dzień galowy, a czarną w żalobie.  
Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;  
Właśnie tym się zatrudniał i kończył tak gadać:

"Cóż złego, że przeniosłem stoły do zamczyska?  
Nikt na tym nic nie stracił, a Pan może zyska,  
Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa.  
My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,  
I mimo całą strony przeciwnej zajadłość  
Dowiodę, że zamczysko wzięliśmy w posiadłość  
Wszakże kto gości prosi w zamek na wieczerzę,  
Dowodzi, że posiadłość tam ma albo bierze;  
Nawet strony przeciwne weźwiemy na świadki:  
Pamiętam za mych czasów podobne wypadki".

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,  
Siadł przy świecy i dobył książeczkę z kieszeni,  
Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,  
Której nigdy nie rzuca w domu i w podróży.  
Była to trybunalska wokanda: tam rzędem  
Stały spisane sprawy, które przed urzędem  
Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał  
Albo o których później dowiedzieć się zdołał.  
Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem,  
Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.  
Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,  
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogirdem,  
Radziwiłł z Wereszczaką, Giedrojcie z Rdułtowskim,  
Obuchowicz z kahałem, Juraha z Piotrowskim,  
Maleski z Mickiewiczem, a na koniec Hrabia?  
Z Soplicą: i czytając, z tych imion wywabia  
Pamięć spraw wielkich, wszystkie procesu wypadki,  
I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;  
I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym,  
W granatowym kontuszu stał przed trybunałem,  
Jedną ręką na szabli, a drugą do stoła  
Przywoławszy dwie strony: "Uczyszcie się!" woła.  
Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału

Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w one lata  
Śród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata  
We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny,  
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,  
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,  
Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych,  
Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,  
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabor  
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tylu,  
Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu  
Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów  
Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,  
Które broniły Litwę murami żelaza  
Przed wieścią dla Rosyi straszną jak zaraza.  
Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba,  
Spadała w Litwę; nieraz dziad żebrzący chleba,  
Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,  
Stanął i oczy wkoło obracał ostróżne.  
Gdy nie widział we dworze rosyjskich żołnierzy  
Ani jarmulek, ani czerwonych kołnierzy,  
Wtenczas, kim był, wyznawał: był legijonistą,  
Przynosił kości stare na ziemię ojczystą,  
Której już bronić nie mógł. - Jak go wtenczas cała  
Rodzina pańska, jak go czeladka ścisłała  
Zanosząc się od płaczu! On za stołem siadał  
I dziwniejsze od baśni historyje gadał.  
On opowiadał, jako generał Dąbrowski  
Z ziemi włoskiej stara się przyciągnąć do Polski,  
Jak on rodaków zbiera na Lombardzkim polu;  
Jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu  
I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów  
Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;  
Jak Jabłonowski zabiegł, aż kędy pieprz rośnie,  
Gdzie się cukier wytapia i gdzie w wiecznej wiośnie  
Pachnące kwitną lasy; z legiją Dunaju  
Tam wódz Murzyny gromi, a wzdycha do kraju.

Mowy starca krążyły we wsi po kryjomu;  
Chłopiec, co je posłyszał, zniknął nagle z domu,  
Lasami i bagnami skradał się tajemnie,  
Ścigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie  
I nurkiem płynął na brzeg Księstwa Warszawskiego,  
Gdzie usłyszał głos miły: "Witaj nam, kolego!"  
Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek z kamienia  
I Moskałom przez Niemen rzekł: "Do zobaczenia!"

Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,  
Piotrowski, Obolewski, Rożycki, Janowicz,  
Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,  
Kupść, Gedymin i inni, których nie policzę;  
Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,  
I dobra, które na skarb carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru  
Przyszedł, i kiedy bliżej poznał panów dworu,  
Gazetę im pokazał wyprutą z szkaplerza;  
Tam stała wypisana i liczba żołnierza,  
I nazwisko każdego wodza legijonu,  
I każdego z nich opis zwycięstwa lub zgonu.  
Po wielu latach pierwszy raz miała rodzina  
Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna;  
Brał dom żałobę, ale powiedziec nie śmiano,  
Po kim była żałoba, tylko zgadywano  
W okolicy; i tylko cichy smutek panów  
Lub cicha radość była gazetą ziemianów.

Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno:  
Często on z panem Sędzią rozmawiał osobno;  
Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina  
Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać Bernardyna  
Wydawała, że mnich ten nie zawsze w kapturze  
Chodził i nie w klasztornym zestarzał się murze.  
Miał on nad prawym uchem, nieco wyżej skroni,  
Bliznę wyciętej skóry na szerokość dłoni  
I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału,  
Ran tych nie dostał pewnie przy czytaniu mszału.  
Ale nie tylko groźne wejrzenie i blizny,  
Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.

Przy mszy, gdy z wzniesionymi zwracał się rękami  
Od ołtarza do ludu, by mówić: "Pan z wami",  
To nieraz tak się zręcznie skręcił jednym razem,  
Jakby prawo w tył robił za wodza rozkazem,  
I słowa liturgiji takim wyrzekł tonem  
Do ludu, jak oficer stojąc przed szwadronem.  
Postrzegali to chłopcy służący mu do mszy.  
Spraw także politycznych był Robak świadomszy  
Niżli żywotów Świętych, a jeżdżąc po kweście,  
Często zastanawiał się w powiatowym mieście;  
Miał pełno interesów: to listy odbierał,  
Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,  
To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co,  
Nie powiadał; częstokroć wymykał się nocą

Do dworów pańskich, z szlachtą ustawicznie szeptał  
I okoliczne wioski dokoła wydeptał,  
I w karczmach z wieśniakami rozprawiał niemało,  
A zawsze o tym, co się w cudzych krajach działo.  
Teraz Sędziego, który już spał od godziny,  
Przychodzi budzić; pewnie ma jakieś nowiny.

## Księga II: Zamek

Kto z nas tych lat nie pomni, gdy, młode pachole,  
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole,  
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nie utrudza,  
Gdzie przestępując miedzę nie poznasz, że cudza!  
Bo na Litwie myśliwiec, jak okręt na morzu,  
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu!  
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku  
Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,  
Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha  
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,  
Bo on szybuje w trawie jako szczupak w Niemnie;  
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,  
Również głęboko w niebie schowany skowronek;  
Ówdzie orzeł szerokim skrzydłem przez obszary  
Zaszumiął, strasząc wróble jak kometa cary;  
Zaś jastrząb, pod jasnymi wiszący błękitny,  
Trzepie skrzydłem jak motyl na szpilce przybity,  
Aż ujrawszy wśród łąki ptaka lub zająca,  
Runie nań z góry jako gwiazda spadająca.  
Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli  
I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli,  
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,  
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;  
Nie znać innych prócz kosy i sierpa rynsztunków,  
I innych gazet oprócz domowych rachunków!

Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło  
Na strzechy, i przez szpary w stodołę się wkradło;  
I po ciemnozielonym, świeżym, wonnym sianie,  
Z którego młodzież sobie zrobiła posłanie,  
Rozpływały się złote, migające pręgi  
Z otworu czarnej strzechy, jak z warkocza wstęgi;  
I słońce usta sennych promykiem poranka  
Drażni, jak dziewczę kłosem budzące kochanka.  
Już wróble skacząc świerkać zaczęły pod strzechą,  
Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim jak echo  
Odezwały się chorem kaczki i indyki,  
I słyhać bydła w pole idącego ryki.

Wstała młodzież, Tadeusz jeszcze senny leży,  
Bo też najpóźniej zasnął; z wczorajszej wieczery  
Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu  
Jeszcze oczu nie zmrużył, a na swym posłaniu



Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,  
I spał twardo, aż zimny wiatr w oczy mu wionął,  
Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto z traskiem  
I bernardyn ksiądz Robak wszedł z wężlastym paskiem,  
"Surge, puer!" wołając i ponad barkami  
Rubasznie wywijając pasek z ogórkami.

Już na dziedzińcu słyhać myśliwskie okrzyki,  
Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,  
Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie,  
Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;  
Zgraja chartów, wypadłszy, wesoło skowycze;  
Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,  
Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,  
Potem biegą i kładą szyje na obroże:  
Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;  
Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.

Ruszyli szczwacze z wolna, jeden tuż za drugim,  
Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim;  
W środku jechali obok Asesor z Rejentem,  
A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,  
Rozmawiali przyjaźnie, jak ludzie honoru  
Idąc na rozstrzygnięcie śmiertelnego sporu;  
Nikt ze słów zawziętości ich poznać nie zdoła;  
Pan Rejent wiódł Kusego, Asesor Sokoła.  
Z tyłu damy w pojazdach, młodzieńcy stronami  
Czwałując tuż przy kołach gadali z damami.

Ksiądz Robak po dziedzińcu wolnym chodził krokiem  
Kończąc ranne pacierze; ale rzucał okiem  
Na pana Tadeusza, marszczył się, uśmiechał,  
Wreszcie kiwnął nań palcem, Tadeusz podjechał;  
Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby:  
Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby,  
Ażeby mu wyraźnie, co chce, wytłumaczył,  
Bernardyn odpowiedzieć ni spójrzeć nie raczył,  
Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył;  
Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.

Właśnie wtenczas myśliwi smycze zatrzymali  
I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;  
Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,  
A wszyscy obrócili oczy do kamienia,  
Nad którym stał pan Sędzia; on zwierza obaczył  
I ręk skinieniem swoje rozkazy tłumaczył.  
Pojęli wszyscy, stoją, a środkiem po roli

Asesor i pan Rejent kłusują powoli;  
Tadeusz, będąc bliższy, obudwu wyprzedził,  
Stanął obok Sędziego i oczyma śledził:  
Dawno już nie był w polu; na szarej przestrzeni  
Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.  
Pokazał mu pan Sędzia; siedział biedny zając  
Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,  
Okiem czerwonym spotkał myśliwców wejrzenie  
I jakby urzeczony, czując przeznaczenie,  
Ze strachu od ich oczu nie mógł zwrócić oka  
I pod opoką siedział martwy jak opoka.  
Tymczasem kurz na roli rośnie coraz bliżej,  
Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokoł chyży,  
Tuż Asesor z Rejentem, razem wrzaśli z tyłu:  
"Wyczha! wyczha!" i z psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem  
Ukazał się pan Hrabia pod zamkowym lasem.  
Wiedziano w okolicy, że ten pan nie może  
Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonej porze.  
I dziś zaspął poranek, więc na sługi zrzędził,  
Widząc myśliwców w polu, cwałem do nich pędził;  
Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,  
Połami na wiatr puścił; z tyłu konno sługi  
W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśniących, małych,  
W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych;  
Sługi, które pan Hrabia tym kształtem odzieje,  
Nazywają się w jego pałacu dżokeje.  
Czwałująca czereda zleciała na błonia,  
Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.  
Pierwszy raz widział zamek z rana i nie wierzył,  
Że to były też same mury, tak odświeżył  
I upiękniał poranek zarysy budowy;  
Zadziwił się pan Hrabia na widok tak nowy.  
Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca  
Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,  
Pod nim błyszczała w kratkach reszta szyb wybitych,  
Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych;  
Niższe piętra oblała tumanu powłoka,  
Rozpadliny i szczyby zakryła od oka.  
Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany  
Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:  
Przysięgłbyś, że krzyk z zamku, że pod mgły zasłona  
Mury odbudowano i znów zaludniono.

Hrabia lubił widoki niezwykle i nowe,  
Zwał je romansowymi; mawiał, że ma głowę

Romansową; w istocie był wielkim dziwakiem.  
Nieraz, pędząc za lisem albo za szarakiem,  
Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie  
Jak kot, gdy ujrzy wróble na wysokiej sośnie;  
Często bez psa, bez strzelby błakał się po gaju  
Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju  
Nieruchomy, schyliwszy głowę nad potokiem,  
Jak czapla wszystkie ryby chcącą pozrzeć okiem.  
Takie były Hrabiego dziwne obyczaje;  
Wszyscy mówili, że mu czegoś nie dostaje.  
Szanowano go przecież, bo pan z prapradziadów,  
Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów,  
Nawet dla Żydów.  
Hrabski koń, zwrócony z drogi,  
Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.  
Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,  
Wyjął papier, ołówek i kreślił figury.  
Wtem, spójrzawszy w bok, ujrzał o dwadzieście kroków  
Człowieka, który, równie miłośnik widoków,  
Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,  
Zdawało się, że liczył oczyma kamienie.  
Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy  
Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.  
Szlachcic to był, służący dawnych zamku panów,  
Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;  
Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,  
Marszczkami pooraną, posepną, surową.  
Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości sływał;  
Ale od bitwy, w której dziedzic zamku zginął,  
Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu  
Ani był na kiermaszu, ani na weselu;  
Odtąd jego dowcipnych żartów nie słyszano  
I uśmiechu na jego twarzy nie widziano.  
Zawsze nosił Horeszków liberyją dawną,  
Kurtę z połami żółtą, galonem oprawną,  
Który dziś żółty, dawniej zapewne był złoty.  
Wkoło szyte jedwabiem herbowne klejnoty,  
Półkozice, i stąd też cała okolica  
Półkozicem przeważała starego szlachcica.  
Czasem też od przysłowia, które bez ustanku  
Powtarzał, nazywano go także Mopanku;  
Czasem Szczerbem, że całą łysinę miał w szczerbach;  
Lecz on zwał się Rębajło, a o jego herbach  
Nie wiadomo. Klucznikiem siebie tytułował,  
Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.  
I dotąd nosił wielki pęk kluczków za pasem,  
Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.

Choć nie miał co otwierać, bo zamku podwoje  
Stały otworem; przecież wynalazł drzwi dwoje,  
Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,  
I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.  
W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie;  
Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,  
Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,  
Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowym.

Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił  
I krewnego swych panów ukłonem zaszczycił,  
Chyląc łysinę wielką, świecącą z daleka  
I naciętą od licznych kordów jak nasięka;  
Gładził ją ręką, podszedł i jeszcze raz nisko  
Skłoniwszy się, rzekł smutnie: "Mopanku, Panisko,-  
Daruj mi, że tak mówię, Jaśnie Grafie Panie,  
To jest mój zwyczaj, nie zaś nieuszanowanie:  
"Mopanku" powiadali wszyscy Horeszkowie,  
Ostatni Stolnik, pan mój, miał takie przysłowie;  
Czyż to prawda, Mopanku, że Pan grosza skąpisz  
Na proces i ten zamek Soplicom ustąpisz?  
Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słychać"  
Tu, poglądając w zamek, nie przestawał wzdychać.

"Cóż dziwnego? rzekł Hrabia, koszt wielki, a nuda  
Jeszcze większa; chcę skończyć, lecz szlacheć maruda.  
Upiera się; przewidział, że mię znudzić może:  
Dłużej też nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,  
Przyjmę warunki zgody, jakie mi sąd poda".  
"Zgody? krzyknął Gerwazy, z Soplicami zgoda?  
Z Soplicami, Mopanku?" - To mówiąc wykrzywił  
Usta, jakby nad własną mową się zadziwił.  
"Zgoda i Soplicowie! Mopanku, Panisko,  
Pan żartuje, co? Zamek, Horeszków siedlisko,  
Ma pójść w ręce Sopliców? niech Pan tylko raczy  
Zsiąść z konia, pódźmy w zamek, niech no Pan obaczy,  
Pan sam nie wie, co robi; niech się Pan nie wzbrania,  
Zsiadaj Pan! " - i przytrzymał strzemień do zsiadania.

Weszli w zamek; Gerwazy stanął w progu sieni:  
"Tu, rzekł, dawni panowie, dworem otoczeni,  
Często siadali w krzesłach w poobiedniej porze.  
Pan godził spory włościan; lub w dobrym humorze  
Gościom różne ciekawe historyje prawił,  
Albo ich powieściami i żarty się bawił,  
A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty

Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty".  
Weszli w sień. - Rzekł Gerwazy: "W tej ogromnej sieni  
Brukowanej nie znajdziesz Pan tyle kamieni,  
Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;  
Szlachta ciągnęła kufy z piwnicy na pasach,  
Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,  
Albo na imieniny pańskie, lub na łowy.  
Podczas uczyty na chorze tym kapela stała  
I w organ i w rozliczne instrumenty grała;  
A gdy wnoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym  
Grzmiały z choru; wiwaty szły ciągiem porządnym:  
Pierwszy wiwat za zdrowie króla Jegomości,  
Potem prymasa, potem królowej Jejmości,  
Potem szlachty i całej Rzeczypospolitej;  
A na koniec, po piątej szklenicy wypitej,  
Wnoszono: Kochajmy się! wiwat bez przestanku,  
Który, dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku;  
A już gotowe stały cugi i podwody,  
Aby każdego odwieźć do jego gospody".

Przeszli już kilka komnat; Gerwazy w milczeniu  
Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,  
Przywołując pamiętkę tu smutną, tam miłą;  
Czasem, jakby chciał mówić: "Wszystko się skończyło",  
Kiwnął żałośnie głową; czasem machnął ręką.  
Widać, że mu wspomnienie samo było męką  
I że je chciał odpędzić; aż się zatrzymali  
Na górze, w wielkiej, niegdyś zwierciadlanej sali;  
Dziś wydartych zwierciadeł stały puste ramy,  
Okna bez szyb, z krużgankiem wprost naprzeciw bramy  
Tu wszedłszy starzec głowę zadumaną skłonił  
I twarz zakrył rękami, a gdy ją odsłonił,  
Miała wyraz żałości wielkiej i rozpacz.  
Hrabia, chociaż nie wiedział, co to wszystko znaczy,  
Poglądając w twarz starca czuł jakieś wzruszenie,  
Rękę mu ścisnął; chwilę trwało to milczenie,  
Przerwał je starzec, trzęsąc wzniesioną prawicą:  
"Nie masz zgody, Mopanku, pomiędzy Sopicą  
I krwią Horeszków; w Panu krew Horeszków płynie,  
Jesteś krewnym Stolnika po matce Łowczyni,  
Która się rodzi z drugiej córki Kasztelana,  
Który był, jak wiadomo, wujem mego Pana.  
Słuchaj Pan historii swej własnej rodzinnej,  
Która się stała właśnie w tej izbie, nie innej.

"Nieboszczyk pan mój, Stolnik, pierwszy pan w powiecie,  
Bogacz i familijant, miał jedyne dziecko,

Córkę piękną jak anioł; więc się zalecało  
Stolnikównie i szlachty, i paniąt niemało.  
Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,  
Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda  
Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie,  
Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie  
I trzystu ich kreskami rządził wedle woli,  
Choć sam nic nie posiadał prócz kawałka roli,  
Szabli, i wielkich wąsów od ucha do ucha.  
Owoż pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha  
I uguszczał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików,  
Popularny dla jego krewnych i stronników.  
Wąsał tak wzbili się w dumę łaskawym przyjęciem,  
Że mu się uroiło zostać pańskim zięciem.  
Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł,  
W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł  
I już miał się oświadczać, lecz pomiarkowano  
I czarną mu polewkę do stołu podano.  
Podobno Stolnikównie wpadł Soplica w oko,  
Ale przed rodzicami tała głęboko.

"Było to za Kościuszki czasów; Pan popierał  
Prawo trzeciego maja i już szlachtę zbierał,  
Aby konfederatom ciągnąć ku pomocy,  
Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy;  
Ledwie był czas z moździerza na trwożę wypalić,  
Podwoje dolne zamknąć i rygłem zawalić.  
W zamku całym był tylko pan Stolnik, ja, Pani,  
Kuchmistrz i dwóch kuchcików, wszyscy trzej pijani,  
Proboszcz, lokaj, hajducy czterej, ludzie śmiali;  
Więc za strzelby, do okien; aż tu tłum Moskali  
Krzyząc: ura! od bramy wali po tarasie;  
My im ze strzelb dziesięciu palnęli: "a zasie!"  
Nic tam nie było widać; słudzy bez ustanku  
Strzelali z dolnych pięter, a ja i Pan z ganku.  
Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiej trwodze:  
Dwadzieście strzelb leżało tu, na tej podłodze,  
Wystrzeliliśmy jedną, podawano drugą,  
Ksiądz proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą  
I Pani, i Panienska, i nadworne panny;  
Trzech było strzelców, a szedł ogień nieustanny;  
Grad kul sypały z dołu moskiewskie piechury,  
My z rzadka, ale celniej dogrzewali z góry.  
Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,  
Ale za każdym razem trzech nogi zadarło,  
Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.  
Pan Stolnik wesoł wyszedł ze strzelbą na ganek

I skoro spod lamusa Moskal łeb wychylił,  
On dawał zaraz ognia, a nigdy nie mylił;  
Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał  
I już się rzadko który zza ściany wykładał.  
Stolnik, widząc strwożone swe nieprzyjaciele,  
Myślił zrobić wycieczkę, porwał karabelę  
I z ganku krzycząc sługom wydawał rozkazy;  
Obróciwszy się do mnie rzekł: "Za mną, Gerwazy!"  
Wtem strzelono spod bramy, Stolnik się zająknął,  
Zaczerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią chrząknął;  
Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same,  
Pan ślaniając się palcem ukazał na bramę.  
Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!  
Po wzroście i po wąsach! jego to postrzałem  
Zginał Stolnik, widziałem! łotr jeszcze do góry  
Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z rury!  
Wziąłem go na cel, zbójca stał jak skamieniały!  
Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały  
Chybiły; czym ze złości, czy z żalu źle mierzył.  
Usłyszałem wrzask kobiet, spojrzalem, - Pan nie żył".  
Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał,  
Potem rzekł kończąc: "Moskal już wrota wywalał;  
Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie  
I nie wiedziałem, co się działo wokoło mnie;  
Szczęściem, na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz,  
Przywiodłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz,  
Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w człeka,  
A nienawidzą rodu Sopliców od wieka.

"Tak zginał pan potężny, pobożny i prawy,  
Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy,  
Ojciec włościan, brat szlachty; i nie miał po sobie  
Syna, który by zemstę poprzysiął na grobie!  
Ale miał sługi wierne; ja w krew jego rany  
Obmoczyłem mój rapier, Scyzorykiem zwany,  
(Zapewne Pan o moim słyszał Scyzoryku,  
Sławnym na każdym sejmie, targu i sejmiku).  
Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach,  
Ścigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach;  
Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku;  
Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,  
Kiedyśmy zajeżdżali z Rymszą Korelicze:  
Upiekł się tam jak piskorz; a tych nie policzę,  
Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,  
Który dotąd ode mnie pamiątki nie dostał!  
Rodzoniutki braciszek owego wąsala,  
Żyje dotąd, i z swoich bogactw się przechwala,

Zamku Horeszków tyka swych kopców krawędzią,  
Szanowany w powiecie, ma urząd, jest sędzią!  
I Pan mu zamek oddasz? niecne jego nogi  
Mają krew Pana mego zetrzeć z tej podłogi?  
O nie! póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,  
I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy  
Syczoryk swój, wiszący dotychczas na ścianie,  
Póty Soplica tego zamku nie dostanie!"

"O! krzyknął Hrabia, ręce podnosząc do góry,  
Dobre miałem przecucie, zem lubił te mury!  
Choć nie wiedziałem, że w nich taki skarb się mieści,  
Tyle scen dramatycznych i tyle powieści!  
Skoro zamek mych przodków Soplicom zagrabię,  
Ciebie osadzę w murach jak mego burgrabie:  
Twoja powieść, Gerwazy, zajęła mię mocno.  
Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną;  
Udrapowany płaszczem siadłbym na ruinach,  
A ty byś mi o krwawych rozpowiadał czynach;  
Szkoda, że masz niewielki dar opowiadania!  
Nieraz takie słyszałem i czytam podania;  
W Angliji i w Szkocyi każdy zamek lordów,  
W Niemczech każdy dwór grafów był teatrem mordów!  
W każdej dawnej, szlacheckiej, potężnej rodzinie  
Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim czynie,  
Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku:  
W Polsce pierwszy raz slysze o takim wypadku.  
Czuję, że we mnie mężnych krew Horeszków płynie!  
Wiem, co winienem sławie i mojej rodzinie.  
Tak! muszę zerwać wszelkie z Soplicą układy,  
Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!  
Honor każe". Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,  
A Gerwazy szedł z tyłu w milczeniu głębokiem.  
Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,  
Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał,  
Tak samotną rozmowę kończąc roztargniony:  
"Szkoda, że ten Soplica stary nie ma żony,  
Lub córki pięknej, której ubóstwiałbym wdzięki,  
Kochając i nie mogąc otrzymać jej ręki;  
Nowa by się w powieści zrobiła zawilość:  
Tu serce, tam powinność! tu zemsta, tam miłość!"

Tak szepcząc spał ostrogi; koń leciał do dworu,  
Gdy z drugiej strony strzelcy wyjeżdżali z boru;  
Hrabia lubił myślistwo, ledwie strzelców zoczył,  
Zapomniawszy o wszystkim prosto ku nim skoczył,  
Mijając bramę, ogród, płoty; gdy w zawrocie



Obejrzał się i konia zatrzymał przy płocie.

Był sad. -

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,  
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.  
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,  
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;  
Tam, płacząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,  
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;  
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;  
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,  
Który od swej łodygi aż w daleką stronę  
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy rozjęte miedzą; na każdym przykopie  
Stoją jakby na straży w szeregach konopie,  
Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone.  
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,  
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,  
A ich woń gąsienice i owad zabija.  
Dalej maków białawe górują badyle;  
Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle  
Trzepiocąc skrzydełkami, na których się mieni  
Z różnaitością tęczy blask drogich kamieni;  
Tylą farb żywych, różnych, mak żrenicę mami.  
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,  
Kraęły słonecznik licem wielkiem, gorejącem  
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki  
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.  
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym,  
Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.  
Pośrodku szła dziewczyna w bieliznę ubrana,  
W majowej zieloności tonąc po kolana;  
Z grząd zniżając się w bruzdy, zdała się nie stąpać,  
Ale pływać po liściach, w ich barwie się kapać.  
Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,  
Od skroni powiewały dwie wstążki różowe  
I kilka pukłów światłych, rozwitych warkoczy;  
Na ręku miała koszyk, w dół spuściła oczy,  
Prawą rękę podniosła, niby do chwytania;  
Jako dziewczę, gdy rybki w kąpielu ugania  
Bawiące się z jej nóżką, tak ona co chwila  
Z rękami i koszykiem po owoc się schyla,  
Który stopą natrąci lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia, zachwycony tak cudnym widokiem,  
Stał cicho. Słyszac tętent towarzyszców w dali,  
Ręką dał znak, ażeby wstrzymać konie; stali.  
On patrzył z wyciągniętą szyją, jak dziobaty  
Zuraw, z dała od stada gdy odprawia czaty  
Stojąc na jednej nodze, z czujnymi oczyma  
I by nie zasnąć, kamień w drugiej nodze trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i skroni;  
Był to bernardyn, kwestarz Robak, a miał w dłoni  
Podniesione do góry węzłowate sznurki:  
" Ogórków chcesz Waść? krzyknął, oto masz ogórki.  
Wara, Panie, od szkody, na tutejszej grzędzie  
Nie dla Waszeci owoc, nic z tego nie będzie".  
Potem palcem pogroził, kaptura poprawił  
I odszedł; Hrabia jeszcze chwilę w miejscu bawił  
Śmiejąc się i klnąc razem tej nagłej przeszkodzie;  
Okiem powrócił w ogród; ale już w ogrodzie  
Nie było jej; mignęła tylko wśród okienka  
Jej różowa wstążeczka i biała sukienka.  
Widać na grzędach, jaką przeleciała drogą,  
Bo liść zielony, w biegu potracony nogą,  
Podnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił,  
Jak woda, którą ptaszek skrzydłami rozkroił.  
A na miejscu, gdzie stała, tylko porzucony  
Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony,  
Pogubiwszy owoce, na liściach zawisał  
I wśród fali zielonej jeszcze się kołysał.

Po chwili wszędzie było samotnie i głucho;  
Hrabia oczy w dom utkwiał i natężył ucho,  
Zawsze dumał, a strzelcy zawsze nieruchomie  
Za nim stali. - Aż w cichym i samotnym domie  
Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoły,  
Jak w ulu pustym, kiedy węń wlatują pszczoły  
Był to znak, że wracali goście z polowania  
I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki,  
Roznoszono potrawy, sztuce i butelki;  
Mężczyźni, tak jak weszli, w swych zielonych strojach,  
Z talerzami, z szklankami chodząc po pokojach,  
Jedli, pili lub wsparci na okien uszakach  
Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach;  
Podkomorstwo i Sędzia przy stole; a w kątku  
Panny szeptały z sobą; nie było porządku,  
Jaki się przy obiadach i wieczerzach chowa.

Była to w staropolskim domu moda nowa;  
Przy śniadaniach pan Sędzia, choć nierad, pozwalał  
Na taki nieporządek, lecz go nie pochwalał.

Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy:  
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,  
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,  
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane  
I z porcelany saskiej złote filiżanki,  
Przy każdej garnuszek mały do śmietanki.  
Takiej kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju:  
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,  
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,  
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta  
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,  
I zna tajne sposoby gotowania trunku,  
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,  
Zapach moki i gęstość miodowego płynu.  
Wiadomo, czym dla kawy jest dobra śmietana;  
Na wsi nie trudno o nią: bo kawiarka z rana,  
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie  
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie  
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,  
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę,  
Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę  
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,  
W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.  
Zaś dla mężczyzn wiedliny leżą do wyboru:  
Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,  
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym  
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;  
W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie:  
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się grona:  
Starszyzna, przy stoliku małym zgromadzona,  
Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,  
O nowych, coraz sroższych ukazach cesarskich;  
Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski  
Oceniał i wyciągał polityczne wnioski.  
Panna Wojska włożywszy okulary sine,  
Zabawiała kabałą z kart Podkomorzynę.  
W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,  
W spokojniejszych i ciszszych niż zwykle rozmowach  
Bo Asesor i Rejent, oba mówcy wielcy,

Pierwsi znawcy myślistwa i najlepsi strzelcy,  
Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni;  
Oba dobrze poszczuli, oba byli pewni  
Zwycięstwa swoich chartów, gdy pośród równiny  
Znalazł się zagon chłopskiej nie zżętej jarzyny;  
Tam wpadł zając: już Kusy, już go Sokół imał,  
Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy zatrzymał;  
Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie;  
Psy powróciły same: i nikt pewnie nie wie,  
Czy zwierzę uszedł, czy wzięty; nikt zgadnąć nie zdoła,  
Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,  
Czyli obudwu razem: różnie sądzą strony  
I spór na dalsze czasy trwał nie rozstrzygniony.  
Wojski stary od izby do izby przechodził,  
Po obu stronach oczy roztargnione wodził,  
Nie mieszał się w myśliwych ni w starców rozmowę  
I widać, że czym innym zajęta miał głowę;  
Nosił skórzaną plackę: czasem w miejscu stanie,  
Duma długo i - muchę zabije na ścianie.

Tadeusz z Telimeną, pomiędzy izbami  
Stojąc we drzwiach na progu, rozmawiali sami;  
Niewielki oddzielał ich od słuchaczy przedział,  
Więc szeptali; Tadeusz teraz się dowiedział:  
Że ciocia Telimena jest bogata pani,  
Że nie są kanonicznie z sobą powiązani  
Zbyt bliskim pokrewieństwem; i nawet niepewno,  
Czy ciocia Telimena jest synowca krewną,  
Choć ją stryj zowie siostrą, bo wspólni rodzice  
Tak ich kiedyś nazwali mimo lat różnicę;  
Że potem ona, żyjąc w stolicy czas długi,  
Wyrządziła niezmierne Sędziemu przysługi;  
Stąd ją Sędzia szanował bardzo, i przed światem  
Lubił, może z próżności, nazywać się bratem,  
Czego mu Telimena przez przyjaźń nie wzbrania.  
Ulżyły Tadeusza sercu te wyznania.  
Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli;  
A wszystko to się stało w jednej krótkiej chwili.

Ale w izbie na prawo, kusząc Asesora,  
Rzekł Rejent mimojazdem: "Ja mówiłem wczora,  
Że polowanie nasze udać się nie może:  
Jeszcze zbyt wczesnie, jeszcze na pniu stoi zboże,  
I mnóstwo sznurów chłopskiej nie zżętej jarzyny;  
Stąd i Hrabia nie przybył mimo zaprosiny.  
Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się,  
Nieraz gadał o łowów i miejscu, i czasie;

Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa,  
I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa  
Polować tak jak u nas, bez żadnego względu  
Na artykuły ustaw, przepisy urzędu;  
Nie szanując niczyich kopców ani miedzy,  
Jeździć po cudzym gruncie bez dziedzica wiedzy;  
Wiosną równie jak latem zbiegać pola, knieje,  
Zabijać nieraz lisa, właśnie gdy linieje,  
Albo cierpieć, iż kotną samicę zajęczą  
Charty w runi uszczują, a raczej zamęczą,  
Z wielką szkodą zwierzyny. Stąd się Hrabia żali,  
Że cywilizacja większa u Moskali;  
Bo tam o polowaniu są ukazy cara  
I dozór policyi, i na winnych kara".

Telimena, ku lewej izbie obrócona,  
Wachlując batystową chusteczką ramiona:  
"Jak mamę kocham, rzekła, Hrabia się nie myli,  
Znam ja dobrze Rosyją. Państwo nie wierzyli,  
Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów  
Godna pochwały czujność i srogość urzędów.  
Byłam ja w Peterburku, nie raz, nie dwa razy!  
Miłe wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!  
Co za miasto! Nikt z Panów nie był w Peterburku?  
Chcecie może plan widzieć? mam plan miasta w biurku.  
Latem świat petersburski zwykł mieszkać na daczy,  
To jest w pałacach wiejskich (dacza wioskę znaczy).  
Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,  
Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,  
Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku:  
Ach, co to był za domek! plan mam dotąd w biurku.  
Otóż na me nieszczęście, najął dom w sąsiedztwie  
Jakiś mały czynownik, siedzący na śledztwie;  
Trzymał kilkoro chartów; co to za męczarnie,  
Gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie!  
Ileż z książką wyszłam sobie do ogrodu,  
Użyć księżycy blasku, wieczornego chłodu,  
Zaraz i pies przyleciał, i kręcił ogonem,  
I strzygł uszami, właśnie jakby był szalonym.  
Nieraz się należałam. Serce mi wróżyło  
Z tych psów jakieś nieszczęście: tak się też zdarzyło  
Bo gdym szła do ogrodu pewnego poranka,  
Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka  
Bonończyka! Ach, była to rozkoszna psina!  
Miałam ją w podarunku od księcia Sukina  
Na pamiątkę; rozumna, żywa jak wiewiórka,  
Mam jej portrecik, tylko nie chcę iść do biurka.

Widząc ją zadławioną, z wielkiej alteracji  
Dostałam mdłości, spazmów, serca palpitacji.  
Może by gorzej jeszcze z moim zdrowiem było;  
Szczęściem, nadjechał właśnie z wizytą Kiryło  
Gawrylicz Kozodusin, Wielki Łowczy Dworu,  
Pyta się o przyczynę tak złego humoru.  
Każe wnet urzędnika przyciągnąć za uszy;  
Staje poblądły, drżący i prawie bez duszy.  
"Jak śmiesz", krzyknął Kiryło piorunowym głosem,  
"Szczuć wiosną łanię kotną tuż pod carskim nosem?"  
Ośłupiały czynownik darmo się zaklinał,  
Że polowania dotąd jeszcze nie zaczynał,  
Że z Wielkiego Łowczego wielkim pozwoleniem,  
Zwierz uszczuty zda mu się być psem, nie jeleniem.  
"Jak to? krzyknął Kiryło, to śmiałybyś, hultaju,  
Znać się lepiej na łowach i zwierząt rodzaju  
Niżli ja, Kozodusin, Carski Jegermajster?  
Niechajże nas rozsądzi zaraz Policmajster!"  
Wołają Policmajstra, każą spisać śledztwo:  
"Ja, rzecze Kozodusin, wydaję świadectwo,  
Że to łani; on plecie, że to pies domowy:  
Rozsądź nas, kto zna lepiej zwierzynę i łowy!"  
Policmajster powinność służby swej rozumiał,  
Bardzo się nad zuchwalstwem czynownika zdumiał  
I odwiódłszy na stronę, po bratersku radził,  
By przyznał się do winy i tym grzech swój zgładził.  
Łowczy udobruchany przyrzekł, że się wstawi  
Do cesarza i wyrok nieco ułaskawi;  
Skończyło się, że charty poszły na powrozy,  
A czynownik na cztery tygodnie do kozy.  
Zabawiła nas cały wieczor ta pustota,  
Zrobiła się nazajutrz z tego anegdota,  
Że w sądy o mym piesku Wielki Łowczy wdał się;  
I nawet wiem z pewnością, że sam cesarz śmiał się".

Śmiech powstał w obu izbach. Sędzia z Bernardynem  
Grał w mariasza, i właśnie z wyświeconym winem  
Miał coś ważnego zadać; już Ksiądz ledwie dyszał,  
Kiedy Sędzia początek powieści usłyszał  
I tak nią był zajęty, że z zadartą głową  
I z kartą podniesioną, do bicia gotową,  
Siedział cicho i tylko Bernardyna trwożył,  
Aż gdy skończono powieść, pamfila położył,  
I rzekł śmiejąc się: "Niech tam sobie, kto chce, chwali  
Niemców cywilizacją, porządek Moskali;  
Niechaj Wielkopoleanie uczą się od Szwabów  
Prawować się o lisa i przyzywać drabów,

By wziąć w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje;  
Na Litwie, chwała Bogu, stare obyczaje:  
Mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,  
I nie będziemy nigdy o to robić śledztwa;  
I zboża mamy dosyć, psy nas nie ogłodzą,  
Że po jarzynach albo po życie pochodzą;  
Na morgach chłopskich broń robić polowanie".

Ekonom z lewej izby rzekł: "Nie dziw, Mospanie,  
Bo też Pan drogo płaci za taką zwierzynę.  
Chłopy i radzi temu, kiedy w ich jarzynę  
Wskoczy chart; niech otrząśnie dziesięć kłósków żyta,  
To Pan mu kopę oddasz, i jeszcze nie kwita,  
Często chłopci talara w przydatku dostali;  
Wierz mi Pan, że się chłopstwo bardzo rozzuchwali,  
Jeśli..." Resztę dowodów pana Ekonoma  
Nie mógł usłyszeć Sędzia, bo pomiędzy dwoma  
Rozprawami wszczęło się dziesięć rozgovorów,  
Anegdot, opowiadań i na koniec sporów.

Tadeusz z Telimeną, całkiem zapomniani,  
Pamiętali o sobie. - Rada była pani,  
Że jej dowcip tak bardzo Tadeusza bawił;  
Młodzieniec jej nawzajem komplementy prawił.  
Telimena mówiła coraz wolniej, ciszej,  
I Tadeusz udawał, że jej nie dosłyszysz  
W tłumie rozmów: więc szepcząc tak zbliżył się do niej,  
Że uczył twarzą lubą gorącość jej skroni;  
Wstrzymując oddech, usty chwycił jej westchnienie  
I okiem łowił wszystkie jej wzroku promienie.

Wtem pomiędzy ich usta mignęła zniecka  
Naprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego placka

Na Litwie much dostatek. Jest pomiędzy nimi  
Gatunek much osobny, zwanych szlacheckimi;  
Barwą i kształtem całkiem podobne do innych,  
Ale pierś mają szerszą, brzuch większy od gminnych,  
Latając bardzo huczą i nieznośnie brzęczą,  
A tak silne, że tkanę przebijają pajęczą,  
Lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzie bzykać,  
Bo z pająkiem sam na sam może się borykać.  
Wszystko to Wojski zbadał, i jeszcze dowodził,  
Że się z tych much szlacheckich pomniejszy lud rodził,  
Że one tym są muchom, czym dla roju matki,  
Że z ich wybiciem zginą owadów ostatki.  
Prawda, że ochmistrzynie ani pleban wioski

Nie uwierzyli nigdy w te Wojskiego wnioski  
I trzymali inaczej o naszym rodzaju;  
Lecz Wojski nie odstąpił dawnego zwyczaju,  
Ledwie dostrzegł takową muchę, wnet ją gonił.  
Właśnie teraz mu szlachcic nad uchem zadzwonił;  
Po dwakroć Wojski machnął, zdziwił się, że chybił,  
Trzeci raz machnął, tylko co okna nie wybił;  
Aż mucha, odurzona od tyła łoskotu,  
Widząc dwóch ludzi w progu broniących odwrotu,  
Rzuciła się z rozpaczą pomiędzy ich lica;  
I tam za nią mignęła Wojskiego prawica:  
Raz tak był tęgi, że dwie odskoczyły głowy,  
Jak rozdarte piorunem dwie drzewa połowy;  
Uderzyły się mocno oboje w uszaki,  
Tak że obojgu sine zostały się znaki.

Szczyściem nikt nie uważał, bo dotychczasowa  
Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa  
Zakończyła się nagłym wybuchem hałasu.  
Jak strzelcy gdy na lisa zaciągną do lasu,  
Słysząc gdzieś trzask drzew, strzały, psiarni granie,  
A wtem dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,  
Dał znak, i wrzask powstaje w strzelców i psów tłuszczy,  
Jak gdyby się ozwały wszystkie drzewa puszczy,-  
Tak dzieje się z rozmową: z wolna się pomyka,  
Aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika.  
Dzikiem rozmów strzeleckich był ów spór zażarty  
Rejenta z Asesorem o sławne ich charty.  
Krótko trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę,  
Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,  
Że wyczerpnęli sporu zwyczajne trzy części,  
Przycinki, gniew, wyzwanie - i szło już do pięści.

Więc ku nim z drugiej izby wszyscy się porwali  
I tocząc się przeze drzwi na kształt bystrej fali,  
Unieśli młodą parę stojącą na progu,  
Podobną Janusowi, dwulicemu bogu.

Tadeusz z Telimeną nim na skroniach włosy  
Poprawili, już groźne ucichły odgłosy,  
Szmer zmieszany ze śmiechem wśród cizby się szerzył,  
Nastąpił rozejm kłótni, Kwestarz ją uśmierzył:  
Człowiek stary, lecz krępy i bardzo pleczysty.  
Właśnie kiedy Asesor podbiegł do jurysty,  
Gdy już sobie gestami grozili szermierze,  
On raptem porwał obu z tyłu za kołnierze  
I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne



Jedną o drugą jako jaja wielkanocne,  
Rozkrzyżował ramiona na kształt drogoskazu  
I we dwa kąty izby rzucił ich od razu;  
Chwilę z rozciągniętymi stał w miejscu rękami  
I "Pax, pax, pax vobiscum! krzyczał, pokój z wami!"

Zdziwiły się, zaśmiały nawet strony obie:  
Przez szacunek, należny duchownej osobie,  
Nie śmiano łajać mnicha; a po takiej probie  
Nikt też nie miał ochoty zaczynać z nim zwadę,  
Zaś kwestarz Robak, skoro uciszył gromadę,  
Widać było, że wcale tryumfu nie szukał,  
Ani groził kłótnikom więcej, ani fukał;  
Tylko poprawił kaptur, i ręce za pasem  
Zatknawszy, wyszedł cicho z pokoju.

Tymczasem  
Podkomorzy i Sędzia między dwiema strony  
Plac zajęli. Pan Wojski, jakby przebudzony  
Z głębokiego dumania, w środku się postawił,  
Wąsy siwe pokręcił, kapoty poprawił,  
Iskrzyły mu się oczy (zawždy postrzegano  
Ten blask niezwykły, kiedy o łowach gadano),  
Obiegał zgromadzenie ognistą źrenicą  
I gdzie szmer jeszcze słyszał, jak ksiądz kropielnicą,  
Tam uciszając machał swą placką ze skóry;  
Wreszcie podniósłszy trzonek z powagą do góry  
Jak łaskę marszałkowską, nakazał milczenie.

"Uciszcie się! powtarzał, miejcie też baczenie,  
Wy, co jesteście pierwsi myśliwi w powiecie,  
Z gorszącej kłótni waszej co będzie? czy wiecie?  
Oto młodzież, na której Ojczyzny nadzieje,  
Która ma wślawiać nasze ostępy i knieje,  
Która, niestety, i tak zaniedbuje łowy,  
Może do ich wzgardzenia weźmie pochop nowy!  
Widząc, że ci, co innym mają dać przykłady,  
Z łowów przynoszą tylko poswarki i zwady.  
Miejcie też wzgląd powinny dla mych włosów siwych;  
Bo znałem większych dawniej niżli wy myśliwych,  
A sądziłem ich nieraz sądem polubownym.  
Któż był w lasach litewskich Rejtanowi równym?  
Czy obławę zaciągnąć, czy spotkać się z zwierzem,  
Kto z Białopiotrowiczem porówna się Jerzym?  
Gdzie jest dziś taki strzelec jak szlachcic Żegota,  
Co kulą z pistoletu w biegu trafiał kota?  
Terajewicza znałem, co idąc na dziki  
Nie brał nigdy innego oręża prócz piki!

Budrewicza, co chodził z niedźwiedziem w zapasy:  
Takich mężów widziały niegdyś nasze lasy!  
Jeśli do sporu przyszło, jakże spór godzili?  
Oto obrali sędziów i zakład stawili.  
Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka,  
Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka!  
I wy, Panowie, pójďte za starych przykładem  
I rozstrzygnijcie spór wasz choć mniejszym zakładem.  
Słowo wiatr, w sporach słownych nigdy nie masz końca  
Szkoda ust dłużej suszyć kłótnią o zająca;  
Więc polubownych sędziów najpierwej obierzcie,  
A co wyrzeką, temu sumiennie zawierzcie.  
Ja uproszę Sędziego, ażeby nie bronił  
Dojeżdżaczowi, choćby po pszenicy gonił;  
I tuszę, że tę łaskę otrzymam od Pana".  
To wyrzekłszy, Sędziego ścisnął za kolana.

"Konia, zawołał Rejent, stawię konia z rzędem  
I opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem,  
Iż ten pierścień sędziemu w salarjum złożę".  
"Ja, rzekł Asesor, stawię me złote obroże,  
Jaszczurem wykładane, z kólkami ze złota,  
I smycz tkany jedwabny, którego robota  
Równie cudna jak kamień, co się na nim świeci.  
Chciałem ten sprzęt zostawić w dziedzictwie dla dzieci,  
Jeślibym się ożenił: ten sprzęt mnie darował  
Książę Dominik, kiedym z nim razem polował  
I z marszałkiem Sanguszką księciem, z jenerałem  
Mejenem, i gdy wszystkich na charty wyzwiałem.  
Tam, bezprzykładną w dziejach polowania sztuką,  
Uszczułem sześć zajęcy pojedynczą suką.  
Polowaliśmy wtenczas na Kupiskim błoniu;  
Książę Radziwiłł nie mógł dosiedzieć na koniu;  
Zsiadł, i objąwszy sławną mą charcicę Kanię,  
Trzykroć jej w samą głowę dał pocałowanie,  
A potem trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,  
Rzekł: "Mianuję cię odtąd Księżną na Kupisku".-  
Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa  
Od miejsc, na których wielkie odnieśli zwycięstwa".

Telimena, znudzona zbyt długimi swary,  
Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary;  
Wzięła koszyczek z kołka: "Panowie, jak widzę,  
Chcecie zostać w pokoju, ja idę na rydze;  
Kto łaska, proszę za mną" - rzekła, koło głowy  
Obwijając czerwony szal kaszemirowy;  
Córeczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,

A drugą podchyliła do kostek sukienkę;  
Tadeusz milczkiem za nią na grzyby pośpieszył.

Zamiar przechadzki bardzo Sędziego ucieszył,  
Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,  
A więc krzyknął: "Panowie, po grzyby do boru!  
Kto z najpiękniejszym rydzem do stołu przybędzie,  
Ten obok najpiękniejszej panienki usiedzie;  
Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama,  
Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama".

### Księga III: Umizgi

Hrabia wracał do siebie, lecz konia wstrzymywał,  
Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał;  
I raz mu się zdawało, że znowu z okienka  
Błyszczą tajemnicza, bieluchna sukienka,  
I coś lekkiego znowu upadło z wysoka,  
I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,  
Pomiędzy zielonymi świeciło ogórki:  
Jako promień słoneczny, wykradłszy się z chmurki,  
Kiedy wśród roli padnie na krzemienia skibę  
Lub wśród zielonej łąki w drobną wody szybę.

Hrabia zsiadł z konia, sługi odprawił do domu,  
A sam ku ogrodowi ruszył po kryjomu;  
Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwory  
wcisnął się po cichu, jak wilk do obory;  
Nieszczęściem, trącił krzaki suchego agrestu.  
Ogrodniczka, jak gdyby zlekła się szelestu,  
Oglądała się wkoło, lecz nic nie spostrzegła;  
Przecież ku drugiej stronie ogrodu pobiegła.  
A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,  
Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,  
Skacząc jak żaba, cicho, przyczołgał się blisko,  
Wytknął głowę, i ujrzał cudne widowisko.  
W tej części sadu rosły tu i ówdzie wiśnie,  
Śród nich zboże w gatunkach zmieszanych umyślnie:  
Pszenica, kukuruza, bób, jęczmień wąsaty,  
Proso, groszek, a nawet krzewiny i kwiaty.  
Domowemu to ptastwu taki ochmistszyni  
Wymyśliła ogródek: sławna gospodyni,  
Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowi-  
czówna; jej wynalazek epokę stanowi  
W domowym gospodarstwie; dziś powszechnie znany,  
Lecz w owych czasach jeszcze za nowość podany,  
Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,  
Nim go wydał kalendarz, pod tytułem: Sposób  
Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek  
Wychowywania drobiu - był to ów ogródek.

Jakoż zaledwie kogut, co odprawia warty,  
Stanie i nieruchomie dzierżąc dziób zadarty,  
I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,  
Aby tym łacniej w niebo mógł celować okiem,  
Dostrzeże wiszącego jastrzębia wśród chmury,  
Krzyknie: zaraz w ten ogród chowają się kury,  
Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestrachu

Gołębie, gdy nie mogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego nie widziano wroga,  
Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga,  
Od niej ptaki w zbożowym ukryły się lasku;  
Tamte leżą w murawie, te kąpią się w piasku.

Śród ptaszcych głów sterczały główki ludzkie małe,  
Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe;  
Szyje nagie do ramion, a pomiędzy nimi  
Dziewczyna głową wyższa, z włosami dłuższymi;  
Tuż za dziećmi paw siedział i piór swych obręcze  
Szeroko rozprzestrzenił w różnofarbną tęczę,  
Na której główki białe, jak na tle obrazku,  
Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku,  
Obrysowane wkoło kręgiem pawich oczu  
Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w przezroczu,  
Pomiędzy kukuruzy złocistymi laski  
I angielską trawicą posrebrzaną w paski,  
I szczyrem koralowym, i zielonym ślazem,  
Których kształty i barwy mieszały się razem,  
Niby krata ze srebra i złota pleciona,  
A powiewna od wiatru jak lekka zasłona

Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badyłów  
Wisiąca jak baldakim jasna mgła motylów  
Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka,  
Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,  
Gdy w powietrzu zawisną, zaledwie widome,  
I chociaż brzęczą, myślisz, że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w rękę  
Szarą kitką, podobną do piór strusich pęku,  
Nią zdała się oganiać główki niemowlęce  
Od złotego motylów deszczu, - w drugiej ręce  
Coś u niej rogatego, złocistego świeci,  
Zdaje się, że naczynie do karmienia dzieci,  
Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei,  
Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę  
Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,  
Nie widząc, że napastnik już z przeciwnej strony  
Zbliżył się, czołgając się jak wąż przez zagony;  
Aż wyskoczył z łopuchu; spójrzała, - stał blisko,  
O cztery grzędy od niej, i kłaniał się nisko.  
Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,

I zrywała się lecieć jak kraska spłoszona,  
I już lekkie jej stopy wionęły nad liściem,  
Kiedy dzieci, przelekłe podróżnego wniściem  
I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie;  
Posłyszała, uczuła, że jest nieroztropnie  
Dziatwę małą, przelekłą i samą porzucić:  
Wracała wstrzymując się, lecz musiała wrócić,  
Jak niechętny duch, wróżka przyzwany zaklęciem,  
Przybiegła z najkrzykliwszym bawić się dziecięciem,  
Siadła przy nim na ziemi, wzięła je na łono,  
Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;  
Aż się uspokoiły, objąwszy w rączęta  
Jej kolana i tuląc główki jak pisklęta  
Pod skrzydło matki. Ona rzekła: "Czy to pięknie  
Tak krzyczeć? czy to grzecznie? Ten pan was się złęknie  
Ten pan nie przyszedł straszyć; to nie dziad szkaradny,  
To gość, dobry pan, patrzcie tylko, jaki ładny".

Sama spojrzała: Hrabia uśmiechnął się mile  
I widocznie był wdzięczny jej za pochwał tyle;  
Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła  
I jako róży pączek cała się spłoniła.

W istocie był to piękny pan: słusznej urody,  
Twarz miał pociągłą, blade, lecz świeże jagody,  
Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;  
Na włosach listki ziela i kosmyki trawy,  
Które Hrabia oberwał pełznąc przez zagony,  
Zieleniły się  
jako wieniec rozpleciony.

"O ty! rzekł, jakimkolwiek uczczę cię imieniem,  
Bóstwem jesteś czy nimfą, duchem czy widzeniem!  
Mów! własna-li cię wola na ziemię sprowadza  
Obca-li więzi ciebie na padole władza?  
Ach, domyślam się, - pewnie wzgardzony miłośnik,  
Jaki pan możny, albo opiekun zazdrośnik  
W tym cię parku zamkowym jak zaklętą strzeże!  
Godna, by o cię bronią walczyli rycerze,  
Byś została romansów heroiną smutnych!  
Odkryj mi, Piękna, tajnie twych losów okrutnych!  
Znajdziesz wybawiciela, - odtąd twym skinieniem,  
Jak rządysz sercem moim, tak rządź mym ramieniem".  
Wyciągnął ramię.

Ona z rumieńcem dziewczycym,  
Ale z rozweselonym słuchała obliczem:

Jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskrawe  
I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,  
Nim rozezna ich wartość, tak się słuch jej pieśni  
Z dźwięcznymi słowy, których nie pojęła treści.  
Na koniec zapytała: "Skąd tu Pan przychodzi?  
I czego tu po grzędach szuka Pan Dobrodziej"

Hrabia oczy roztworzył, zmieszany, zdziwiony,  
Milczał; wreszcie zniżając swej rozmowy tony:  
"Przepraszam, rzekł, Panienko! widzę, że pomieszał  
Zabawy! ach, przepraszam, jam właśnie pośpieszał  
Na śniadanie: już późno, chciałem na czas zdążyć;  
Panienska wie, że drogą trzeba wkoło krążyć,  
Przez ogród, zdaje mi się, jest do dworu prościój".  
Dziewczyna rzekła: "Tędy droga Jegomości;  
Tylko grząd psuć nie trzeba; tam między murawą  
Ścieżka". - "W lewo, zapytał Hrabia, czy na prawo?"

Ogrodniczka, podniosłszy błękitne oczęta,  
Zdawała się go badać, ciekawością zdjęta:  
Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,  
A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niej  
Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu  
Rozmowy.- "Panna mieszka tu? blisko ogrodu?  
Czy na wsi? jak to było, że Panny we dworze  
Nie widział? czy niedawno tu? przyjezdna może?"  
Dziewczę wstrząsnęło głową. - "Przepraszam, Panienko,  
Czy nie tam pokój Panny, gdzie owe okienko?"

Myślił zaś w duchu: jeśli nie jest heroiną  
Romansów, jest młodziuchną, prześliczną dziewczyną.  
Zbyt często wielka dusza, myśl wielka, ukryta  
W samotności, jak róża wśród lasów rozkwita;  
Dosyć ją wynieść na świat, postawić przed słońcem,  
Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem!

Ogrodniczka tymczasem powstała w milczeniu,  
Podniosła jedno dziecię zwisłe na ramieniu,  
Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem  
Zaganiając jak gąski, szła dalej ogrodem.

Odwróciwszy się rzekła: "Czy też Pan nie może  
Rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?"  
"Ja ptastwo pędzać?" krzyknął Hrabia z zadziwieniem;  
Ona tymczasem znikła zakryta drzew cieniem.  
Chwilę jeszcze z szpaleru przez majowe zwoje  
Przeświecało coś na wskrós, jakby oczu dwoje.

Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogrodzie:  
Dusza jego, jak ziemia po słońca zachodzie,  
Ostygła powoli, barwy brała ciemne;  
Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzyjemne.  
Zbudził się, sam nie wiedząc, na kogo się gniewał;  
Niestety, mało znalazł! nadto się spodziewał!  
Bo gdy zagonem pełznął ku owej pasterce,  
Paliło mu się w głowie, skakało w nim serce;  
Tyle wdzięków w tajemnej nimfie upatrywał,  
W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał!  
Wszystko znalazł inaczej: prawda, że twarz ładną,  
Kibić miała wysmukłą, ale jak nieskładną!  
A owa pulchność liców i rumieńca żywość,  
Malująca zbyteczną, prostacką szczęśliwość!  
Znak, że myśl jeszcze drzemie, że serce nieczynne!  
I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne!  
"Po cóż się ludzić, krzyknał, zgaduję  
po czasie! Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!"

Z nimfy zniknięciem całe czarowne przezrocze  
Zmieniło się: te wstęgi, te kraty urocze,  
Złote, srebrne, niestety! więc to była słoma?

Hrabia z załamanyimi poglądał rękoma  
Na snopek uwiązanej trawami mietlicy,  
Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewczicy  
Nie zapomniał naczynia: złocista konewka,  
Ów różek Amaltei, była to marchewka!  
Widział ją w ustach dziecka pożeraną chciwie:  
Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

Tak chłopiec, kiedy ujrzy cykoryi kwiaty,  
Wabiące dłoń miękкими, lekkimi bławaty,  
Chce je pieścić, zbliża się, dmuchnie, i z podmuchem  
Cały kwiat na powietrzu rozleci się puchem,  
A w ręku widzi tylko badacz zbyt ciekawy  
Nagą łodygę szarozielonawej trawy.

Hrabia wcisnął na oczy kapelusz i wracał  
Tamtędy, kędy przyszedł, ale drogę skracał  
Stąpając po jarzynach, kwiatkach i agreście,  
Aż przeskoczywszy parkan odetchnął nareście!  
Przypomniał, że dziewczynie mówił o śniadaniu;  
Może już wszyscy wiedzą o jego spotkaniu  
W ogrodzie, blisko domu? może szukać wyślą?  
Postrzegli, że uciekał? kto wie, co pomyślą?



Więc wypadło wrócić. Chyląc się u płotów,  
Okolo miedz i zielska, po tysiącach zwrotów  
Rad był przecież, że wyszedł w końcu na gościniec,  
Który prosto prowadził na dworski dziedziniec.  
Szedł przy płocie, a głowę odwracał od sadu,  
Jak złodziej od śpichlerza, aby nie dać śladu,  
Że go myśli nawiedzić albo już nawiedził.  
Tak Hrabia był ostry, choć go nikt nie śledził;  
Patrzył w stronę przeciwną ogrodu, na prawo.

Był gaj z rzadka zarosły, wysłany murawą;  
Po jej kobiercach, na wskroś białych pniów brzozowych,  
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,  
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,  
Niby tańce, i dziwny ubiór: istne duchy  
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,  
Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;  
Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,  
Ten z gołą głową; inni, jak gdyby obłokiem  
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony,  
Ciągające się za głową jak komet ogony.  
Każdy w innej postawie: ten przyrosł do ziemi,  
Tylko oczyma kręci na dół spuszczeni;  
Ów, patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy  
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy;  
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony  
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.  
Jeżeli się przybliżą albo się spotkają,  
Ani mówią do siebie, ani się witają,  
Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.  
Hrabia widział w nich obraz elizejskich cieni,  
Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,  
Błąkają się spokojne, ciche, lecz posepne.

Któż by zgadnął, że owi, tak mało ruchomi,  
Owi milczący ludzie - są nasi znajomi?  
Sędziowscy towarzysze! z hucznego śniadania  
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybobrania:  
Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować  
Mowy i ruchy swoje, aby je stosować  
W każdej okoliczności do miejsca i czasu.  
Dlatego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,  
Wzięli postawy tudzież ubiory odmienne,  
Służące do przechadzki opończe płócienne,  
Którymi osłaniają po wierzchu kontusze,  
A na głowy słomiane wdziali kapelusze,  
Stąd biali wyglądają jak czyscowe dusze.

Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny  
I kilku po francusku chodzących.  
Tej sceny  
Hrabia nie pojął, nie znał wiejskiego zwyczaju,  
Więc zdziwiony niezmiernie biegł pędem do gaju.  
Grzybów było w bród: chłopcy biorą krasnolice,  
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,  
Co są godłem panieństwa, bo czerw ich nie zjada,  
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.  
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,  
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.  
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy  
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,  
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,  
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku  
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;  
Lecz nie są bez użytku, one zwierza pasą  
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.  
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi  
Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłymi brzegi  
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,  
Niby czareczki różnym winem napełnione;  
Kozłak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,  
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,  
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,  
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,  
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona  
Purchawka, jak pieprzniczka - zaś innych imiona  
Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,  
Od ludzi nie ochrzczone; a jest ich bez liku.  
Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy,  
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,  
Zagniewany, grzyb złamie albo nogą kopnie;  
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.  
Telimena ni wilczych, ni ludzkich nie zbiera,  
Roztargniona, znudzona, dokoła spoziera,  
Z głową w górę zadartą. Więc pan Rejent w gniewie  
Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie;  
Asesor ją złośliwiej równał do samicy,  
Która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż zdała się szukać samotności, ciszy,  
Oddalała się z wolna od swych towarzyszy  
I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły,  
Ocieniony, bo drzewa gęściej na nim rosły.

W środku szarzał się kamień; strumień spod kamienia  
Szumiał, tryskał i zaraz, jakby szukał cienia,  
Chował się między gęste i wysokie zioła,  
Które wodą pojone bujały dokoła;  
Tam ów bystry swawolnik, spowijany w trawy  
I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,  
Niewidzialny i ledwie dosłyszany szepce,  
Jako dziecię krzykliwe złożone w kolebce,  
Gdy matka nad nim zwiąże firanki majowe  
I liścia makowego nasypie pod głowę.  
Miejsce piękne i ciche, tu się często schrania  
Telimena, zowiąc je Świątynią dumania.

Stanąwszy nad strumieniem, rzuciła na trawnik  
Z ramion swój szal powiewny, czerwony jak krwawnik,  
I podobna pływaczce, która do kąpieli  
Zimnej schyla się, nim się zanurzyć ośmieli,  
Klęknęła i powoli chyliła się bokiem;  
Wreszcie, jakby porwana koralu potokiem,  
Upadła nań i cała wzdłuż się rozpostarła,  
Łokcie na trawie, skronie na dłoniach oparła,  
Z głową w dół skłonioną; na dole, u głowy,  
Błysnął francuskiej książki papier welinowy;  
Nad alabastrowymi stronicami księgi  
Wiły się czarne pukle i różowe wstęgi.

W szmaragdzie bujnych traw, na krwawnikowym szalu,  
W sukni długiej, jak gdyby w powłoce koralu,  
Od której odbijał się włos z jednego końca,  
Z drugiego czarny trzewik; po bokach błyszcząca  
Śnieżną pończoszką, chustką, białością rąk, lica,  
Wydawała się z dala jak pstra gąsienica,  
Gdy wpełźnie na zielony liść klonu.

Niestety!  
Wszystkie tego obrazu wdzięki i zalety  
Darmo czekały znawców, nikt nie zważał na nie,  
Tak mocno zajmowało wszystkich grzybobranie.  
Tadeusz przecież zważał i w bok strzelał okiem,  
I nie śmiejąc iść prosto, przysuwał się bokiem:  
Jak strzelec, gdy w ruchomej, gałęzistej szopie,  
Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na dropie,  
Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,  
Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,  
Niby to bronę włóczy, niby jedzie miedzą,  
A coraz się przybliża, kędy ptaki siedzą,  
Tak skradał się Tadeusz.

Sędzia czaty zmieszał  
I przeciąwszy mu drogę, do źródła pośpieszał.  
Z wiatrem igrały białe poły szarafana  
I wielka chustka w pasie końcem uwiązana;  
Słomiany, podwiązany kapelusz od ruchu  
Naglego chwiał się z wiatrem jako liść łopuchu,  
Spadając to na barki, to znowu na oczy;  
W ręku ogromna laska: tak pan Sędzia kroczy.  
Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,  
Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu  
I wsparłszy się oburącz na gałkę słoniową  
Trzciny ogromnej, z taką ozwał się przemową:

"Widzi Aśćka, od czasu jak tu u nas gości  
Tadeuszek, niemało mam niespokojności;  
Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyzna  
Wszak to moja na świecie pociecha jedyna,  
Przyszły dziedzic fortunki mojej. Z łaski nieba  
Zostawię mu kęs niezły szlacheckiego chleba;  
Już mu też czas obmyśleć los, postanowienie;  
Ale zważaj no, Aśćka, moje utrapienie!  
Wiesz, że pan Jacek, brat mój, Tadeusza ociec,  
Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec,  
Nie chce wracać do kraju, Bóg wie gdzie się kryje,  
Nawet nie chce synowi oznajmić, że żyje,  
A ciągle nim zarządza. Naprzód w legijony  
Chciał go posyłać; byłem okropnie zmartwiony.  
Potem zgodził się przecie, by w domu pozostał  
I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;  
Partyję upatrzyłem; nikt z obywateli  
Nie wyrówna z imienia ani z parenteli  
Podkomorzemu; jego starsza córka Anna  
Jest na wydaniu, piękna i posażna panna.  
Chciałem zagaić". - Na to Telimena zbladła,  
Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.

"Jak mamę kocham, rzekła, czy to, Panie Bracie,  
Jest w tym sens jaki? czy wy Boga w sercu macie?  
To myślisz Tadeusza zostać dobrodziejem,  
Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem!  
Świat mu zawiązesz! wierz mi, kląć was kiedyś będzie!  
Zakopać taki talent w lasach i na grzędzie!  
Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecię,  
Warto, żeby na wielkim przetarło się świecie;  
Dobrze Brat robi, gdy go do stolicy wyśle;  
Na przykład do Warszawy? lub wie Brat, co myślę,

Żeby do Peterburka? Ja pewnie tej zimy  
Pojadę tam dla sprawy; razem ułożymy,  
Co zrobić z Tadeuszem; znam tam wiele osób,  
Mam wpływy: to najlepszy kreacyi sposób.  
Za mą pomocą znajdzie wstęp w najpierwsze domy,  
A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,  
Dostanie urząd, order; wtenczas niech porzuci  
Służbę, jeżeli zechce, niech do domu wróci,  
Mając już i znaczenie, i znajomość świata.  
I cóż Brat myśli o tym?" - "Jużci, w młode lata,  
Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,  
Obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzeć;  
Ja za młodu niemało świata objechałem:  
Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem  
Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy  
Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.  
Człek niemało skorzystał! chciałbym i synowca  
Wysłać pomiędzy ludzie, prosto jak wędrowca,  
Jak czeladnika, który terminuje lata,  
Ażeby nabył trochę znajomości świata.  
Nie dla rang ni orderów! proszę uniżenie,  
Ranga moskiewska, order, cóż to za znaczenie?  
Któryż to z dawnych panów, ba, nawet dzisiejszych,  
Między szlachtą w powiecie nieco zamożniejszych,  
Dba o podobne fraszki; przecież są w estymie  
U ludzi, bo szanujem w nich ród, dobre imię,  
Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem  
Obywatelskim, nie zaś czymś tam faworem".

Telimena przerwała: "Jeśli Brat tak myśli,  
Tym lepiej, więc go jako wojażera wyślij".

"Widzi Siostra, rzekł Sędzia skrobiąc smutnie głowę,  
Chciałbym bardzo, cóż, kiedy mam trudności nowe!  
Pan Jacek nie wypuszcza z opieki swej syna  
I przysłał mi tu właśnie na kark bernardyna  
Robaka, który przybył z tamtej strony Wisły,  
Przyjaciół brata, wszystkie wie jego zamysły;  
A więc o Tadeusza już wyrzekli losie  
I chcą, by się ożenił, aby pojął Zosię,  
Wychowankę Wać Pani; oboje dostaną,  
Oprocz fortunki mojej, z łaski Jacka wiano  
W kapitałach; wiesz Aścka, że ma kapitały,  
I z łaski jego mam też fundusz prawie cały,  
Ma więc prawo rozrządzać. - Aścka pomyśl o tem,  
Żeby się to zrobiło z najmniejszym kłopotem;  
Trzeba ich z sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,

Szczególnie Zosia mała, lecz to nic nie szkodzi;  
Czas by już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia,  
Bo wszakci to już pono wyrasta z dziecięcia".

Telimena, zdziwiona i prawie wylękła,  
Podnosiła się coraz, na szalu uklękła;  
Zrazu słuchała, pilnie potem dłoni ruchem  
Przeczyła, ręką żwawo wstrząsając nad uchem,  
Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa  
Na powrót w usta mówcy.

"A! a! to rzecz nowa!  
Czy to Tadeuszowi szkodzi, czy nie szkodzi,  
Rzekła z gniewem, sądz o tym sam Wać Pan Dobrodziej;  
Mnie nic do Tadeusza, sami o nim radźcie,  
Zróbcie go ekonomem, lub w karczmie posadźcie,  
Niech szynkuje, lub z lasu niech zwierzynę znosi:  
Z nim sobie, co zechcecie, zróbcie; lecz do Zosi?  
Co Wać Państwu do Zosi? Ja jej ręką rządę,  
Ja sama! Że pan Jacek dawał był pieniądze  
Na wychowanie Zosi, i że jej wyznaczył  
Małą pensyjkę roczną, więcej przyrzec raczył,  
Toć jej jeszcze nie kupił. Zresztą Państwo wiecie,  
I dotąd jeszcze o tym wiadomo na świecie,  
Że hojność Państwa dla nas nie jest bez powodu,  
Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu".  
(Tej części mowy Sędzia słuchał z niepojętem  
Pomieszanem, żalością i widocznym wstrętem;  
Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił  
I ręką potakując, mocno się zapłonił).

Telimena kończyła: "Byłam jej piastunką,  
Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.  
Nikt oprócz mnie nie będzie myślił o jej szczęściu".  
"A jeśli ona szczęście znajdzie w tym zameścium?"  
Rzekł Sędzia wzrok podnosząc. "Jeśli Tadeuszka  
Podoba?" - "Czy podoba? to na wierzbie gruszka  
Podoba, nie podoba, a to mi rzecz ważna!  
Zosia nie będzie, prawda, partyja posażna,  
Ale też nie jest z lada wsi, lada szlachcianka,  
Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,  
Rodzi się z Horeszkówny; małżonka dostanie!  
Staraliśmy się tyle o jej wychowanie!  
Chybaby tu zdziczała". - Sędzia pilnie słuchał  
Patrząc w oczy; zdało się, że się udobruchał,  
Bo rzekł dosyć wesoło: "No, to i cóż robić,  
Bóg widzi, szczerze chciałem interesu dobić;

Tylko bez gniewu. Jeśli Aśka się nie zgodzi,  
Aśka ma prawo; smutno - gniewać się nie godzi;  
Radziłem, bo brat kazał, nikt tu nie przymusza;  
Gdy Aśka rekuje pana Tadeusza,  
Odpisuję Jackowi, że nie z mojej winy  
Nie dojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny.  
Teraz sam będę radzić; pono z Podkomorzym  
Zagaimy swatostwo i resztę ułożym".

Przez ten czas Telimena ostygła z zapału:  
"Ja nic nie rekuje, Braciszku, pomału!  
Sam mówiłeś, że jeszcze za wcześnie, - zbyt młodzi,-  
Rozpatrzmy się, czekajmy, nic to nie zaszkodzi,  
Poznajmy z sobą państwa młodych; będziem zważać,  
Nie można szczęścia drugich tak na traf narażać;  
Ostrzegam tylko wcześnie, niech Brat Tadeusza  
Nie namawia, kochać się w Zosi nie przymusza,  
Bo serce nie jest sługa, nie zna, co to pany,  
I nie da się przemocą okuwać w kajdany".

Za czym Sędzia, powstawszy, odszedł zamyślony;  
Pan Tadeusz z przeciwnej przybliżał się strony  
Udając, że szukanie grzybów tam go zwabia;  
W tymże kierunku z wolna posuwał się Hrabia.

Hrabia podczas Sędziego sporów z Telimeną  
Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną;  
Dobyl z kieszeni papier i ołówek, sprzęty,  
Które zawsze miał z sobą, i na pień wygięty  
Rozpiąwszy kartkę, widać, że obraz malował,  
Mówiąc sam z sobą: "Jakbyś umyślnie grupował:  
Ten na głązie, ta w trawie, grupa malownicza!  
Głowy charakterowe! z kontrastem oblicza!"

Podchodził, wstrzymywał się, lornetkę przecierał,  
Oczy chustką obwiewał i coraz spozierał:  
"Miałoby to cudowne, śliczne widowisko  
Zginać albo zmienić się, gdy podejde blisko?  
Ten aksamit traw będziez to mak i botwinie?  
W nimfie tej czyż obaczę jaką ochmistrzynię?"

Choć Hrabia Telimenę już dawniej widywał  
W domu Sędziego, w którym dosyć często bywał,  
Lecz mało ją uważał; zadziwił się zrazu,  
Rozeznając w niej model swojego obrazu.  
Miejsca piękność, postawy wdzięk i gust ubrania  
Zmieniły ją, zaledwie była do poznania.

W oczach świeciły jeszcze niezagasłe gniewy;  
Twarz ożywiona wiatru świeżymi powiewy,  
Sporem z Sędzią i nagłym przybyciem młodzieńców,  
Nabrała mocnych, żywszych niż zwykle rumieńców.

"Pani, rzekł Hrabia, racz mej śmiałości darować,  
Przychodzę i przeproszać, i razem dziękować.  
Przeproszać, że jej kroków śledziłem ukradkiem,  
I dziękować, że byłem jej dumania świadkiem;  
Tyle ją obraziłem! winienem jej tyle!  
Przerwałem chwile dumań: winienem ci chwile  
Natchnienia! chwile błogie! potępiaj człowieka,  
Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!  
Na wielem się odważył, na więcej odważę!  
Sądź!" - tu ukląkł i podał swoje peizaze.

Telimena sądziła malowania próby  
Tonem grzecznej, lecz sztukę znającej osoby;  
Skąpa w pochwały, lecz nie szczędziła zachętu:  
"Brawo, rzekła, wiesz, niemało talentu.  
Tylko Pan nie zaniedbuj; szczególniej potrzeba  
Szukać pięknej natury! O, szczęśliwe nieba  
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!  
VVy, klasyczne Tyburu spadające wody!  
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!  
To, Hrabio, kraj malarzów! U nas, żal się Boże.  
Dziecko muz, w Soplicowie oddane na mamki,  
Umrze pewnie. Mój Hrabio, oprawię to w ramki  
Albo w album umieszczę, do rysunków zbiorku,  
Które zewsząd skupiałam: mam ich dosyć w biurku".

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,  
Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,  
Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,  
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.

A przecież wokoło nich ciągnęły się lasy  
Litewskie! tak poważne i tak pełne krasy!-  
Czeremchy oplatanie dzikich chmielów wieńcem,  
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,  
Leszczyna jak menada z zielonymi berły,  
Ubranymi jak w grona, w orzechowe perły;  
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,  
Ożyna czarne usta tuląca do malin.  
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,  
Jak do tańca stające panny i młodzieńce  
Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona



Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona  
Wysmukłością kibici i barwy powabem,  
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem  
A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki  
Patrzą siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,  
Tam matrony topole i mchami brodaty  
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,  
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,  
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.

Pan Tadeusz kręcił się nudząc niepomału  
Długą rozmową, w której nie mógł brać udziału;  
Aż gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje  
I wyliczać z kolei wszystkich drzew rodzaje:  
Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,  
Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,  
Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,  
Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,-  
Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać,  
Na koniec nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,  
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:  
"Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie  
Owe sławione drzewa rosnące na wschodzie  
I na południu, w owej pięknej włoskiej ziemi;  
Któreż równać się może z drzewami naszemi?  
Czy aloes z długimi jak konduktor pałki?  
Czy cytryna karlica z złocistymi gałki,  
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,  
Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata?  
Czy zachwalony cyprys, długi, cienki, chudy!  
Co zdaje się być drzewem nie smutku, lecz nudy?  
Mówią, że bardzo smutnie wygląda na grobie:  
Jest to jak lokaj Niemiec we dworskiej żałobie,  
Nie śmiejący rąk podnieść ani głowy skrzywić,  
Aby się etykiecie niczym nie sprzeciwić.

"Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina,  
Która jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,  
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy  
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!  
Niema z żalu, postawą jak wymownie szłocha!  
Czemuż Pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,  
Nie maluje drzew naszych, pośród których siedzi?  
Prawdziwie, będą z Pana żartować sąsiedzi,  
Że mieszkając na żyznej litewskiej równinie,

Malujesz tylko jakieś skały i pustynie".

"Przyjacielu! rzekł Hrabia, piękne przyrodzenie  
Jest formą, tłem, materią, a duszą natchnienie,  
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,  
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.  
Nie dość jest przyrodzenia, nie dosyć zapału,  
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!  
Nie wszystko, co jest piękne, wymalować da się!  
Dowiesz się o tym wszystkim z książek w swoim czasie.  
Co się tycze malarstwa: do obrazu trzeba  
Punktów widzenia, grupy, ensemblu i nieba,  
Nieba włoskiego! stąd też w kunszcie pejzażów  
Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów.  
Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle,  
Ale pejzażyści (bo są dwaj Brejgele),  
I oprócz Ruisdala, na całej północy  
Gdzież był pejzażysta który pierwszej mocy?  
Niebios, niebios potrzeba! " - "Nasz malarz Orłowski,  
Przerwała Telimena, miał gust Soplicowski.  
(Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,  
Że im oprócz Ojczyzny nic się nie podoba).  
Orłowski, który życie strawił w Peterburku,  
Sławny malarz (mam jego kilka szkiców w biurku),  
Mieszkał tuż przy cesarzu, na dworze, jak w rajcu,  
A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił po kraju,  
Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,  
Wysławiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy..."

"I miał rozum! zawołał Tadeusz z zapalem:  
Te Państwa niebo włoskie, jak o nim słyszałem,  
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda;  
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?  
U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków!  
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!  
Bo każda chmura inna: na przykład jesienna  
Pełźnie jak żółw leniwa, ulewą brzemienna,  
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi  
Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi;  
Chmura z gradem, jak balon, szybko z wiatrem leci,  
Krağła, ciemnoblękitna, w środku żółto świeci,  
Szum wielki słyhać wkoło; nawet te codzienne,  
Patrzcie Państwo, te białe chmurki, jak odmienne!  
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,  
A z tyłu wiatr jak sokoł do kupy je pędzi:  
Ściskają się, grubieją, rosna, nowe dziwy!  
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,

Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie  
Przelatują jak tabun rumaków po stepie:  
Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się - nagle  
Z ich karków rosła maszta, z grzyw szerokie żagle,  
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie  
Cicho, z wolna, po niebios błękitnej równinie! "

Hrabia i Telimena poglądali w górę;  
Tadeusz jedną ręką pokazał im chmurę,  
A drugą ścisnął z lekka rączkę Telimeny;  
Kilka już upłynęło minut cichej sceny;  
Hrabia rozłożył papier na swym kapeluszu  
I wydobył ołówek: wtem przykry dla uszu  
Odezwał się dzwon dworski, i zaraz śród lasu  
Cichego pełno było krzyku i hałasu.

Hrabia kiwnąwszy głową rzekł poważnym tonem:  
"Tak to na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem.  
Rachunki myśli wielkiej, plany wyobraźni,  
Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,  
Wylania się serc czułych! - gdy śpiż z dała ryknie,  
Wszystko miesza się, zrywa, mąci się i niknie!"  
Tu obróciwszy czuły wzrok ku Telimenie:  
"Cóż zostaje?" - a ona mu rzekła: "Wspomnienie"  
I chcąc Hrabiego nieco ułagodzić smutek,  
Podała mu urwany kwiatek niezabudek.  
Hrabia go ucałował i na pierś przyszpilał;  
Tadeusz z drugiej strony krzak ziele rozchyłał  
Widząc, że się ku niemu tym zielem przewija  
Coś białego, była to rączka jak lilija;  
Pochwycił ją, całował i usty po cichu  
Utonął w niej jak pszczoła w liliji kielichu;  
Uczuł na ustach zimno; znalazł klucz i biały  
Papier w trąbkę zwiniony, był to listek mały;  
Porwał, schował w kieszenie; nie wie, co klucz znaczy,  
Lecz mu to owa biała kartka wytłumaczy.

Dzwon wciąż dzwonił, i echem z głębi cichych lasów  
Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów;  
Odgłos to był szukania i nawoływania,  
Hasło zakończonego na dziś grzybobrania,  
Odgłos nie smutny wcale ani pogrzebowy,  
Jak się Hrabiemu zdało, owszem, obiadowy.  
Dzwon ten, w każde południe krzyczący z poddasza,  
Gości i czeladź domu na obiad zaprasza:  
Tak było w dawnych licznych dworach we zwyczajach  
I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju

Wychodziła gromada niosąca krobeczki,  
Koszyki, uwiązane końcami chusteczki,  
Pełne grzybów; a panny w jednym ręku niosły,  
Jako wachlarz zwiniony, borowik rozrosły,  
W drugim związane razem, jakby polne kwiatki,  
Opieńki i rozlicznej barwy surojadki:  
Wojski niósł muchomora. Z próżnymi przychodzi  
Rękami Telimena, z nią panicze młodzi.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem:  
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;  
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży;  
Obok stał Kwestarz; Sędzia tuż przy Bernardynie.  
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,  
Podano w kolej wódkę, za czym wszyscy siedli  
I chołodziec litewski milczkiem zwawo jedli.

Obiadowano ciszej, niż się zwykle zdarza;  
Nikt nie gadał pomimo wezwań gospodarza.  
Strony biorące udział w wielkiej o psów zwadzie  
Myśliły o jutrzejszej walce i zakładzie;  
Myśl wielka zwykle usta do milczenia zmusza.  
Telimena, mówiąca wciąż do Tadeusza,  
Musiała ku Hrabiemu nieraz się odwrócić,  
Nawet na Asesora nieraz okiem rzucić:  
Tak ptasznik patrzy w sidło, kędy szczygły zwabia,  
I razem w pastkę wróblą. Tadeusz i Hrabia,  
Obadwa radzi z siebie, obadwa szczęśliwi,  
Oba pełni nadziei, więc negadatliwi.  
Hrabia na kwiatek dumne opuszczał wejrzenie,  
A Tadeusz ukradkiem spozierał w kieszenie,  
Czy ów kluczyczek nie uciekł; ręką nawet chwycił  
I kręcił kartkę, której dotąd nie przeczytał.>  
Sędzia Podkomorzemu węgrzyna, szampana  
Dolewał, służył pilnie, ścisnął za kolana,  
Ale do rozmawiania z nim nie miał ochoty  
I widać, że czuł jakieś tajemne kłopoty.

Przemijały w milczeniu talerze i dania;  
Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania  
Gość niespodziany, szybko wpadając, gajowy;  
Nie zważał nawet, że czas właśnie obiadowy,  
Podbiegł do Pana; widać z postawy i z miny,  
Że ważnej i niezwykłej jest posłem nowiny.  
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie,  
On, odetchnąwszy nieco, rzekł: "Niedźwiedź, Mospanie!"

Resztę wszyscy odgadli; że zwierz z matecznika  
Wyszedł, że w Zaniemeńską puszcę się przemyka,  
Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,  
Choć ani się radzili, ani namyślali -  
Spólną myśl widać było z uciętych wyrazów,  
Z gestów żywych, z wydanych rozlicznych rozkazów,  
Które, wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu,  
Dążyły przecież wszystkie do jednego celu.

"Na wieś! zawołał Sędzia, hej! konno, setnika!  
Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika;  
Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny  
Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny".

"W skok, krzyknął Podkomorzy, okulbaczyć siwą,  
Dobiec w cwał do mojego dworu; wziąć co żywo  
Dwie pjawki, które w całej okolicy słyną,  
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;  
Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu  
I przystawić je tutaj konno dla pośpiechu".  
"Wańka!" krzyknął na chłopca Asesor po rusku,  
"Tasak mój Sanguszowski pociągnąć na brusku:  
Wiesz, tasak, co od Księcia miałem w podarunku;  
Pas opatrzeć, czy kula jest w każdym ładunku".  
"Strzelby, krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu!"  
Asesor wołał ciągle: "Ołowiu, ołowiu!  
Formę do kul mam w torbie". - "Do księdza plebana  
Dać znać, dodał pan Sędzia, żeby jutro z rana  
Mszę miał w kaplicy leśnej; króciuchna oferta  
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta".

Po wydanych rozkazach nastąpiło milczenie;  
Każdy dumał i rzucał dokoła wejrzenie,  
Jak gdyby kogoś szukał; z wolna wszystkich oczy  
Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:  
Znak to był, że szukają na przyszłą wyprawę  
Wodza i że Wojskiemu oddają buławę.  
Wojski powstał, zrozumiał towarzyszków wolę  
I uderzywszy ręką poważnie po stole,  
Pociągnął złocistego z zanadru łańcuszka,  
Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka.  
"Jutro, rzekł, pół do piątej, przy leśnej kaplicy  
Stawią się bracia strzelcy, wiara obławnicy".  
Rzekł i ruszył od stołu, za nim szedł gajowy;  
Oni obmyślić mają i urządzić łowy.

Tak wodze gdy na jutro bitwę zapowiedzą,

Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,  
Lub na płaszcach i siodłach śpią próżni kłopotu,  
A wodze wśród cichego dumają namiotu.

Przerwał się obiad, dzień zszedł na kowaniu koni,  
Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni,  
U wieczerzy za ledwie kto przysiadł do stoła;  
Nawet strona Kusego z partyją Sokoła  
Przestała dawnym wielkim zatrudniać się sporem:  
Pobrawszy się pod rękę Rejent z Asesorem  
Wyszukują ołowiu. Reszta spracowana  
Szła spać wcześniej, ażeby przebudzić się z rana.

## Księga IV: Dyplomatyka i łowy

Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa  
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!  
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy  
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy  
I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze,  
Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze  
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,  
A Wiliji widokiem i szumem Wilejki  
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym;  
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym  
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi  
Jak wilk pośrodku zubrów, dzików i niedźwiedzi.  
Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,  
Wyszedł Kiejstut i Olgierd, i Olgierdowicy,  
Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,  
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.  
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów,  
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy  
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,  
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy  
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.  
Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy,  
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,  
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?  
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię;  
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie  
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,  
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?  
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?  
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi  
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,  
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami  
Stu młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera  
Kupiecka, lub rządowa, moskiewska siekiera!  
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,  
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.  
Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,  
Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła  
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!

Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy  
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy  
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,  
Zapomniawszy o łowach usiadłem na kępie,  
A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,  
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,  
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,  
Strojne w brusznice jakby w koralów paciorki -  
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry  
Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury,  
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,  
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:  
Dziwny, odurzający hałas! mnie się zdało,  
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast: tu wywrot dębu  
Wysterka z ziemi na kształt ogromnego zrębu;  
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,  
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,  
Ogrodzone parkanem traw; w środek tarasu  
Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,  
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości  
Na pół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.  
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,  
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie  
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,  
Jak promień, kiedy wpadłszy gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieciół na jedlinie  
Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,  
Schował się, ale dziobem nie przestaje pukać,  
Jak dziecko, gdy schowane woła, by go szukać.  
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,  
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,  
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyjera;  
Chociaż tak osłonięta, dokoła spoziera;  
Dostrzegłszy gościa skacze gajów tanecznicą  
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;  
Na koniec w niewidzialny otwór pnia przepada  
Jak wracająca w drzewo rodzime dryjada.  
Znowu cicho.

Wtem gałąź wstrząsła się trącona  
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona  
Krańsze od jarzębin zajaśniały lica:  
To jagód lub orzechów zbieraczka, dziewica;  
W krobeczce z prostej kory podaje zebrane  
Bruśnice świeże, jako jej usta rumiane;



Obok młodzieniec idzie, leszczyne nagina,  
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

Wtem usłyszeli odgłos rogów i psów granie,  
Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,  
I pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi,  
Zniknęli nagle z oczu jako leśne bogi.

W Soplicowie ruch wielki; lecz ni psów hałasy,  
Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,  
Ni odgłos trąb dających hasło polowania  
Nie mogły Tadeusza wyciągnąć z posłania;  
Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.  
Nikt z młodzieży nie myślał szukać go po dworze,  
Każdy sobą zajęty śpieszył, gdzie kazano;  
O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.

On chrapał; słońce w otwór, co śród okienicy  
Wyrznięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy  
Słupem ognistym, prosto sennemu na czoło;  
On jeszcze chciał zadrzemać i kręcił się w koło,  
Chroniąc się blasku, nagle usłyszał stuknienie,  
Przebudził się; wesołe było przebudzenie.  
Czuł się rzeźwym jak ptaszek, z lekkością oddychał,  
Czuł się szczęśliwym, sam się do siebie uśmiechał:  
Myśląc o wszystkim, co mu wczora się zdarzyło,  
Rumienił się i wzdychał, i serce mu biło.  
Spójrzył w okno, o dziwy! w promieni przezroczu,  
W owym sercu, błyszczało dwoje jasnych oczu,  
Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzenie,  
Kiedy z jasności dziennej przedziera się w cienie;  
Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz z boku  
Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku,  
Palce drobne, zwrócone na światło różowe,  
Czerwieniły się na wskroś jakby rubinowe;  
Usta widział ciekawe, roztulone nieco,  
I ząbki, co jak perły śród koralów świecą,  
I lica, choć od słońca zasłaniane dłonią  
Różową, same całe jak róże się płonią.

Tadeusz spał pod oknem; sam ukryty w cieniu,  
Leżąc na wznak, cudnemu dziwił się zjawieniu,  
I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy,  
Nie wiedział, czy to jawa, czyli mu się marzy  
Jedna z tych miłych, jasnych twarzyczek dzieciennych,  
Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych.  
Twarzyczka schyliła się - ujrzał, drżąc z bojaźni

I radości, niestety! ujrzał najwyraźniej,  
Przypomniał, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,  
W drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty,  
Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku  
Świeciły jak korona na świętych obrazku.

Zerwał się; i widzenie zaraz uleciało,  
Przestraszone łoskotem; czekał, nie wracało!  
Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie  
I słowa: "Niech Pan wstaje, czas na polowanie,  
Pan zasnął". Skoczył z łóżka i obu rękami  
Pchnął okienicę, że aż trzasła zawiasami  
I rozwarłszy się w obie uderzyła ściany;  
Wyskoczył, patrzył wkoło, zdumiony, zmieszany,  
Nic nie widział, nie dostrzegł niczyjego śladu.  
Niedaleko od okna był parkan od sadu,  
Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce  
Chwiały się; czy je lekkie potrąciły ręce?  
Czy wiatr ruszył? Tadeusz długo patrzył na nie,  
Nie śmiał iść w ogród; tylko wsparł się na parkanie,  
Oczy podniósł i z palcem do ust przyciśniętym  
Kazał sam sobie milczeć, by słowem kwapionym  
Nie rozerwał myślenia; potem w czoło stukał,  
Niby do wspomnień dawnych, uspionych w nim, pukał,  
Na koniec gryząc palce do krwi się zadrasnął  
I na cały głos: "Dobrze, dobrze mi tak!" wrzasnął.

We dworze, gdzie przed chwilą tyle było krzyku,  
Teraz pusto i głucho jak na mogilniku:  
Wszyscy ruszyli w pole; Tadeusz nadstawił  
Uszu i ręce do nich jak trąbki przyprawił,  
Słuchał, aż mu wiatr przyniósł, wiejący od puszczy,  
Ogłosy trąb i wrzaski polującej tłuszczy.

Koń Tadeusza w stajni czekał osiodłany,  
Wziął więc flintę, skoczył nań i jak opętany  
Pędził ku karczmom, które stały przy kaplicy,  
Kędy mieli się rankiem zebrać obławnicy.

Dwie chyliły się karczmy po dwóch stronach drogi,  
Oknami wzajem sobie grożąc jako wrogie;  
Stara należy z prawa do zamku dziedzica,  
Nową na złość zamkowi postawił Soplica.  
W tamtej, jak w swym dziedzictwie, rej wodził Gerwazy,  
W tej najwyższe za stołem brał miejsce Protazy.  
Nowa karczma nie była ciekawa z pozoru.  
Stara wedle dawnego zbudowana wzoru,

Który był wymyślony od tyryjskich cieśli,  
A potem go Żydowie po świecie roznieśli:  
Rodzaj architektury, obcym budowniczym  
Wcale nie znany; my go od Żydów dziedziczym.

Karczma z przodu jak korab, z tyłu jak świątynia:  
Korab, istna Noego czworogranna skrzynia,  
Znany dziś pod prostackim nazwiskiem stodoły;  
Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,  
Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady  
I płazów choć po parze, są też i owady.  
Część tylnia, na kształt dziwnej świątyni stawiona,  
Przypomina z pozoru ów gmach Salomona,  
Który pierwsi ćwiczeni w budowań rzemieśle  
Hiramscy na Syjonie wystawili cieśle.  
Żydzi go naśladują dotąd we swych szkołach,  
A szkoł rysunek widny w karczmach i stodołach.  
Dach z dranic i ze słomy, śpiczasty, zadarty,  
Pogięty jako kołpak żydowski podarty.  
Ze szczytu wytryskają krużganku krawędzie,  
Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie;  
Kolumny, co jak wielkie architektów dziwo,  
Trwałe, chociaż wpół zgniłe i stawione krzywo  
Jako w wieży pizańskiej, nie podług modeliów  
Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.  
Nad kolumnami biegą wpółokrągłe łuki,  
Także z drzewa, gotyckiej naśladowstwo sztuki.  
Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłutem,  
Ale zręcznie ciesielskim wyrzeźbane skłutem,  
Krzywe jak szabasowych ramiona świeczników;  
Na końcu wiszą gałki, coś na kształt guzików,  
Które Żydzi modląc się na łbach zawieszają  
I które po swojemu "cyces" nazywają.  
Słowem, z daleka karczma chwiejąca się, krzywa,  
Podobna jest do Żyda, gdy się modląc kiwa:  
Dach jak czapka, jak broda strzecha roztrzęśniona.  
Ściany dymne i brudne jak czarna opona,  
A z przodu rzeźba sterczy jak cyces na czole.

W środku karczmy jest podział jak w żydowskiej szkole:  
Jedna część, pełna izbic ciasnych i podłużnych,  
Służy dla dam wyłącznie i panów podróżnych;  
W drugiej ogromna sala. Koło każdej ściany  
Ciągnie się wielonożny stół wąski, drewniany.  
Przy nim stołki, choć niższe, podobne do stoła  
Jako dzieci do ojca.  
Na stołkach dokoła

Siedziały chłopcy, chłopki, tudzież szlachta drobna,  
Wszyscy rzędem; Ekonom sam siedział z osobna.  
Po rannej mszy z kaplicy, że była niedziela,  
Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.  
Przed każdym już szumiała siwą wódką czarka,  
Ponad wszystkimi z butlą biegała szynkarka.  
W środku arendarz Jankiel, w długim aż do ziemi  
Szarafanie, zapiętym haftkami srebrnymi,  
Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,  
Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził;  
Rzucając wkoło okiem, rozkazy wydawał,  
Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał  
Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,  
Lecz nie służył nikomu, tylko się przechadzał.  
Żyd stary i powszechnie znany z poczciwości,  
Od lat wielu dzierżawił karcznię, a nikt z włości,  
Nikt ze szlachty nie zaniósł nań skargi do dworu:  
O cóż skarżyć? miał trunki dobre do wyboru,  
Rachował się ostrożnie, lecz bez oszukaństwa,  
Ochoty nie zabraniał, nie cierpiał pijaństwa,  
Zabaw wielki miłośnik; u niego wesele  
I chrzciny obchodzono; on w każdą niedzielę  
Kazał do siebie ze wsi przychodzić muzyce,  
Przy której i basetła była, i kozice.

Muzykę znał, sam sływał muzycznym talentem;  
Z cymbałami, narodu swego instrumentem,  
Chadzał niegdyś po dworach i graniem zdumiewał  
I pieśniami, bo biegle i uczenie śpiewał.  
Chociaż Żyd, dosyć czystą miał polską wymowę,  
Szczególniej zaś polubił pieśni narodowe;  
Przywoził mnóstwo z każdej za Niemen wyprawy  
Kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy;  
Wieść, nie wiem czyli pewna, w całej okolicy  
Głosiła, że on pierwszy przywiózł z zagranicy  
I upowszechnił wówczas w tamecznym powiecie  
Ową piosenkę, sławną dziś na całym świecie,  
A którą po raz pierwszy na ziemi Auzonów  
Wygrały Włochom polskie trąby legijonów.  
Talent śpiewania bardzo na Litwie popłaca,  
Jedna miłość u ludzi, wślawia i wzbogaca:  
Jankiel zrobił majątek; syt zysków i chwały,  
Zawiesił dźwięcznostrunne na ścianie cymbały;  
Osiadłszy z dziećmi w karczmie, zatrudniał się szynkiem,  
Przy tym w pobliskim mieście był też podrabinkiem,  
A zawsze miłym wszędzie gościem i domowym  
Doradcą; znał się dobrze na handlu zbożowym,

Na wicinym: potrzebna jest znajomość taka  
Na wsi. - Miał także sławę dobrego Polaka.

On pierwszy zgodził kłótnie, często nawet krwawe,  
Między dwiema karczmami: obie wziął w dzierżawę;  
Szanowali go równie i starzy stronnicy  
Horeszkowscy, i słudzy sędziego Soplicy.  
On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym  
Klucznikiem Horeszkowskim i kłótliwym Woźnym;  
Przed Jankielem tłumili dawne swe urazy,  
Gerwazy groźny ręką, językiem Protazy.

Gerwazego nie było; ruszył na oblawę,  
Nie chcąc, aby tak ważną i trudną wyprawę  
Odbył sam Hrabia, młody i niedoświadczony;  
Poszedł więc z nim dla rady tudzież dla obrony.

Dziś miejsce Gerwazego, najdalsze od progu,  
Między dwiema ławami, w samym karczmy rogu,  
Zwane pokuciem, kwestarz ksiądz Robak zajmował;  
Jankiel go tam posadził; widać, że szanował  
Wysoko Bernardyna, bo skoro dostrzegął  
Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał  
I rozkazał dolewać lipcowego miodu.  
Słysząc, że z Bernardynem znali się za młodu  
Kędyś tam w cudzych krajach. Robak często chadzał  
Nocą do karczmy, tajnie z Żydem się naradzał  
O ważnych rzeczach; słysząc było, że towary  
Ksiądz przemyślał, lecz potwarz ta niegodna wiary.

Robak wsparty na stole w półgłębokość rozprawiał,  
Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,  
I nosy ku księdzowskiej chylił tabakierze;  
Brano z niej, i kichała szlachta jak moździerze.  
"Reverendissime, rzekł kichnąwszy Skołuba,  
To mi tabaka, co to idzie aż do czuba;  
Od czasu jak nos dźwigam (tu głośną nos długi),  
Takiej nie zażywałem (tu kichnął raz drugi);  
Prawdziwa bernardynka, pewnie z Kowna rodem,  
Miasta sławnego w świecie tabaką i miodem.  
Byłem tam lat już..." Robak przerwał mu: "Na zdrowie  
Wszystkim Waszmościom, moi Mościwi Panowie!  
Co się tabaki tycze, hem, ona pochodzi  
Z dalszej strony, niż myśli Skołuba Dobrodziej;  
Pochodzi z Jasnej Góry; księża paulinowie  
Tabakę taką robią w mieście Częstochowie,  
Kędy jest obraz tyłu cudami wstawiony

Bogarodzicy Panny, Królowej Korony  
Polskiej; zowią ją dotąd i Księżną Litewską!  
Koronę jeszcze dotąd piastuje królewską,  
Lecz na Litewskim Księstwie teraz szyma siedzi! "  
"Z Częstochowy? rzekł Wilbik, byłem tam w spowiedzi,  
Kiedym na odpust chodził lat temu trzydzieście;  
Czy to prawda, że Francuz gości teraz w mieście,  
Że chce kościół rozwalić i skarbiec zabierze,  
Bo to wszystko w Litewskim stoi Kuryjerze?"  
"Nieprawda, rzekł Bernardyn, nie, Pan Najjaśniejszy  
Napoleon katolik jest najprzykładniejszy;  
Wszak go papież namaścił, żyją z sobą w zgodzie  
I nawracają ludzi w francuskim narodzie,  
Który się trochę popsuł; prawda, z Częstochowy  
Oddano wiele srebra na skarb narodowy  
Dla Ojczyzny, dla Polski; sam Pan Bóg tak każe,  
Skarbcem Ojczyzny zawsze są Jego ołtarze;  
Wszakże w Warszawskim Księstwie mamy sto tysięcy  
Wojska polskiego, może wkrótce będzie więcej,  
A któż wojsko opłaci? czy nie wy, Litwini?  
Wy tylko grosz dajecie do moskiewskiej skrzyni".  
"Kat by dał, krzyknął Wilbik, gwałtem od nas biorą".  
"Oj, Dobrodzieju!" chłopiek ozwał się z pokorą,  
Pokłoniwszy się księdzu i skrobiąc się w głowę,  
"Już to szlachcie, to jeszcze bieda przez połowę,  
Lecz nas drą jak na łyka". - "Cham, Skołuba krzyknął,  
Głupi, tobiec to lepiej, tyś, chłopie, przywyknął  
Jak węgorz do odarcia; lecz nam urodzonym,  
Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwyczajonym!  
Ach, bracia, wszak to dawniej szlachcie na zagrodzie...  
("Tak, tak, krzyknęli wszyscy: równy wojewodzie!")  
Dziś nam szlachectwa przeczą, każą nam drabować  
Papierem i szlachectwa papierem probować".  
"Jeszcze Waszeci mniejsza, zawołał Juraha,  
Waszeć z pradziadów chłopów uszlachcony szlachta,  
Ale ja, z kniaziów! pytać u mnie o patenta,  
Kiedym został szlachcicem? sam Bóg to pamięta!  
Niechaj Moskał w las idzie pytać się dębiny,  
Kto jej dał patent rosnać nad wszystkie krzewiny".  
"Kniazium, rzekł Żagiel, świeć Waś baki lada komu,  
Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu".  
"Waś ma krzyż w herbie, wołał Podhajski, to skryta  
Aluzyja, że w rodzie był neofita".  
"Fałsz! przerwał Birbasz, przecież ja z tatarskich hrabiów  
Pochodzę, a mam krzyże nad herbem Korabiów".  
"Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu złotym,  
Herb książęcy, Strykowski gęsto pisze o tym".

Za czym wielkie powstały w całej karczmie szmery;  
Ksiądz Bernardyn uciekł się do swej tabakiery,  
W kolej częstował mówców, gwar zaraz ucichnął,  
Każdy zażył przez grzeczność i kilkakroć kichnął.  
Bernardyn korzystając z przerwy mówił dalej :  
"Oj, wielcy ludzie od tej tabaki kichali!  
Czy uwierzycie Państwo, że z tej tabakiery  
Pan generał Dąbrowski zażył razy cztery?"  
"Dąbrowski?" zawołali. - "Tak, tak, on generał;  
Byłem w obozie, gdy on Gdańsk Niemcom odbierał,  
Miał coś pisać; bojąc się, ażeby nie zasnął,  
Zażył, kichnął, dwakroć mię po ramieniu klasnął:  
"Księżu Robaku, mówił, Księżu Bernardynie,  
Obaczmy się w Litwie, może nim rok minie;  
Powiedz Litwinom, niech mię czekają z tabaką  
Częstochowską, nie biorę innej, tylko taką".

Mowa Księdza wzbudziła takie zadziwienie,  
Taką radość, że całe huczne zgromadzenie  
Milczało chwilę; potem na pół ciche słowa  
Powtarzano: "Tabaka z Polski? Częstochowa?  
Dąbrowski? z ziemi włoskiej?" - aż na koniec razem,  
Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem,  
Wszyscy jedynogłośnie, jak na dane hasło,  
Krzyknęli: "Dąbrowskiego! " Wszystko razem wrzasło,  
Wszystko się uścisnęło: chłop z tatarskim hrabią,  
Mitra z Krzyżem, Poraje z Gryfem i z Korabią;  
Zapomnieli wszystkiego, nawet Bernardyna,  
Tylko śpiewali krzycząc: "Wódki, miodu, wina!"

Długo się przysłuchiwał ksiądz Robak piosence,  
Na koniec chciał ją przerwać; wziął w obiedwie rękę  
Tabakierkę, kichaniem melodyję zmieszał  
I nim się nastroili, tak mówić pośpieszał:  
"Chwalicie mą tabakę, Mości Dobrodzieje,  
Obaczcież, co się wewnątrz tabakierki dzieje".  
Tu, wycierając chustką zabrudzone denko,  
Pokazał malowaną armiję, malenką  
Jak rój much; w środku jeden człowiek na rumaku,  
Wielki jako chrząszcz, siedział, pewnie wódz orszaku;  
Spinał konia, jak gdyby chciał skakać w niebiosa,  
Jedną rękę na cuglach, drugą miał u nosa.  
"Przypatrzcie się, rzekł Robak, tej groźnej postawie,  
Zgadnijcie, czyja?" - Wszyscy patrzyli ciekawie.-  
"Wielki to człowiek, Cesarz, ale nie Moskali,  
Ich carowie tabaki nigdy nie bierali".

"Wielki człowiek, zawołał Cydzik, a w kapocie?  
Ja myślałem, że wielcy ludzie chodzą w złocie,  
Bo u Moskalów lada generał, Mospanie,  
To tak świeci się w złocie jak szczupak w szafranie".  
"Ba, przerwał Rymsza, przecież widziałem za młodu  
Kościuszkę, naczelnika naszego narodu:  
Wielki człowiek! a chodził w krakowskiej sukmanie,  
To jest czamarce". - "W jakiej czamarce, Mospanie?  
Odparł Wilbik, to przecież zwano taratatką".  
"Ale tamta z fręzlami, ta jest całkiem gładką"  
Krzyknął Mickiewicz; - zatem wszczynają się swary  
O różnych taratutki kształtach i czamary.

Przemysłny Robak widząc, że się tak rozpryska  
Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska,  
Do swojej tabakiery; częstował, kichali,  
Życzyli sobie zdrowia, on rzecz ciągnął dalej:  
"Gdy cesarz Napoleon w potyczce zażywa  
Raz po raz, to znak pewny, że bitwę wygrywa;  
Na przykład pod Austerlic; Francuzi tak stali  
Z armatami, a na nich biegła ćma Moskali;  
Cesarz patrzył i milczał; co Francuzi strzelą,  
To Moskale pułkami jak trawa się ścielą.  
Pułk za pułkiem cwałował i spadał z kulbaki;  
Co pułk spadnie, to Cesarz zażyje tabaki;  
Aż w końcu Aleksander, ze swoim braciszkiem  
Konstantym i z niemieckim cesarzem Franciszkiem,  
W nogi z pola; więc Cesarz widząc, że po walce,  
Spojrzał na nich, zaśmiał się i otrząsnął palce.  
Otoż, jeśli kto z Panów, coście tu przytomni,  
Będzie w wojsku Cesarza, niech to sobie wspomni".

"Ach! zawołał Skołuba, mój Księżu Kwestarzu!  
Kiedyż to będzie! wszak to ile w kalendarzu  
Jest świąt, na każde święto Francuzów nam wróżą;  
Wygląda człek, wygląda, aż się oczy mrużą,  
A Moskal jak nas trzymał, tak trzyma za szyję;  
Pono nim słońce wnidzie, rosa oczy wyje".

"Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narzekać,  
A żydowska rzecz ręce założywszy czekać,  
Nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka;  
Z Napoleonem pobić Moskalów nie sztuka.  
Jużci on Szwabom skórę trzy razy wymłócił,  
Brzydkie Prusactwo zdeptał, Anglików wyrzucił  
Het za morze, Moskałom zapewne wygodzi;  
Ale co stąd wyniknie, wie Asan Dobrodziej?



Oto szlachta litewska wtenczas na koń wsiedzie  
I szable weźmie, kiedy bić się z kim nie będzie;  
Napoleon, sam wszystkich pobiwszy, nareszcie  
Powie: "Obejdę się ja bez was, kto jesteście?"  
Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić,  
Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,  
A przed ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci;  
Oczyścić dom, powtarzam, oczyścić dom, dzieci! "

Nastąpiło milczenie, potem głosy w tłumie:  
"Jakże to dom oczyścić? jak to Ksiądz rozumie?  
Jużci my wszystko zrobim, na wszystko gotowi,  
Tylko niech Ksiądz Dobrodziej jaśniej się wysłowi".

Ksiądz poglądał za okno, przerwawszy rozmowę;  
Ujrzał coś ciekawego, z okna wytknął głowę,  
Po chwili rzekł powstając: "Dziś czasu nie mamy,  
Potem o tem obszerniej z sobą pogadamy;  
Jutro będę dla sprawy w powiatowym mieście  
I do Waszmościów z drogi zajadę po kweście".

"Niech też do Niehrymowa Ksiądz na nocleg zdaży,  
Rzekł Ekonom, rad będzie Księdzu pan Chorąży;  
Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie:  
Szczęśliwy człowiek, jako kwestarz w Niehrymowie!"  
"I do nas, rzekł Zubkowski, wstąp, jeżeli łaska;  
Znajdzie się tam półsztuczek płótna, masła faska,  
Baran lub krówka; wspomnij, Księżo, na te słowa:  
Szczęśliwy człowiek, trafił jak ksiądz do Zubkowa".  
"I do nas" rzekł Skołuba. - "Do nas", Terajewicz,  
"Żaden bernardyn głodny nie wyszedł z Pucewicz".  
Tak cała szlachta prośbą i obietnicami  
Przeprowadzała Księdza; on już był za drzwiami.

On już pierwej przez okno ujrzał Tadeusza,  
Który leciał gościńcem, w cwał, bez kapelusza,  
Z głową schyloną, bladym, posępnym obliczem,  
A konia ustawicznie bodł i kropił biczem.  
Ten widok bardzo księdza Bernardyna zmieszał;  
Więc za młodzieńcem kroki szybkimi pośpieszał  
Do wielkiej puszczy, która, jako oko sięga,  
Czerniła się na całym brzegu widnokręga.

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,  
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?  
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;  
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,

Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,  
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice:  
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.  
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,  
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,  
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni  
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,  
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.  
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkim męstwem,  
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem;  
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,  
Małe jeziora, trawą zarosłe na poły,  
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą  
(Wielkie jest podobieństwo, że diabły tam siedzą).  
Woda tych studni sklni się, plamista rdzą krwawą.  
A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,  
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;  
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,  
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate  
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,  
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa  
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za tymi jeziorami już nie tylko krokiem,  
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;  
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,  
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.  
A za tą mgłą na koniec (jak wieść gminna głosi)  
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,  
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.  
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,  
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;  
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu  
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.  
W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory  
Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszcza imperatory.  
Okolo nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry  
I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministery;  
Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wasale,  
Mieszkają Dzikie, Wilki i Łosie rogale.  
Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,  
Żyjący z pańskich stołów, dworscy zauszniccy.  
Te pary zwierząt główne i patryjarchalne,  
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,  
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,  
A sami we stolicy używają wczasu;  
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,

Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.  
Mają też i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,  
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.  
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby strawy nie przeżuwa,  
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,  
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,  
Kruk, gdy już posiwieje, sokoł, gdy oślepnie,  
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,  
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,  
Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz, raniony  
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.  
Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,  
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.  
Słychać, że tam w stolicy, między zwierzętami  
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;  
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,  
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,  
Nie znają pojedynków ni wojennej sztuki.  
Jak ojce żyły w raj, tak dziś żyją wnuki,  
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,  
Nigdy jeden drugiego nie kąsa ni bodzie.  
Nawet gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,  
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;  
One by nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,  
Jakim w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia  
Ojce ich pierwsze, co się w ogrójcu gnieździły,  
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.  
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,  
Bo Trud i Trwoga, i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekle ogary,  
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,  
Wewnętrznej ich okropności rażone widokiem,  
Uciekają skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;  
I długo potem, ręką pana już głaskane,  
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.  
Te puszczy stołeczne, ludziom nie znane tajniki  
W języku swoim strzelcy zowią: mateczniki.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział,  
Nigdy by się o tobie Wojski nie dowiedział;  
Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,  
Czy uczuleś do owsa dojrzałego skłonność,  
Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przeredził,  
I tam zaraz leśniczy bytność twą wyszedził,  
I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,  
By poznać, gdzie popasasz i gdzie masz noclegi;

Teraz Wojski z obławą, już od matecznika  
Postawiwszy szeregi, odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu  
Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.

Cicho; - próżno myśliwi natężają ucha;  
Próżno, jak najciekawszej mowy, każdy słucha  
Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka;  
Tylko muzyka puszczy gra do nich z daleka.  
Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki.  
A strzelcy obróciwszy do lasu dwururki  
Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta;  
Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta  
Wyrok życia lub zgonu miłej im osoby,  
Tak strzelcy, ufni w sztuki Wojskiego sposoby,  
Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi.  
"Jest! jest!" wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.  
On słyszał! oni jeszcze słuchali - nareszcie  
Słyszą: jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,  
Wszystkie razem ogary rozpierchnioną zgrają  
Doławiają się, wrzeszczą, wpadli na trop, grają,  
Ujadają. Już nie jest to powolne granie  
Psów goniących zająca, lisa albo łanie,  
Lecz wciąż wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;  
To nie na ślad daleki ogary napadły,  
Na oko gonią, - nagle ustał krzyk pogoni,  
Doszli zwierza - wrzask znowu, skowyt, - zwierz się broni  
I zapewne kaleczy, wśród ogarów grania  
Słysząc coraz to częściej jęk psiego konania.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową  
Wygiął się jak łuk naprzód, z wciśnioną w las głową;  
Nie mogą dłużej czekać! Już ze stanowiska  
Jeden za drugim zmyka i w puszcze się wciska;  
Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegał,  
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,  
Krzyżąc, że czy kto prostym chłopem, czy paniczem,  
Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem.  
Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu  
W las pobiegli, trzy strzelby huknęły od razu,  
Potem wciąż kanonada, aż głośniejsz nad strzały  
Ryknął niedźwiedź i echem nappełnił las cały.  
Ryk okropny! boleści, wściekłości, rozpacz;  
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy  
Grzmiały ze środka puszczy; strzelcy - ci w las śpieszą,  
Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą;

Jeden Wojski w złości, krzyczy, że chybiono.  
Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną  
Na przelaj zwierza, między ostępem i puszcza;  
A niedźwiedź, odstraszone psów i ludzi tłuszcza,  
Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone  
Ku polom, skąd już zeszły strzelcy rozstawione,  
Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków  
Wojski, Tadeusz, Hrabia, z kilką obławników.

Tu las był rzadszy; słyhać z głębi ryk, trzask łomu,  
Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź na kształt gromu;  
Wkoło psy gonia, straszą, rwą; on wstał na nogi  
Tylne i spojrział wkoło, rykiem strasząc wrogi,  
I przednimi łapami to drzewa korzenie,  
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie  
Rwał, wałąc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo,  
Kręcąc nim jak maczugą na prawo, na lewo,  
Runął wprost na ostatnich strażników obławy,  
Hrabie i Tadeusza: oni bez obawy  
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,  
Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;  
Aż oba jednym razem pociągnęli kurki  
(Niedoświadczeni), razem zagrzmiały dwururki;  
Chybili; niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony  
Oszczep jeden chwycili czterema ramionami,  
Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu z pyska  
Wielkiego, czerwonego dwa rzędy kłów błyska,  
I łapa z pazurami już się na łby spuszcza;  
Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza,  
Zmykali; zwierz za nimi wspiął się, już pazury  
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry  
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.  
Zdarłby mu czaszkę z mózgow jak kapelusz z głowy,  
Gdy Asesor z Rejentem wyskoczyli z boków,  
A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,  
Z nim Robak, choć bez strzelby - i trzej w jednej chwili  
Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.  
Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami  
I głową na dół runął, i czterema łapami  
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemie  
Wałąc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.  
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły  
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty  
Swój róg bawoli, długi, cętkowany, kręty  
Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,

Wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął,  
Zasunął wpół powieki, wciągnął w głąb pól brzucha  
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,  
I zagrał: róg jak wichur, wirowatym dechem  
Niesie w puszczy muzykę i podwaja echem.  
Umilkli strzelcy, stali szczwacze zadziwieni  
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.  
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach sływał,  
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;  
Nappełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,  
Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczął łowy.  
Bo w graniu była łowów historyja krótka:  
Zrazu odzew dźwięczący, rześki: to pobudka;  
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;  
A gdzieniegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadał znowu; myśliłbyś, że róg kształty zmieniał  
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,  
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję  
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje,  
Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło,  
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.  
Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,  
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,  
Słysząc zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,  
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry  
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.  
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,  
Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru.  
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,  
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,  
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu  
Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym  
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiętym, promiennym,

Z oczyma wzniesionymi, stał jakby natchniony,  
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.  
A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,  
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszone się z wolna i oczy gawiedzi  
Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi:  
Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,  
Piersiami w gęszcze trawy wplątany i wbity,  
Rozprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,  
Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,  
Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;  
Pjawkę Podkomorzego dierzgą go pod uszy,  
Z lewej strony Strapczyna, a z prawej zawisał  
Sprawnik i dusząc gardziel krew czarną wysysał.

Za czym Wojski rozkazał kij żelazny włożyć  
Psom między zęby i tak paszczęki roztworzyć.  
Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki  
I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

"A co? krzyknął Asesor kręcąc strzelby rurą,  
A co? fuzyjka moja? górą nasi, górą!  
A co? fuzyjka moja? niewielka ptaszyna,  
A jak się popisała? to jej nie nowina,  
Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku,  
Od księżęcia Sanguszki mam ją w podarunku".  
Tu pokazywał strzelbę przedziwnej roboty,  
Choć maleńką, i zaczął wyliczać jej cnoty.  
"Ja biegłem, przerwał Rejent otarłszy pot z czoła,  
Biegłem tuż za niedźwiedziem; a pan Wojski woła:  
"Stój na miejscu"; jak tam stać, niedźwiedź w pole wali  
Rwąc z kopyta jak zając, coraz dalej, dalej,  
Aż mi ducha nie stało, dobiec ni nadziei,  
Aż spojrzę w prawo: sady, a tu rzadko w kniei,  
Jak też wziąłem na oko, postójże, marucha!  
Pomyśliłem, i basta: ot, leży bez ducha;  
Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,  
Napis: "Sagalas London á Bałabanówka".  
(Sławny tam mieszkał ślusarz Polak, który robił  
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdołał)".  
"Jak to, parsknął Asesor, do kroćset niedźwiedzi!  
To to niby Pan zabił? co też to Pan bredzi?"  
"Słuchaj no, odparł Rejent, tu, Panie, nie śledztwo,  
Tu obława; tu wszystkich wezwiem na świadectwo".

Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta,

Ci stronę Asesora, ci brali Rejenta;  
O Gerwazym nie wspomniał nikt, bo wszyscy biegli  
Z boków, i co się z przodu działo, nie postrzegli.  
Wojski głos zabrał: "Teraz jest przynajmniej za co,  
Bo to, Panowie, nie jest ów szarak ladaco,  
To niedźwiedź, tu już nie żal poszukać odwetu,  
Czy szarpetyną, czyli nawet z pistoletu;  
Spór wasz trudno pogodzić, więc dawnym zwyczajem  
Na pojedynek nasze pozwolenie dajem.  
Pamiętam, za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,  
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów,  
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,  
Jeden zwał się Domeyko, a drugi Doweiko.  
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:  
Kto zabił, trudno dociec, strasznie się skłócili  
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:  
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.  
Pojedynek ten wiele narobił hałasu;  
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.  
Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,  
Opowiem od początku historję całą".

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził;  
On niedźwiedzia z uwagą dokoła obchodził,  
Nareszcie dobył tasak, rozciął pysk na dwoje  
I w tylcu głowy, mózgu rozkroiwszy słoje,  
Znalazł kulę, wydobył, suknią ochędożył,  
Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył;  
A potem, dłoń podnosząc i kulę na dłoni:  
"Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszej broni,  
Ona z tej Horeszkowskiej wyszła jednorurki  
(Tu podniósł flintę starą, obwiązaną w sznurki),  
Lecz nie ja wystrzeliłem. O, trzeba tam było  
Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się ćmiło!

Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,  
A niedźwiedź z tyłu już, już, na Hrabiego głowie,  
Ostatniego z Horeszków! chociaż po kądzieli.  
Jezus Maria! krzyknąłem; i Pańscy anieli  
Zesłali mi na pomoc księdza Bernardyna.  
On nas wszystkich zawstydził; oj, dzielny księżyna !  
Gdym drżał, gdym się do cyngla dotknąć nie ośmielił,  
On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił:  
Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić!  
I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!  
Panowie! długo żyję, jednego widziałem  
Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.



Ów głośny niegdyś u nas z tylu pojedyneków,  
Ów, co korki kobietom wystrzelał z patynków,  
Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne,  
Ów Jacek, vulgo Wąsal; nazwiska nie wspomnę:  
Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;  
Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.  
Chwała Księdzu! dwom ludziom on życie ocalił,  
Może i trzem; Gerwazy nie będzie się chwalił,  
Ale gdyby ostatnie z krwi Horeszków dziecię  
Wpadło w bestyi paszczę, nie byłbym na świecie,  
I moje by tam stare pogryzł niedźwiedź kości;  
Pójdź, Księżę, wypijemy zdrowie Jegomości".

Próżno szukano Księdza; wiedzą tylko tyle,  
Że po zabiciu zwierza zjawił się na chwilę,  
Poskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,  
A widząc, że obadwa cali są i zdrowi,  
Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił,  
I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił.

Tymczasem na Wojskiego rozkaz pęki wrzosu,  
Suche chrusty i pniaki rzucono do stosu;  
Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu  
I rozszerza się w górze na kształt baldakimu.  
Nad płomieniem oszczepy złożono w kociołki,  
Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;  
Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczone,  
I chleb.  
Sędzia otworzył puzderko zamczyste,  
W którym rzędami flaszek białe sterczą głowy;  
Wybiera z nich największy kufel kryształowy  
(Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka),  
Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka;  
"Niech żyje! krzyknął Sędzia, w górę wznosząc flaszę,  
Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze!"  
I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu  
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kociołkach bigos grzano; w słowach wydać trudno  
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;  
Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,  
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.  
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,  
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.

Przecież i bez tych przypraw potrawą nie lada  
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.

Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,  
Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;  
Zamknięta w kotle, łonem wilgotnym okrywa  
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;  
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie  
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie  
I powietrze dokoła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy z trzykrotnym wiwatem,  
Zbrojni łyżkami, biega i bodą naczynie,  
Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie,  
Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów  
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Kiedy się już do woli napili, najedli,  
Zwierza na wóz złożyli, sami na koń siedli,  
Radzi wszyscy, rozmowni, oprócz Asesora  
I Rejenta; ci byli gniewliwsi niż wczora,  
Kłócąc się o zalety, ten swej Sanguszkówki,  
A ten bałabanowskiej swej Sagalasówki.  
Hrabia też i Tadeusz jadą nieweseli,  
Wstydząc się, że chybili i że się cofnęli:  
Bo na Litwie kto zwierza wypuści z obławy,  
Długo musi pracować, nim poprawi sławy.

Hrabia mówił, że pierwszy do oszczepu godził  
I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził;  
Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy  
I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,  
Chciał wyręczyć Hrabiego; tak sobie niekiedy  
Przymawiali wśród gwaru i wrzasku czeredy.

Wojski jechał pośrodku; staruszek szanowny  
Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny;  
Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,  
Kończył im o Doweyce i Domeyce powieść:  
"Asesorze, jeżeli chciałem, byś z Rejentem  
Pojedynkował, nie myśl, że jestem zawziętym  
Na krew ludzką; broń Boże! chciałem was zabawić,  
Chciałem wam komedię niby to wyprawić,  
Wznović koncept, który ja, lat temu czterdzieście,  
Wymyśliłem - przedziwny! - Wy młodzi jesteście,  
Nie pamiętacie o nim, lecz za moich czasów  
Głośny był od tej puszczy do poleskich lasów.

"Domeyki i Doweyki wszystkie sprzeciwieństwa  
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa

Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas sejmików  
Przyjaciele Doweyki skarbili stronników,  
Szepnął ktoś do szlachcica: "Daj kreskę Doweyce!",  
A ten nie dosłyszawszy dał kreskę Domeyce.  
Gdy na uczcie wniósł zdrowie marszałek Rupeyko:  
"Wiwat Doweyko!" - drudzy krzyknęli: "Domeyko!"  
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,  
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.

"Gorzej było; raz w Wilnie jakiś szlachcic pjany  
Bił się w szable z Domeyką i dostał dwie rany;  
Potem ów szlachcic, z Wilna wracając do domu,  
Dziwnym trafem z Doweyką zjechał się u promu;  
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,  
Pyta sąsiada: kto on? - Odpowie: "Doweyko".  
Nie czekając, dobywa rapier spod kirejki:  
Czach, czach, i za Domeykę podciął wąs Doweyki.

Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,  
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,  
Że stali blisko siebie oba imiennicy  
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.  
Prawda, że po ich strzale upadła bez ducha,  
Ale już pierwszej niosła z dziesiątek kul w brzuchu;  
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób,  
Kto zabił niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?

"Tu już krzyknęli: "Dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,  
Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć:  
Dwóch nas, jak dwóch słońc, pono zanadto na świecie"  
A więc do szerpetynek i stają na mecie.  
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,  
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.  
Zmienili broń; od szabel szło na pistolety,  
Stają, krzyczym, że nadto przybliżyli mety;  
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę  
Strzelać się, śmierć niechybna! prawie rura w rurę;  
Oba tego strzelali. - "Sekunduj, Hreczecha!"  
"Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:  
Bo taki spór nie może skończyć się na niczym;  
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym,  
Dosyć już mety zbliżać, widzę, żeście zuchy;  
Chcecie strzelać się rury oparłszy na brzuchy?  
Ja nie pozwolę; zgoda, że na pistolety;  
Lecz strzelać się nie z dalszej ani z bliższej mety  
Jak przez skórę niedźwiedzią; ja rękami memi  
Jako sekundant skórę rozciągnę na ziemi,

I ja sam was ustawię. Waść po jednej stronie  
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie,"  
Zgoda! wrzaśli; czas? - jutro; miejsce? - karczma Usza.  
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgilijusza..."

Tu Wojskiemu przerwał krzyk: "Wyczha!" Tuż spod koni  
Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokoł goni.  
Psy wzięto na obławę wiedząc, że z powrotem  
Na polu łatwo można napotkać się z kotem;  
Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,  
Wprzód nim strzelcy poszczuli, już za nim pobiegły.  
Rejent też i Asesor chcieli końmi natrzeć,  
Lecz Wojski wstrzymał krzyżąc: "Wara! stać i patrzeć;  
Nikommu krokiem ruszyć z miejsca nie dozwolę,  
Stąd widzimy wszyscy dobrze, zając idzie w pole".  
W istocie, kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnie,  
Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,  
Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,  
Skoki pod nim sterczały, jakby cztery pręty,  
Rzekłbyś, że ich nie rusza, tylko ziemię trąca  
Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.  
Pył za nim, psy za pyłem; z daleka się zdało,  
Że zając, pył i charty jedno tworzą ciało:  
Jakby jakaś przez pole suwała się żmija,  
Kot jak głowa, pył z tyłu jakby modra szyja,  
A psami jak podwójnym ogonem wywija.

Rejent, Asesor patrzą, otworzyli usta,  
Dech wstrzymali; wtem Rejent pobladnął jak chusta,  
Zbladł i Asesor, widzą - fatalnie się dzieje,  
Owa żmija im dalej, tym bardziej dłużej,  
Już rwie się wpół, już znikła owa szyja pyłu,  
Głowa już blisko lasu, ogony - gdzie z tyłu!  
Głowa niknie, raz jeszcze jakby kto kutasem  
Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.

Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,  
Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;  
Wreszcie wracają, z wolna skacząc przez zagony,  
Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony  
I przybiegszy, ze wstydu nie śmieją wnieść oczu,  
I zamiast iść do panów, stały na uboczu.

Rejent spuścił ku piersiom zasepione czoło,  
Asesor rzucił okiem, ale niewesoło,  
Potem zaczęli oba słuchaczom wywodzić:  
Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,

Jak kot zniecka wypadł, jak źle był poszczuty  
Na roli, gdzie psom chyba trzeba by wdziac buty,  
Tak pełno wszędzie głazów i ostrych kamieni.

Mądrze rzecz wyłuszczali szczwacze doświadczeni:  
Myśliwi z tych mów wiele mogliby korzystać,  
Lecz nie słuchali pilnie; ci zaczęli świstać,  
Ci śmiać się w głos, ci, mając niedźwiedzia w pamięci,  
Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.

Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił,  
Widząc, że uciekł, głowę obojętnie zwrócił  
I kończył rzecz przerwana: "Na czym więc stanąłem?  
Aha! na tym, że obu za słowo ująłem,  
Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę.  
Szlachta w krzyk: "Toż śmierć pewna! prawie rura w rurę!"  
A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,  
Że skóra zwierza nie jest lada jaką miarą.  
Wszak wiecie Waćpanowie, jak królowa Dydo  
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą  
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,  
Który by się wołową skórą nakryć dawał;  
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!  
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

"Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką  
Jedzie Doweyko, z drugiej na koniu Domeyko.  
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty,  
Pas ze skóry niedźwiedziej porzniętej na szmaty.  
Postawiłem Doweykę na zwierza ogonie  
Z jednej strony, Domeykę zaś na drugiej stronie.  
"Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,  
Lecz póty was nie spuszczę, aż się pogodzicie".  
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi  
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi  
Nuż im z Ewanieliji, z statutów dowodzić;  
Nie ma rady: - śmieli się i musieli zgodzić.

"Spór ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił,  
I Doweyko się z siostrą Domeyki ożenił,  
Domeyko pojął siostrę szwagra, Doweykównę,  
Podzielili majątek na dwie części równe,  
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,  
Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek".

## Księga V: Klótnia

Wojski, chlubnie skończywszy łowy, wraca z boru,  
A Telimena w głębi samotnego dworu  
Zaczyna polowanie. Wprawdzie nieruchoma  
Siedzi z założonymi na piersiach rękoma,  
Lecz myślą goni zwierzów dwóch; szuka sposobu,  
Jak by razem obsaczyć i ułować obu:  
Hrabie i Tadeusza. Hrabia panicz młody,  
Wielkiego domu dziedzic, powabnej urody;  
Już trochę zakochany! cóż? może się zmienić!  
Potem, czy szczerze kocha? czy się zechce żenić?  
Z kobietą kilku laty starszą! niebogata!  
Czy mu krewni pozwolą? co świat powie na to?

Telimena, tak myśląc, z sofy się podniosła  
I stanęła na palcach, rzekłbyś, iż podrosła;  
Odkryła nieco piersi, wygięła się bokiem  
I sama siebie pilnym obejrzała okiem.  
I znowu zapytała o radę zwierciadła;  
Po chwili, wzrok spuściła, westchnęła i siadła.

Hrabia pan! zmienni w gustach są ludzie majątni!  
Hrabia blondyn! blondyni nie są zbyt namiętni!  
A Tadeusz? prostaczek! poczciwy chłopczyzna!  
Prawie dziecko! raz pierwszy kochać się zaczyna!  
Pilnowany, niełacno zerwie pierwsze związki,  
Przy tym dla Telimeny ma już obowiązki.  
Mężczyźni, póki młodzi, chociaż w myślach zmienni,  
W uczuciach są od dziadów stalsi, bo sumienni.  
Długo serce młodzieńca proste i dziewicze  
Chowa wdzięczność za pierwsze miłości słodycze!  
Ono rozkosz i wita, i żegna z weselem,  
Jak skromną ucztę, którą dzielim z przyjacielem.  
Tylko stary pjanica, gdy już spali trzewa,  
Brzydzi się trunkiem, którym nazbyt się zalewa.  
Wszystko to Telimena dokładnie wiedziała,  
Bo i rozum, i wielkie doświadczenie miała.

Lecz co powiedzą ludzie? można im zejść z oczu,  
W inne strony wyjechać, mieszkać na uboczu  
Lub, co lepsza, wynieść się całkiem z okolicy,  
Na przykład zrobić małą podróż do stolicy,  
Młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić,  
Kroki jego kierować, pomagać mu, radzić,  
Serce mu kształcić, mieć w nim przyjaciela, brata!  
Nareszcie - użyć świata, póki służą lata!

Tak myśląc, po alkowie śmiało i wesoło  
Przeszła się kilka razy - znów spuściła czoło.

Warto by też pomyśleć o Hrabiego losie -  
Czyby się nie udało podsunąć mu Zosię?  
Niebogata, lecz za to urodzeniem równa,  
Z domu senatorskiego, jest dygnitarzówna.  
Jeżeli by do skutku przyszło ożenienie,  
Telimena w ich domu miałaby schronienie  
Na przyszłość; krewna Zosi i Hrabiego swatka,  
Dla młodego małżeństwa byłaby jak matka.  
Po tej z sobą odbytej, stanowczej naradzie  
Woła przez okno Zosię, bawiącą się w sadzie.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą  
Stała, trzymając w ręku podniesione sito,  
Do nóg jej biegło ptastwo; stąd kury szurpate  
Toczą się kłębkami, stamtąd kogutki czubate,  
Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki  
I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,  
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;  
Za nimi z wolna indyk sunie się odęty,  
Sarkając na gderanie swej krzykliwej żony;  
Ówdzie pawie jak tratwy długimi ogony  
Sterują się po łące, a gdzieniegdzie z góry  
Upada jak kiść śniegu gołąb srebrnopióry.  
W pośrodku zielonego okręgu murawy  
Ścisną się okrąg ptastwa krzykliwy, ruchawy,  
Opasany gołębi sznurem na kształt wstęgi  
Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi

Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z koralu  
Wznoszą się z gęstwi pierza jak ryby spod fali.  
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych  
Chwieją się ciągle na kształt tulipanów wodnych;  
Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi.

Ona w środku wysoko nad ptastwem się wznosi,  
Sama biała i w długą bieliznę ubrana,  
Kręci się jak bijąca wśród kwiatów fontanna;  
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy  
Ręką jak perły białą gęstą grad perłowy  
Krup jęczmiennych: to ziarno, godne pańskich stołów,  
Robi się dla zaprawy litewskich rosółów;  
Zosia je wykradając z szafek ochmistrzyni  
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Usłyszała wołanie: "Zosiu!" To głos cioci!  
Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,  
A sama kręcąc sito, jako tanecznicą  
Bęberek, i w takt bijąc, swawolna dziewica  
Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury:  
Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry  
Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,  
Zdawała się najwyżej bujać między niemi;  
Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,  
Leciały jak przed wozem bogini rozkoszy.

Zosia przez okno z krzykiem do alkowy wpadła  
I na kolanach ciotki zadyszana siadła;  
Telimena, całując i głaszcząc pod brodę,  
Z radością zważa dziecka żywość i urodę  
(Bo prawdziwie kochała swą wychowanicę).  
Ale znowu poważnie nastroiła lice,  
Wstała i przechodząc się wszerz i wzdłuż alkowy,  
Dzierżąc palec przy ustach, tymi rzekła słowy:

"Kochana Zosiu, już też całkiem zapominasz  
I na stan, i na wiek twój; wszak to dziś zaczynasz  
Rok czternasty, czas rzucić indyki i kurki.  
Fi! to godna zabawka dygnitarskiej córki.  
I z umurzaną dziatwą chłopską już do woli  
Napieściłaś się! Zosiu! patrząc, serce boli;  
Opaliłaś okropnie pleć, czysta cyganka,  
A chodzisz i ruszasz się jak parafijanka.  
Już ja temu wszystkiemu na przyszłość zaradzę,  
Od dziś zacznę, dziś ciebie na świat wyprowadzę,  
Do salonu, do gości, - gości mamy siła,  
Patrzajżeż, ażebyś mnie wstydu nie zrobiła".

Zosia skoczyła z miejsca i klasnęła w dłonie,  
I ciotce zawisnąwszy oburącz na łonie,  
Płakała i śmiała się na przemian z radości.  
"Ach, Ciociu! już tak dawno nie widziałam gości;  
Od czasu, jak tu żyję z kury i indyki,  
Jeden gość, co widziałam, to był gołąb dziki;  
Już mi troszeczkę nudno tak siedzieć w alkwie,  
Pan Sędzia nawet mówi, że to źle na zdrowie".

"Sędzia, przerwała ciotka, ciągle mi dokuczał,  
Żeby cię na świat wywieść, ciągle pod nos mruczał,  
Że już jesteś dorosła; sam nie wie, co plecie,  
Dziaduś, nigdy na wielkim niebywały świecie.



Ja wiem lepiej, jak długo trzeba się sposobić  
Panience, by wyszedłszy na świat, efekt zrobić.  
Wiedz Zosiu, że kto rośnie na widoku ludzi,  
Choć piękny, choć rozumny, efektów nie wzbudzi,  
Gdy go wszyscy przywykną widzieć od maleńka.  
Lecz niechaj ukształcona, dorosła panienka  
Nagle ni stąd, ni zowąd przed światem zabłyśnie,  
Wtenczas każdy się do niej przez ciekawość ciśnie,  
Wszystkie jej ruchy, rzuty oczu jej uważa,  
Słowa jej podsłuchiwa i drugim powtarza;  
A kiedy wejdzie w modę raz młoda osoba,  
Każdy ją chwalić musi, choć i nie podoba.  
Znaleźć się, spodziewam się, że umiesz; w stolicy  
Urosłaś. Choć dwa lata mieszkasz w okolicy,  
Nie zapomniałaś jeszcze całkiem Peterburka.  
No, Zosiu, toaletę rób, dostań tam z biurka,  
Nagotowane znajdziesz wszystko do ubrania.  
Spiesz się, bo lada chwila wrócą z polowania".

Wezwano pokojowę i służącą dziewczę;  
W naczynie srebrne wody wylano konewkę,  
Zosia, jak wróbel w piasku, trzepioce się; myje  
Z pomocą sługi ręce, oblicze i szyję.  
Telimena otwiera petersburskie składy,  
Dobywa flaszki perfum, słoiki pomady,  
Pokrapia Zosię wkoło wyborną perfumą  
(Woń napełniła izbę), włos namaszcza gumą.  
Zosia kładnie pończoszki białe, ażurowe,  
I trzewiki warszawskie białe, atlasowe;  
Tymczasem pokojowa sznurowała stanik,  
Potem rzuciła na gors pannie pudermanik;  
Zaczęto przypieczone zbierać papiloty,  
Pukle, że nazbyt krótkie, uwito w dwa sploty,  
Zostawując na czole i skroniach włos gładki;  
Pokojowa zaś świeżo zebrane bławatki  
Uwiązawszy w plecionkę daje Telimenie;  
Ta ją do głowy Zosi przyszpila uczenie,  
Z prawej strony na lewo: kwiat od białych włosów  
Odbijał bardzo pięknie, jak od zboża kłosów!  
Zdjęto puderman, całe ubranie gotowe.  
Zosia białą sukienkę wrzuciła przez głowę,  
Chusteczkę batystową białą w ręku zwija  
I tak cała wygląda biała jak lilija.

Poprawiwszy raz jeszcze i włosów, i stroju,  
Kazano jej wzdłuż i wszerz przejść się po pokoju;  
Telimena uważa znawczyni oczyma,

Musztruje siostrzenicę, gniewa się i zżyma;  
Aż na dygnienie Zosi krzyknęła z rozpaczy:  
"Ja nieszczęśliwa! Zosiu, widzisz, co to znaczy  
Żyć z gęśmi, z pastuchami! tak nogi rozszerzasz  
Jak chłopiec, okiem w prawo i w lewo uderzasz,  
Czysta rozwódka! - Dygnij, patrz, jaka niewinna!"  
"Ach, Ciociu! rzekła smutnie Zosia, cóż ja winna,  
Ciotka mnie zamykała; nie było z kim tańczyć,  
Lubiłam z nudy ptastwo paść i dzieci niańczyć;  
Ale poczekaj, Ciociu, niech no się pobawię  
Trochę z ludźmi, obaczysz, jak się ja poprawię".

"Już, rzekła ciotka, z dwojga złego lepiej z ptastwem  
Niż z tym, co u nas dotąd gościło, plugastwem;  
Przypomnij tylko sobie, kto tu u nas bywał:  
Pleban, co pacierz mruczał lub w warcaby grywał,  
I palestra z fajkami! to mi kawalery!  
Nabrałybyś się od nich pięknej manijery.  
Teraz to pokazać się jest przynajmniej komu,  
Mamy przecież uczciwe towarzystwo w domu.  
Uważaj dobrze, Zosiu, jest tu Hrabia młody,  
Pan, dobrze wychowany, krewny Wojewody,  
Pamiętaj być mu grzeczną".  
Słychać rzenie koni

I gwar myśliwców; już są pod bramą: to oni!  
Wziąwszy Zosię pod rękę pobiegła do sali.  
Myśliwi na pokoje jeszcze nie wchadzali,  
Musieli po komnatach odmieniać swą odzież,  
Nie chcąc wniść do dam w kurtkach. Pierwsza wpadła młodzież,  
Pan Tadeusz i Hrabia, co żywo przebrani.

Telimena sprawuje obowiązki pani,  
Wita wchodzących, sadza, rozmową zabawia  
I siostrzenicę wszystkim z kolei przedstawia:  
Naprzód Tadeuszowi, jako krewną bliską;  
Zosia grzecznie dygnęła, on skłonił się nisko,  
Chciał coś do niej przemówić, już usta otworzył,  
Ale spojrzawszy w oczy Zosi, tak się strwożył,  
Że stojąc niemy przed nią, to płonął, to bladnął;  
Co było w jego sercu, on sam nie odgadnął.  
Uczuł się nieszczęśliwym bardzo - poznał Zosię!  
Po wzroście i po włosach światłych, i po głosie;  
Tę kibić i tę główkę widział na parkanie,  
Ten wdzięczny głos zbudził go dziś na polowanie.

Aż Wojski Tadeusza wyrwał z zamieszania;

Widząc, że blednie i że na nogach się ślania,  
Radził mu odejść do swej izby dla spoczynku;  
Tadeusz stanął w kącie, wsparł się na kominku,  
Nic nie mówiąc - szerokie, obłądne źrenice  
Obracał to na ciotkę, to na siostrzenicę.  
Dostrzegła Telimena, iż pierwsze spojrzenie  
Zosi tak wielkie na nim zrobiło wrażenie;  
Nie odgadła wszystkiego, przecież pomieszana  
Bawi gości, a z oczu nie spuszcza młodziana.  
Wreszcie czas upatrzwszy ku niemu podbiega:  
Czy zdrow? dlaczego smutny? pyta się, nalega,  
Napomyka o Zosi, zaczyna z nim żarty;  
Tadeusz nieruchomy, na łokciu oparty,  
Nic nie gadając marszczył brwi i usta krzywił:  
Tym bardziej Telimenę pomieszzał i zdziwił  
Zmieniła więc natychmiast twarz i ton rozmowy,  
Powstała zagniewana i ostrymi słowy  
Poczęła nań przymówki sypać i wyrzuty;  
Porwał się i Tadeusz jak żądłem ukłuty,  
Spojrzał krzywo, nie mówiąc ani słowa splunął,  
Krzesło nogą odepchnął i z pokoju runął  
Trzasnąwszy drzwi za sobą. Szczęściem, że tej sceny  
Nikt z gości nie uważał oprócz Telimeny.

Wyleciawszy przez bramę biegł prosto na pole;  
Jak szczupak, gdy mu oścień skroś piersi przekole,  
Pluska się i nurtuje myśląc, że uciecze,  
Ale wszędzie żelazo i sznur z sobą wlecze:  
Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,  
Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty,  
Bez celu i bez drogi; aż niemało czasu  
Nabłąkawszy się, w końcu wszedł w głębinę lasu  
I trafił, czy umyślnie, czyli też przypadkiem;  
Na wzgórek, co był wczora szczęścia jego świadkiem,  
Gdzie dostał ów bilecik, zadatek kochania,  
Miejsce, jak wiemy, zwane Świątynią dumania.

Gdy okiem wkoło rzuca, postrzega: to ona!  
Telimena, samotna, w myślach pogrążona,  
Od wczorajszej postacią i strojem odmienna,  
W bieliźnie, na kamieniu, sama jak kamienna;  
Twarz schyloną w otwarte utuliła dłonie,  
Choć nie słyszysz szlochania, znać, że we łzach tonie.

Daremnie broniło się serce Tadeusza:  
Ulitował się, uczuł, że go żal porusza,  
Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,

Na koniec westchnął i rzekł sam do siebie z gniewem:  
"Głupi! cóż ona winna, że się ja pomylił!"  
Więc z wolna głowę ku niej zza drzewa wychylił.  
Gdy nagle Telimena zrywa się z siedzenia,  
Rzuca się w prawo, w lewo, skacze skroś strumienia,  
Rozkrzyżowana, z włosiem rozpuszczonym, blada,  
Pędzi w las, podskakuje, przykłęka, upada  
I nie mogąc już powstać, kręci się po darni,  
Widać z jej ruchów, w jakiej strasznej jest męczarni;  
Chwyta się za pierś, szyję, za stopy, kolana;  
Skoczył Tadeusz myśląc, że jest pomieszana  
Lub ma wielką chorobę. Lecz z innej przyczyny  
Pochodziły te ruchy.  
U bliskiej brzeziny

Było wielkie mrowisko, owad gospodarny  
Snuł się wkoło po trawie, ruchawy i czarny;  
Nie wiedzieć, czy z potrzeby, czy z upodobania  
Lubił szczególnie zwiedzać Świątynię dumania;  
Od stołecznego wzgórzka aż po źródła brzegi  
Wydeptał drogę, którą wiodł swoje szeregi.  
Nieszczęściem, Telimena siedziała wśród dróżki;  
Mrówki, znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,  
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,  
Telimena musiała uciekać, otrząsać,  
Na koniec na murawie sięść i owad łowić.

Nie mógł jej swej pomocy Tadeusz odmówić;  
Oczyszczając sukienkę, aż do nóg się zniżył,  
Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył -  
W tak przyjaznej postawie, choć nic nie mówili  
O rannych kłótniach swoich, przecież się zgodzili;  
I nie wiedzieć jak długo trwałaby rozmowa,  
Gdyby ich nie przebudził dzwonek z Soplicowa. -

Hasło wieczery: pora powracać do domu,  
Zwłaszcza że słyhać było opodał trzask łomu.  
Może szukają? razem wracać nie wypada;  
Więc Telimena w prawo pod ogród się skrada,  
A Tadeusz na lewo biegł do wielkiej drogi;  
Oboje w tym odwrocie mieli nieco trwogi:  
Telimenie zdało się, że raz spoza krzaka  
Błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka;  
Tadeusz widział dobrze, jak mu raz i drugi  
Pokazał się na lewo cień biały i długi,  
Co to było nie wiedział, ale miał przecucie,  
Że to był Hrabia w długim, angielskim surducie.

Wieczorzano w zamczysku. Uparty Protazy,  
Nie dbając na wyraźne Sędziego zakazy,  
W niebytność państwa znowu do zamku szturmował  
I kredens doń (jak mówi) zaintromitował.  
Goście weszli w porządku i stanęli kołem;  
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem,  
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.  
Kwestarz nie był u stołu; miejsce Bernardyna  
Po prawej stronie męża ma Podkomorzyna.  
Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,  
Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił;  
Mężczyznom dano wódkę; za czym wszyscy siedli  
I chłodnik zabielały milcząc żwawo jedli.

Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,  
W towarzystwie kielichów węgrzyna, malagi;  
Jedzą, piją, a milczą wszyscy. Nigdy pono  
Od czasu jako mury zamku podźwigniono,  
Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,  
Tyle wesołych słyszał i odbił wiwatów,  
Nie pamiętano takiej posępnej wieczerzy;  
Tylko pukanie korków i brzęki talerzy  
Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:  
Rzekłbyś, iż zły duch gościom zasznurował usta.

Mnogie były powody milczenia: myśliwi  
Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi;  
Lecz gdy zapał ochłonął, myśląc nad oblawa  
Postrzegają, że wyszli z niej nie z wielką sławą:  
Trzebaż było, ażeby jeden kaptur popi,  
Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip z konopi,  
Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!  
Cóż o tym będą gadać w Oszmianie i Lidzie,  
Które od wieków walczą z tutejszym powiatem  
O pierwszeństwo w strzelectwie; myślili więc nad tem.

Zaś Asesor i Rejent, prócz wspólnych niechęci,  
Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.  
W oczach im stoi niecny kot, skoki wyciąga  
I omykiem spod gaju kiwając urąga,  
I tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem:  
Siedzieli z pochylonym ku misie obliczem.  
Asesor nowe jeszcze miał powody żalów,  
Patrząc na Telimenę i na swych rywalów.

Do Tadeusza siedzi Telimena bokiem,  
Pomieszana, za ledwie śmie nań rzucić okiem;  
Chciała zasepionego Hrabiego zabawić,  
Wyzwać w dłuższą rozmowę, w lepszy humor wprawić,  
Bo Hrabia dziwnie kwaśny powrócił z przechadzki,  
A raczej, jako myślił Tadeusz, z zasadzki;  
Słuchając Telimeny, czoło podniósł hardo,  
Brwi zmarszczył, spojrzął na nią ledwie nie z pogardą;  
Potem przysiadł się, jak mógł najbliżej, do Zosi,  
Nalewa jej do szklanki, talerze przynosi,  
Prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiecha,  
Czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha.  
Widać przecież, pomimo tak zręczne łudzenie,  
Że umizgał się tylko na złość Telimenie;  
Bo głowę odwracając niby nieumyślnie,  
Coraz ku Telimenie groźnym okiem błysnie.

Telimena nie mogła pojąć, co to znaczy;  
Ruszywszy ramionami, myśliła: dziwaczy.  
Wreszcie, nowym zalotom Hrabiego dość rada,  
Zwróciła się do swego drugiego sąsiada.

Tadeusz też posepny, nic nie jadł, nic nie pił,  
Zdawał się słuchać rozmów, oczy w talerz wlepił;  
Telimena mu leje wino, on się gniewa  
Na natrętność; pytany o zdrowie - poziewa.  
Ma za złe (tak się zmienił jednego wieczora),  
Że Telimena zbyt do zalotów skora;  
Gorszy się, że jej suknia tak wcięta głęboko,  
Nieskromnie - a dopiero, kiedy podniósł oko!  
Aż przeląkł się; bystrzejsze teraz miał źrenice,  
Ledwie spojrzął w rumiane Telimeny lice,  
Odkrył od razu wielką, straszną tajemnicę!  
Przebóg! naróżowana!  
Czy róż w złym gatunku,

Czy jakoś na obliczu przetarł się z trefunku:  
Gdzieniedzie zrzędniął, na wskroś grubszą płeć odsłania.  
Może to sam Tadeusz, w Świątyni dumania  
Rozmawiając za blisko, omusknął z bielidła  
Karmin, lżejszy od pyłków motylego skrzydła.  
Telimena wracała nazbyt śpieszno z lasu  
I poprawić kolory swe nie miała czasu;  
Okolo ust szczególnie widne były piegi.  
Nuż oczy Tadeusza, jako chytre szpiegi,  
Odkrywszy jedną zdradę, poczną w kolej zwiedzać  
Resztę wdzięków i wszędzie jakiś fałsz wysledzać:

Dwóch zębów braknie w ustach; na czole, na skroni  
Zmarszczki; tysiące zmarszczków pod brodą się chroni!

Niestety! czuł Tadeusz, jak jest niepotrzebnie  
Rzecz piękną nazbyt ściśle zważać; jak haniebnie  
Być szpiegiem swej kochanki; nawet jak szkaradnie  
Odmieniać smak i serce - lecz któż sercem władnie?  
Darmo chce brak miłości zastąpić sumnieniem,  
Chłód duszy ogrzać znowu jej wzroku promieniem:  
Już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła,  
Błyskał po wierzchu duszy, która do dna krzepła...  
Takie robiąc sam sobie wyrzuty i skargi,  
Pochylił w talerz głowę, milczał i gryzł wargi.

Tymczasem zły duch nową pokusą go wabi,  
Podśluchiwać, co Zosia mówiła do Hrabi:  
Dziewczyna, uprzejmością Hrabiego ujęta,  
Zrazu rumieniła się spuściwszy oczęta,  
Potem śmiać się zaczęli, w końcu rozmawiali  
O jakimś niespodzianym w ogrodzie spotkaniu,  
O jakimś po łąkach i grzędach stapaniu.  
Tadeusz, wyciągnąwszy co najdłużej uszy,  
Połykał gorzkie słowa i przetrawiał w duszy.  
Okropną miał biesiadę. Jak w ogrodzie zmija  
Dwoistym żądłem zioło zatrute wypija,  
Potem skręci się w kłębek i na drodze legnie,  
Grożąc stopie, co na nią nieostrożnie biegnie:  
Tak Tadeusz, opity trucizną zazdrości,  
Zdawał się obojętny, a pękał ze złości.

W najweselszym zebraniu niech się kilku gniewa,  
Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa.  
Strzelcy dawniej milczeli, druga stołu strona  
Umilkła, Tadeusza żółcią zarażona.

Nawet pan Podkomorzy, nadzwyczaj ponury,  
Nie miał ochoty gadać, widząc swoje córki,  
Posażne i nadobne panny, w wieku kwiecie,  
Zdaniem wszystkich najpierwsze partyje w powiecie,  
Milczące, zaniedbane od milczącej młodzi.  
Gościnnego Sędziego również to obchodzi;  
Wojski zaś uważając, że tak wszyscy milczą,  
Nazywał tę wieczerzę nie polską, lecz wilczą.

Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,  
Sam gawędził, i lubił niezmiernie gaduły.  
Nie dziw! ze szlachtą strawił życie na biesiadach,

Na polowaniach, zjazdach, sejmikowych radach;  
Przywykł, żeby mu zawsze coś bębniło w ucho,  
Nawet wtenczas, gdy milczał lub z placką za muchą  
Skradał się, lub zamknawszy oczy siadał marzyć;  
W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwarzyć  
Pacierze różańcowe albo gadać bajki:  
Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,  
Wymyślonej od Niemców, by nas scudzoziemczyć;  
Mawiał: "Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć".  
Starzec, wiek przegwarzywszy, chciał spoczywać w gwarze,  
Milczenie go budziło ze snu: tak młynarze,  
Uśpieni kół tarkotem, ledwie staną osie,  
Budzą się krzycząc z trwogą: "A słowo stało się..."

Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,  
A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,  
Prosząc o głos; panowie na ten ukłon niemy  
Odkłonili się oba, co znaczy: prosimy.  
Wojski zagaił:  
"Śmiałbym upraszać młodzieży,

Ażeby po staremu bawić u wieczerzy,  
Nie milczeć i żuć: czy my ojcie kapucyni?  
Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni,  
Jako myśliwiec, który nabój rdzawi w strzelbie:  
Dlatego ja rozmowność naszych przodków wielbię.  
Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,  
Ale aby nawzajem mogli się wygadać,  
Co każdy miał na sercu; nagany, pochwały  
Strzelców i obławników, ogary, wystrzały  
Wywoływano na plac; powstawała wrzawa,  
Miła uchu myśliwców, jak druga obława.  
Wiem, wiem, o co wam idzie: ta czarnych trosk chmura  
Pono z Robakowego wzniosła się kaptura!  
Wstydzicie się swych pudeł! niech was wstyd nie pali,  
Znałem myśliwych lepszych od was, a chybiali;  
Trafiać, chybiać, poprawiać, to kolej strzelecka.  
Ja sam, chociaż ze strzelbą włóczę się od dziecka,  
Chybiałem; chybiał sławny ów strzelec Tułoszczyk,  
Nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk.  
O Rejtanie opowiem później. Co się tycze  
Wypuszczenia z obławy, że oba panicze  
Żwierzowi jak należy kroku nie dostali,  
Choć mieli oszczep w rękę, tego nikt nie chwali  
Ani gani: bo zmykać mając nabój w rurze  
Znaczyło po staremu być tchórzem nad tchórze;  
Toż wystrzelić na osłep (jak to robi wielu),



Nie przypuściwszy zwierza, nie wzięwszy do celu,  
Jest rzecz haniebna; ale kto dobrze wymierzy,  
Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,  
Jeśli chybił, cofnąć się może bez sromoty,  
Albo walczyć oszczepem, lecz z własnej ochoty,  
A nie z musu: gdyż oszczep strzelcom poruczony  
Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.  
Tak było po staremu: a więc mnie zawiercie,  
I waszej rejterady do serca nie bierzcie,  
Kochany Tadeuszu i Wielmożny Grafie;  
Ileć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,  
Wspomnijcie też starego Wojskiego przestrożę:  
Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,  
Nigdy we dwóch nie strzelać do jednej zwierzyny".

Właśnie Wojski wymawiał to słowo: zwierzyny,  
Gdy Asesor półgębkiem podszeptnął: "dziewczyny";  
"Brawo!" krzyknęła młodzież, powstał szmer i śmiechy,  
Powtarzano z kolei przestrożę Hreczechy,  
Mianowicie ostatnie słowo, ci: zwierzyny,  
A drudzy w głos śmiejąc się krzyczeli: "Dziewczyny";  
Rejent szepnął: "Kobiety", - Asesor: "Kokiety",  
Utkwiwszy w Telimienie oczy jak sztylety.

Nie myślał wcale Wojski przymawiać nikomu  
Ani uważał, co tam szepcą po kryjomu;  
Rad bardzo, że mógł damy i młodzież rozśmieszyć,  
Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć.  
I zaczął, nalewając sobie kielich wina:

"Nadaremnie oczyma szukam Bernardyna;  
Chciałbym mu opowiedzieć wypadek ciekawy,  
Podobny do zdarzenia dzisiejszej oblawy.  
Klucznik mówił, że tylko znał jednego człeka,  
Co tak celnie jak Robak mógł strzelić z daleka;  
Ja zaś znałem drugiego: równie trafnym strzałem  
Ocalił on dwóch panów; sam ja to widziałem,  
Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów  
Tadeusz Rejtan poseł i księżę Denassow.  
Nie zazdrościli sławie szlachcica panowie,  
Owszem u stołu pierwsi wnieśli jego zdrowie,  
Nadawali mu wielkich prezentów bez liku  
I skórę zabitego dzika; o tym dziku  
I o strzale, powiem wam jak naoczny świadek;  
Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek,  
A zdarzył się największym strzelcom za mych czasów,  
Posłowi Rejtanowi i księciu Denassow".

A wtem ozwał się Sędzia nalewając czasę:  
"Piję zdrowie Robaka, Wojski, w ręce wasze.  
Jeśli datkiem nie możem Kwestarza zbogacić,  
Postaramy się przecież za proch mu zapłacić.  
Uręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru  
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.  
Lecz skóry Księdzu nie dam; lub gwałtem zabiorę,  
Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,  
Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.  
Skórą tą rozporządzimy wedle naszej woli;  
Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży,  
Skórę Jaśnie Wielmożny Pan nasz Podkomorzy  
Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył".

Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył;  
Strzelcy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał,  
Tamten, jak zwierza znalazł, ten, jak ranę zadał,  
Tamten psiarnię nawołał, ów zwierza nawrócił  
Znowu w ostęp. Asesor z Rejentem się kłócił,  
Jeden wielbiąc przymioty swojej Sanguszkówki,  
Drugi bałabanowskiej swej Sagalasówki.

"Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy,  
Pierwszą nagrodę słusznie zyskał sługa boży;  
Lecz niełacno rozsądzić, kto jest po nim drugi,  
Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,  
Wszyscy równi zręcznością, biegłością i męstwem.  
Przecież dwóch dziś odznaczył los niebezpieczeństwem,  
Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura:  
Tadeusz i pan Hrabia; im należy skóra.  
Pan Tadeusz ustąpi (jestem tego pewny),  
Jako młodszy i jako gospodarza krewny;  
Więc spolia opima weźmiesz, Mości Hrabia.  
Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,  
Niechaj pamiątką będzie dzisiejszej zabawy,  
Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłej sławy".

Umilknął wesół, myśląc, że Hrabie ucieszył;  
Nie wiedział, jak boleśnie serce jego przeszył.  
Bo Hrabia na strzeleckiej komnaty wspomnienie  
Mimowolnie wzrok podniósł; a te łby jelenie,  
Te gałęziste rogi, jakby las wawrzynów  
Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,  
Te rzędami portretów zdobione filary,  
Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,  
Ozwały się doń zewsząd głosami przeszłości;

Zbudził się z marzeń, wspomnień, gdzie, u kogo gości:  
Dziedzic Horeszków gościem wśród swych własnych progów,  
Biesiadnikiem Sopliców, swych odwiecznych wrogów!  
A przy tym zawiść, którą czuł do Tadeusza,  
Tym mocniej Hrabie przeciw Soplicom porusza.  
Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: "Mój domek zbyt mały,  
Nie ma godnego miejsca na dar tak wspaniały;  
Niech lepiej niedźwiedź czeka wśród tych rogaczy,  
Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy".

Podkomorzy zgadując, na co się zanosi,  
Zadzwoił w tabakierę złotą, o głos prosi.

"Godzienieś pochwał, rzecz, Hrabio, mój sąsiedzie,  
Że dbasz o interesy nawet przy obiedzie;  
Nie tak jak modni wieki twojego panicze,  
Żyjący bez rachunku. Ja tuszę i życzę  
Zgodą zakończyć moje sądy podkomorskie;  
Dotąd jedyna trudność jest o fundum dworskie.  
Mam już projekt zamiany, fundum wynagrodzić  
Ziemią, w sposób następny..." - Tu zaczął wywodzić  
Porządnie (jak zwykł zawsze) plan przyszłej zamiany;  
Już był w połowie rzeczy, gdy ruch niespodziany  
Wszczął się na końcu stoła: jedni coś postrzegli,  
Wskazują palcem, drudzy oczyma tam biegli,  
Aż wreszcie wszystkie głowy, jak kłosa schylone  
Wstecznym wiatrem, w przeciwną zwróciły się stronę,  
W kąt.  
Z kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka,  
Ostatniego z rodziny Horeszków, Stolnika,  
Z małych drzwiczek ukrytych pomiędzy filary  
Wysunęła się cicho postać na kształt mary.  
Gerwazy; poznano go po wzroście, po licach,  
Po srebrzystych na żółtej kurcie Półkozicach.  
Stąpił jako słup prosto, niemy i surowy,  
Nie zdjęwszy czapki, nawet nie schyliwszy głowy;  
W rękę trzymał błyszczący klucz jakby puginał,  
Odemknął szafę i w niej coś kręcić zaczynał.

Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary,  
Dwa kurantowe, w szafach zamknięte zegary;  
Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,  
Południe wskazywały często o zachodzie;  
Gerwazy nie przybrał się machiną naprawić,  
Ale bez nakręcenia nie chciał jej zostawić,  
Dręczył kluczem zegary każdego wieczora;  
Właśnie teraz przypadła nakręcania pora.

Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę  
Stron interesowanych, on pociągnął wagę:  
Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,  
Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał rozprawę.  
"Bracie, rzekł, odłóż nieco twą pilną robotę"  
I kończył plan zamiany; lecz Klucznik na psotę  
Jeszcze silniej pociągnął drugiego ciężaru;  
I wnet gil, który siedział na wierzchu zegaru,  
Trzepiocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów nuty.  
Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda, że popsuty,  
Zająkał się i piszczał, im dalej, tym gorzej  
Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podkomorzy  
"Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczej puszczyku,  
Jeśli dziob twój szanujesz, dość mi tego krzyku".

Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył,  
Prawą rękę poważnie na zegar położył,  
A lewą wziął się pod bok; tak oburącz wsparty:  
"Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty,  
Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach  
Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach:  
Co klucznik, to nie puszczyk; kto w cudze poddasze  
Nocą włazi, ten puszczyk, i ja go wystraszę".  
"Za drzwi z nim!" Podkomorzy krzyknął.  
"Panie Hrabia!  
Zawołał Klucznik, widzisz Pan, co się wyrabia:  
Czy nie dosyć się jeszcze Pański honor plami,  
Że Pan jadasz i pijasz z tymi Soplicami;  
Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,  
Gerwazego Rębajłę, Horeszków klucznika,  
Lżyć w domu Panów moich? i Panże to zniesie!"  
Wtem Protazy zawołał trzykroć: "Uciszcie się!  
Na ustą! Ja, Protazy Baltazar Brzechalski,  
Dwojga imion, generał niegdyś trybunalski,  
Vulgo woźny, woźnieńską obdukcją robię  
I wizyją formalną, zamawiając sobie  
Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo  
I pana Asesora wzywając na śledztwo,  
Z powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy:  
O inkursyją, to jest o najazd granicy,  
Gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada,  
Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada".  
"Brzechaczu! wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę!"  
I dobywszy zza pasa swe żelazne klucze,  
Okręcił wkoło głowy, puścił z całej mocy;  
Pęk żelaza wyleciał jako kamień z procy.  
Pewnie łeb Protazemu rozbiłby na ćwierci;

Szczeńciem, schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wszyscy, chwilę była głucha  
Cichość, aż Sędzia krzyknął: "W dyby tego zucha!  
Hola, chłopcy!" - i czeladź rzuciła się zwawo  
Ciasnym przejściem pomiędzy ścianami i ławą;  
Lecz Hrabia krzesłem w środku zagroził im drogę  
I na tym szańcu słabym utwierdziwszy nogę:  
"Wara! zawołał, Sędzio! nie wolno nikomu  
Krzywdzić sługę mojego w moim własnym domu;  
Kto ma na starca skargę, niech ją mnie przełoży".

Zyżem w oczy Hrabiemu spojrział Podkomorzy:  
"Bez Wacinej pomocy ukarać potrafię  
Zuchwałego szlachetkę; a Wać, Mości Grafie,  
Przed dekretem ten zamek za wcześniej przywłaszczasz;  
Nie Wać tu jesteś panem, nie Wać nas ugaszczasz;  
Siedź cicho, jakeś siedział; jeśli siwej głowy  
Nie czcisz, to szanuj pierwszy urząd powiatowy".

"Co mi? odmruknął Hrabia, dość już tej gawędy!  
Nudźcie drugich waszymi względy i urzędy;  
Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z Waćpaństwem  
W pijatyki, które się kończą grubijaństwem.  
Zdacie mi sprawę z mego honoru obraży;  
Do widzenia po trzeźwu, - pódź za mną, Gerwazy".

Nigdy się odpowiedzi takiej nie spodziewał  
Podkomorzy, właśnie swój kieliszek nalewał,  
Gdy zuchwałstwem Hrabiego rażony jak gromem,  
Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,  
Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,  
Oczy rozwarł szeroko, usta wpół otworzył;  
Milczał, lecz kielich w ręku tak potężnie ścisnął,  
Że szkło dźwięknawszy pękło, płyn w oczy mu prysnął  
Rzekłbyś, iż z winem ognia w duszę się nalało,  
Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało;  
Zerwał się mówić, pierwsze słowo niewyraźnie  
Mleł w ustach, aż przez zęby wyleciało: "Błaźnie!  
Grafiatko! ja cię! Tomasz! karabełę! Ja tu

Nauczę ciebie mores, błaźnie, daj go katu!  
Względy, urzędy nudzą, uszko delikatne!  
Ja cię zaraz po tych zauszniczkach płatnę!  
Fora za drzwi! do korda! Tomasz, karabełę!"

Wtem do Podkomorzego skoczą przyjaciele;

Sędzia porwał mu rękę: "Stój Pan, to rzecz nasza,  
Mnie tu naprzód wyzwano; Protazy, pałasza!  
Puszczę go w taniec jako niedźwiadka na kij".  
Lecz Tadeusz Sędziego wstrzymał: "Panie Stryju,  
Wielmożny Podkomorzy, czyż się Państwu godzi  
Wdawać się z tym fircykiem, czy tu nie ma młodzi?  
Na mnie się zdajcie, ja go należycie skarce;  
A Waszeć, panie śmiałku, co wyzywasz starce,  
Obaczmy, czyli jesteś tak strasznym rycerzem;  
Rozprawimy się jutro, plac i broń wybierzem.  
Dziś uchodź, pókiś cały!"  
Dobra była rada;  
Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nie lada.  
Przy wyższym końcu stoła wrzał tylko krzyk wielki,  
Ale z ostrego końca latały butelki  
Koło Hrabiego głowy. Strwożone kobiety  
W prośby, w płacz; Telimena, krzyknąwszy: "Niestety!"  
Wzniosła oczy, powstała i padła zemdlona,  
I przechyliwszy szyję przez Hrabia ramiona,  
Na pierś jego złożyła swe piersi łabędzie.  
Hrabia, choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie,  
Zaczął cucić, ocierać.  
Tymczasem Gerwazy,  
Wystawiony na stołków i butelek razy,  
Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięście  
Rzuciła się nań zewsząd hurmem, gdy na szczęście  
Zosia, widząc szturm, skoczy i litością zdjęta  
Zasłania starca, na krzyż rozpiąwszy rączęta.-  
Wstrzymali się; Gerwazy z wolna ustępował,  
Zniknął z oczu, szukano, gdzie się pod stół schował;  
Gdy nagle z drugiej strony wyszedł jak spod ziemi,  
Podniósłszy w górę ławę ramiony silnemi,  
Okrecił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,  
Wziął Hrabie, i tak oba ławą zasłonieni  
Cofali się ku drzwiczkom; już dochodzą progów,  
Gerwazy stanął, jeszcze raz spojrzął na wrogów,  
Dumał chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,  
Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie.  
Obrał drugie; już ławę jak taran murowy  
W tył dźwignął dla zamachu, już ugiąwszy głowy,  
Z wypiętą naprzód piersią, z podniesioną nogą  
Miał wpaść... ujrzał Wojskiego, uczuł w sercu trwożę.

Wojski, cicho siedzący z przymrużonym okiem,  
Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiem;  
Dopiero gdy się Hrabia z Podkomorzym skłócił  
I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił,

Zażył dwakroć tabaki i przetarł powieki.  
Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,  
Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,  
O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.  
Przypatrywał się zatem z ciekawością walce,  
Wyciągnął z lekka na stół rękę, dłoń i palce,  
Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznokcia  
Indeksu, a żelazem zwrócony do łokcia,  
Potem ręką w tył nieco wychyloną kiwał,  
Niby bawiąc się, lecz się w Hrabiego wpatrywał.  
Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznej bitwie,  
Już była zaniedbana podówczas na Litwie,  
Znajoma tylko starym; Klucznik jej próbował  
Nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niej celował.  
Widać z zamachu ręki, że silnie uderzy,  
A z oczu łącno zgadnąć, że w Hrabiego mierzy  
(Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli),  
Mniej baczni młodzi ruchów starca nie pojęli;  
Gerwazy zbladnął, ławą Hrabiego zakłada,  
Cofa się ku drzwiom. - "Łapaj!" krzyknęła gromada.

Jako wilk, obskoczony znienacka przy ścierwie,  
Rzuca się oślep w zgraję, co mu ucztę przerwie,  
Już goni, ma ją szarpać, wtem wśród psiego wrzasku  
Trzasło ciche półkurcze, wilk zna je po trzasku,  
Śledzi okiem, postrzega, że z tyłu za charty  
Myśliwiec wpół schylony, na kolanie wsparty,  
Rurą ku niemu wije i już cyngla tyka;  
Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka,  
Psiarnia z tryumfującym rzuca się hałasem  
I skubie go po kudłach, zwierz zwraca się czasem,  
Spojrzy, klapnie paszczką, i białych kłów zgrzytem  
Ledwie pogrozi, psiarnia pierzcha ze skowytem:  
Tak i Gerwazy z groźną cofał się postawą,  
Wstrzymując napastników oczyma i ławą,  
Aż razem z Hrabią wpadli w głąb ciemnej framugi.

"Łapaj!" krzykniono znowu; tryumf był niedługi:  
Bo nad głowami tłumu Klucznik niespodzianie  
Ukazał się na chorze przy starym organie  
I z traskiem jął wrywać ołowiane rury,  
Wielką by klęskę zadał uderzając z góry,  
Ale już goście tłumnie wychodzili z sieni,  
Nie śmieli kroku dostać słudzy potrwożeni  
I chwytając naczynia w ślad panów uciekli,  
Nawet nakrycia z częścią sprzętów się wyrzekli.

Któż ostatni, nie dbając na groźby i razy,  
Ustał z placu bitwy? - Brzechalski Protazy.  
On, za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,  
Ciągnął woźnięskim głosem swoje oświadczenie,  
Aż skończył, i z pustego zszedł pobojuwiska,  
Kędy zostały trupy, ranni i zwaliska.

W ludziach straty nie było; ale wszystkie ławy  
Miały zwichnione nogi, stół także kulawy,  
Obnażony z obrusa, poległ na talerzach  
Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,  
Między licznymi kurcząt i jendyków cały,  
W których piersi widelce świeżo wbite tkwiały.

Po chwili w Horeszkowskim samotnym budynku  
Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.  
Mrok zgęstniał; reszty pańskiej wspaniałej biesiady  
Leżą, podobne uczcie nocnej, gdzie na dziady  
Zgromadzić się zakłęte mają nieboszczyki.  
Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki  
Jak guślarze; zdają się witać wschód miesiąca,  
Którego postać oknem spadła na stół, drżąca  
Niby dusza czyscowa; z podziemu, przez dziury  
Wyskakiwały na kształt potępieńców szczury:  
Gryzą, piją; czasami w kącie zapomniana  
Puknie na toast duchom butelka szampana.

Ale na drugim piętrze, w izbie, którą zwano,  
Choć była bez zwierciadeł, salą zwierciadlaną,  
Stał Hrabia na krużganku zwróconym ku bramie;  
Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramię,  
Drugi rękaw i poły u szyi sfałdował  
I pierś surdudem jakby płaszczem udrapował.  
Gerwazy chodził kroki wielkimi po sali;  
Obadwa zamyśleni, do siebie gadali:  
"Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą, pałasze".  
"Zamek, rzekł Klucznik, i wieś, oboje to nasze".  
"Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemię  
Wyzywaj!" - "Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemie  
Zabieraj Pan!" To mówiąc zwrócił się do Hrabi:  
"Jeśli Pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.  
Po co proces, Mopanku! sprawa jak dzień czysta:  
Zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta;  
Część gruntów oderwano w czasie Targowicy  
I jak Pan wie, oddano władaniu Soplicy.  
Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy,  
Za kosztą procesowe, za karę grabieży.



Mówiłem Panu zawsze: procesów zaniechać,  
Mówiłem Panu zawsze: najechać, zajechać;  
Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiadzie,  
Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.  
Co się tyczy dawniejszych z Soplicami sprzeczek,  
Jest na to od procesu lepszy Scyzoryczek;  
A jeśli Maciej w pomoc da mi swą Rózczkę,  
To my we dwóch, Sopliców tych porznięm na sieczkę".

"Brawo! rzekł Hrabia, plan twój gotycko-sarmacki  
Podoba się mi lepiej niż spór adwokacki.  
Wiesz co? na całej Litwie narobim hałasu  
Wyprawą niesłychaną od dawnego czasu.  
I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,  
Jakaż bitwę widziałem? z chłopami o miedzę.  
Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży;  
Odbyłem taką jedną w czasie mych podróży.  
Gdym w Sycylu bawił u pewnego księcia,  
Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia  
I okupu od krewnych żądali zuchwale;  
My, zebrawszy naprędce sługi i wasale,  
Wpadliśmy; ja dwóch zbojców ręką mą zabiłem,  
Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.  
Ach, mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,  
Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!  
Lud z kwiatami spotykał nas - córka księżęcia,  
Wdzięczna zbawcy, ze łzami padła w me objęcia.  
Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,  
Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety.  
Nawet wydrukowano o całym zdarzeniu  
Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.  
Romans ma tytuł: Hrabia, czyli tajemnice  
Zamku Birbante-rokka. Czy są tu ciemnice  
W tym zamku?" - "Są, rzekł Klucznik, ogromne piwnice,  
Ale puste! bo wino wypili Soplice".  
"Dżokejów, dodał Hrabia, uzbroić we dworze,  
Z włości wezwać wasalów!" - "Lokajów? broń Boże!  
Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?  
Kto widział zajazd robić z chłopstwem i z lokajstwem?  
Mój Panie, na zajazdach nie znacie się wcale;  
Wąsalów - co innego, zdadzą się wasale.  
Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach,  
W Dobrzynie, w Rzezikowie, w Ciętyczach, w Rąbankach;  
Szlachta odwieczna, w której krew rycerska płynie,  
Wszyscy przychylni panów Horeszków rodzinie,  
Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!  
Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlachciców;

To rzecz moja. Pan niechaj do pałacu wraca  
I wyśpi się, bo jutro będzie wielka praca;  
Pan spać lubi, już późno, drugi kur już pieje;  
Ja tu będę pilnować zamku, aż rozdnieje,  
A ze słoneczkiem stanę w Dobrzyńskim zaścianku".

Na te słowa pan Hrabia ustąpił z krużganku;  
Ale nim odszedł, spojrzął przez otwór strzelnicy  
I widząc światła mnóstwo w domostwie Soplicy:  
"Iluminujcie! krzyknął, jutro o tej porze  
Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze".

Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę  
I pochylił ku piersiom czoło zadumane;  
Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łysy,  
Gerwazy po nim kryślił palcem różne rysy;  
Widać, że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.  
Ciężą mu coraz bardziej powieki brzemienne,  
Bezwładną kiwnął szyją, czuł, że go sen bierze,  
Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.  
Lecz między Ojczenaszem i Zdrowaś Maryją  
Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:  
Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne pany,  
Ci niosą karabele, drudzy buzdygany,  
Każdy groźnie spoziera i pokręca wąsa,  
Składa się karabela, buzdyganem wstrząsa -  
Za nimi jeden cichy, posepny cień mignął,  
Z krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,  
Poznał Stolnika; zaczął wkoło siebie żegnać  
I ażeby tym pewniej straszne sny rozegnać,  
Odmawiał litaniją o czyscowych duszach.  
Znowu wzrok mu skleił się, zadzwoniło w uszach -  
Widzi tłum szlachty konnej, błyszczą karabele:  
Zajazd! zajazd Korelicz, i Rymsza na czele!  
I ogląda sam siebie: jak na koniu siwym,  
Z podniesionym nad głowę rapierem straszliwym  
Leci; rozpięta na wiatr szumi taratanka,  
Z lewego ucha spadła w tył konfederatka;  
Leci, jezdnych i pieszych po drodze obala  
I na koniec Soplicę w stodole podpala -  
Wtem ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,  
I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.

## Księga VI: Zaścianek

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku  
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.  
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy.  
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy  
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu  
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,  
Że słońce wstało, tędy ma zstąpić na ziemię,  
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło  
Na ziemi; bydło późno na paszę ruszyło  
I zdybało zające przy późnym śniadaniu;  
One zwykły do gajów wracać o świtanu,  
Dziś, okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,  
Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią  
I na wolnym powietrzu myślą użyć wczasu;  
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,  
Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,  
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży  
I czeka słońca. Kędyś u brzegów kałuży  
Klekce bocian; na kopach siedzą wrony zmokłe,  
Rozdziawiwszy się ciągną gawędy rozwłokłe,  
Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty.  
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,  
Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,  
Tym smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka;  
Chrzęsneły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,  
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka  
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki  
Stają, ostrzą żelazca i w takt kują w młotki.  
Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy  
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

W środku na snopie zboża Ekonom usiadłszy,  
Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,  
Pogląda na gościniec, na drogi rozstajne,  
Kędy działy się jakieś rzeczy nadzwyczajne.

Na gościńcu i drogach od samego ranka  
Panuje ruch niezwykły; stąd chłopska furmanka  
Skrzypi, lecąc jak poczta, stąd szlachecka bryka

Czwałem tarkocze, drugą i trzecią spotyka;  
Z lewej drogi posłaniec jak kuryjer goni,  
Z prawej przebiegło w zawód kilkanaście koni,  
Wszyscy śpieszą, ku różnym kierują się stronom;  
Co to ma znaczyć? Powstał ze snopa Ekonom,  
Chciał przypatrzeć się, spytać; długo stał nad drogą,  
Daremnie wołał, nie mógł zatrzymać nikogo  
Ni poznać we mgle. Jezdni migają jak duchy,  
Tylko słyhać raz po raz tętent kopyt głuchy  
I, co dziwniejsza jeszcze, szczękaniem pałaszy:  
Bardzo to Ekonoma i cieszy, i straszy.  
Bo choć na Litwie było naonczas spokojnie,  
Dawno już wieści głuche biegały o wojnie,  
O Francuzach, Dąbrowskim, o Napoleonie.  
Miałyżby wojnę wróżyć ci jeźdźcy? te bronie?  
Ekonom pobiegł wszystko Sędziemu powiedzieć,  
Spodziewając się i sam czegoś się dowiedzieć.

W Soplicowie domowi i goście, po kłótni  
Wczorajszej, wstali z siebie nieradzi i smutni.  
Próżno Wojszczanka damy na kabałę sprasza,  
Mężczyznom próżno karty dają do mariasza:  
Nie chcą bawić się ni grać, siedzą cicho w kątkach,  
Mężczyźni palą lulki, kobiety przy prątkach;  
Nawet śpią muchy.

Wojski, rzuciwszy łopatkę,  
Znudzony ciszą, idzie pomiędzy czeladkę.  
Woli w kuchennej słuchać ochmistrzyni krzyków,  
Groźb i razów kucharza, hałasu kuchcików;  
Aż go powoli wprowadził w przyjemne marzenie  
Ruch jednostajny różnów kręcących pieczenie.

Sędzia od rana pisał zamknąwszy się w izbie,  
Woźny od rana czekał pod oknem na przyzbie;  
Sędzia skończywszy pozew Protazego wzywa,  
Skargę przeciw Hrabiemu głośno odczytywa:  
O skrzywdzenie honoru, zelżywe wyrazy,  
Zaś przeciw Gerwazemu o gwałty i razy;  
Obydwo o przechwałki, o koszta z powodu  
Procesu, ciągnie w rejestr taktowy do grodu.  
Pozew dziś trzeba wręczyć ustnie, oczewisto,  
Nim zajdzie słońce. Woźny z miną uroczystą  
Wyciągnął słuch i rękę, skoro pozew zoczył;  
Stał poważnie, a rad by z radości podskoczył.  
Na samą myśl procesu czuł, że się odmłodził:  
Wspomniał na dawne lata, gdy z pozwami chodził

Po guzy, ale razem po zapłaty hojne.  
Tak żołnierz, który strawił życie tocząc wojnę,  
A na starość w szpitalach spoczywa kaleki:  
Skoro usłyszy trąbę lub bęben daleki,  
Chwyta się z łoża, krzyczy przez sen: "Bij Moskala!"  
I na drewnianej nodze skacze ze szpitala  
Tak prędko, że go ledwie może złowić młodzieź.

Protazy śpieszył włożyć swą woźnieńską odzież:  
Przecież żupana ani kontusza nie kładzie,  
One służą ku wielkiej sądowej paradzie;  
Na podróż ma strój inny; szerokie rajtuzy  
I kurtę, której poły podpięte na guzy  
Można zakasać albo spuścić na kolana;  
Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,  
Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słońcem.  
Tak ubrany, wziął pałkę i ruszył piechotą.  
Bo woźni przed procesem, jak szpiegi przed bojem,  
Muszą kryć się pod różną postacią i strojem.

Dobrze zrobił Protazy, że w drogę pośpieszył,  
Bo niedługo by swoim pozwem się nacieszył.  
W Soplicowie zmieniano kampaniji plany,  
Do Sędziego wpadł nagle Robak zadumany  
I rzekł: "Sędzio, to bieda nam z tą panią ciotką,  
Z tą panią Telimeną, kokietką i trzpiotką.  
Kiedy Zosia została dzieckiem w biednym stanie,  
Jacek ją Telimienie dał na wychowanie,  
Słyszając, że jest osoba dobra, świat znająca,  
A postrzegam, że ona coś tu nam zamąca,  
Intryguje i pono Tadeuszka wabi;  
Śledzę ją; albo może bierze się do Hrabi,  
Może do obu razem: obmyślmy więc środki,  
Jak się jej pozbyć, bo stąd mogą urosć plotki,  
Zły przykład i pomiędzy młokosami zwady,  
Które mogą pomieszać twe prawne układy".  
"Układy? krzyknął Sędzia z niezwykłym zapalem,  
Z układow kwita, już je skończyłem, zerwałem".  
"A to co? przerwał Robak, gdzie rozum, gdzie głowa?  
Co tu mi Wasze bajasz, jaka burda nowa?"  
"Nie z mej winy, rzekł Sędzia, proces to wyjaśni:  
Hrabia pyszałek, głupiec, był przyczyną waśni,  
I Gerwazy łotr; lecz to do sądu należy.  
Szkoda, żeś nie był, Księżu, w zamku na wieczerzy,  
Poświadczyłbyś, jak Hrabia srodze mnie obraził".  
"Po coś Waś, krzyknął Robak, do tych ruin łąził?  
Wiesz, jak zamku nie cierpię; odtąd moja noga

Tam nie postanie. Znowu kłótnia! kara Boga!  
Jakże tam było? powiedz; trzeba tę rzecz zatrzeć,  
Już mnie znudziło wreszcie na tyle głupstw patrzeć,  
Ważniejsze ja mam sprawy niż godzić piniaczy,  
Ale jeszcze raz zgodzę". - "Zgodzić? Cóż to znaczy!  
A idźże mi Waś wreszcie z tą zgodą do licha!  
Przerwał Sędzia tupnąwszy nogą, patrzcie mnicha!  
Że go przyjmuję grzecznie, chce mnie za nos wodzić.  
Wiedz Wasze, że Soplice nie zwykli się godzić;  
Gdy pozwą, muszą wygrać: nieraz w ich imieniu  
Trwał proces, aż wygrali w szóstym pokoleniu.  
Dosyć zrobiłem głupstwa z porady Waszeci,  
Zwołując podkomorskie sądy po raz trzeci.  
Od dzisiaj nie ma zgody; nie ma, nie ma, nie ma!  
(I krzyżąc chodził, tupał nogami obiema).  
Prócz tego za wczorajszy niegrzeczny uczynek  
Musi mnie deprekować, albo pojedynek!"  
"Ale, Sędzio, coź będzie, jak się Jacek dowie?  
Wszak on umrze z rozpaczy! Czyliż Soplicowie  
Nie nabroili jeszcze w tym zamku dość złego!  
Bracie! wspominać nie chcę wypadku strasznego.  
Wiesz także, że część gruntów od zamku dziedzica  
Zabrała i Soplicom dała Targowica.  
Jacek za grzech żałując musiał być ślubować  
Pod absolucją dobra te restytuować.  
Wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę ubogą,  
Hodować, wychowanie jej opłacał drogo.  
Chciał ją Tadeuskowi swojemu wyswatać  
I tak dwa poróżnione domy znowu zbratać,  
I dziedzicze bez wstydu ustąpić grabieży".  
"Lecz coź to? krzyknął Sędzia, co do mnie należy?  
Ja się nie znałem, nawet nie widziałem z Jackiem;  
Ledwie słyszał o jego życiu hajdamackiem,  
Siedząc wtenczas retorem w jezuickiej szkole,  
Potem u wojewody służąc za pacholę.  
Dano mi dobra, wziąłem; kazał przyjąć Zosię,  
Przyjąłem, hodowałem, myślę o jej losie:  
Dość mnie nudzi ta cała historyja babia!  
A potem czegoż jeszcze wlaź mi tu ten Hrabia?  
Z jakim prawem do zamku? Wszak wiesz, przyjacielu,  
On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu!  
I ma mnie lżyć? a ja go zapraszać do zgody!"  
"Bracie! rzekł Ksiądz, ważne są do tego powody.  
Pamiętasz, że Jacek chciał do wojska słać syna,  
Potem w Litwie zostawił: coź w tym za przyczyna?  
Oto w domu Ojczyźnie potrzebniejszy będzie.  
Słyszałeś pewnie, o czym już gadają wszędzie,

O czym ja wiadomości przynosiłem nieraz:  
Teraz czas już powiedzieć wszystko, czas już teraz!  
Ważne rzeczy, mój bracie! Wojna tuż nad nami!  
Wojna o Polskę! bracie! Będziem Polakami!  
Wojna niechybna! Kiedy z poselstwem tajemnym  
Tu biegłem, wojsk forpoczty już stały nad Niemnem;  
Napoleon już zbiera armię ogromną,  
Jakiej człowiek nie widział i dzieje nie pomną;  
Obok Francuzów ciągnie polskie wojsko całe,  
Nasz Józef, nasz Dąbrowski, nasze orły białe!  
Już są w drodze, na pierwszy znak Napoleona  
Przejdą Niemen i - bracie! Ojczyzna wskrzeszona!"

Sędzia słuchając, z wolna okulary składał  
I wpatrując się mocno w Księdza, nic nie gadał,  
Westchnął głęboko, w oczach łzy się zakręciły...  
Wreszcie porwał za szyję Księdza z całej siły:  
"Mój Robaku! wołając, czy to tylko prawda?  
Mój Robaku! powtarzał, czy to tylko prawda?  
Ileż razy zwodzono! Pamiętasz? gadali:  
Napoleon już idzie! i my już czekali!  
Gadano: już w Koronie, już Prusaka pobił,  
Wkracza do nas! A on! co? Pokój w Tylży zrobił!  
Czy tylko prawda? Czy ty nie zwodzisz sam siebie?"  
"Prawda, zawołał Robak, jak Pan Bóg na niebie!"  
"Błogosławioneż niechaj będą usta, które  
To zwiastują! rzekł Sędzia wznosząc ręce w górę.  
Nie pożałujesz twego poselstwa, Robaku,  
Nie pożałuje klasztor; dwieście owiec z braku  
Daję na klasztor. Księżę, tyś się wczora palił  
Do mojego kasztanka i gniadosza chwalił,  
Dziś zaraz w twym kwestarskim wozie pójda oba;  
Dziś proś mnie, o co zechcesz, co ci się podoba,  
Nie odmówię! Lecz o tym interesie całym  
Z Hrabią, daj pokój; skrzywdził mnie, już zapozwałem,  
Czyż wypada?"  
Załamał ręce Ksiądz zdziwiony.  
Wlepiwszy oczy w Sędzię, ruszywszy ramiony,  
Rzekł: "To gdy Napoleon wolność Litwie niesie,  
Gdy świat drży cały, to ty myślisz o procesie?  
I jeszcze po tym wszystkim, com tobie powiedział,  
Będziesz spokojnie, ręce założywszy, siedział,  
Gdy działać trzeba!" - "Działać? Cóż?" Sędzia zapytał.  
"Jeszcześ, rzekł Robak, z oczu moich nie wyczytał?  
Jeszcze serce nic tobie nie gada? Ach, bracie!  
Jeśli Soplicowskiej krwi kroplę w żyłach macie,  
Uważ tylko: Francuzi uderzają z przodu,

A gdyby z tyłu zrobić powstanie narodu?  
Co myślisz? Niech no Pogoń zarży, niech na Żmudzi  
Niedźwiedź ryknie! Ach, gdyby jakie tysiąc ludzi,  
Gdyby choć pięćset z tyłu na Moskwę natarło,  
Powstanie jako pożar wkoło rozpostarło,  
Gdybyśmy my, nabrawszy Moskwie harmat, znaków  
Zwycięscy szli powitać wybawców rodaków?  
Ciagniemy! Napoleon, widząc nasze lance,  
Pyta, co to za wojsko, my krzyczym: "Powstańce,  
Najjaśniejszy Cesarzu! Litwa ochotnicy!"  
Pyta: pod czyją wodzą? - "Sędziego Soplicy! "  
Ach, któż by potem pisać śmiał o Targowicy?  
Bracie, póki Ponarom stać, Niemnowi płynąć,  
Póty w Litwie Sopliców imieniowi słynąć;  
Wnuków, prawnuków będzie Jagiełłów stolica  
Wskazywać palcem, mówiąc: Oto jest Soplica,  
Z tych Sopliców, co pierwsi zrobili powstanie!"

A na to Sędzia: "Mniejsza o ludzkie gadanie,  
Nigdy nie dbałem bardzo o pochwały świata,  
Bóg świadkiem, żem nie winien grzechów mego brata,  
W politykę jam nigdy bardzo się nie wdawał,  
Urządząc i orząc mojej ziemi kawał.  
Lecz jestem szlachcic, rad bym plamę domu zmasać;  
Jestem Polak, dla kraju rad bym coś dokazać,  
Choć duszę oddać. W szable nie byłem zbyt tęgi,  
Wszakże bierali ludzie i ode mnie cięgi;  
Wie świat, że w czasie polskich ostatnich sejmików  
Wyzwałem i zraniłem dwóch braci Buzwików,  
Którzy... Ale to mniejsza. Jakże Wasze myśli?  
Czy potrzeba, żebyśmy zaraz w pole wyszli?  
Strzelców zebrać, rzecz łatwa; prochu mam dostatek,  
W plebaniji u księdza jest kilka armatek;  
Przypominam, że Jankiel mówił, iż u siebie  
Ma groty do lanc, że je mogę wziąć w potrzebie;  
Te groty przywiózł w pakach gotowych z Królewca  
Pod sekretem; weźmiem je, zaraz zrobim drzewca,  
Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiedzie,  
Ja z synowcem na czele, i - jakoś to będzie !"

"O polska krwi! " zawołał Bernardyn wzruszony,  
Z otwartymi skoczywszy na Sędzię ramiony,  
"Prawe dziecię Sopliców! Tobie Bóg przeznacza  
Oczyścić grzechy brata twojego tułacza;  
Zawszem ciebie szanował, ale od tej chwili  
Kocham cię, jak gdybyśmy bracią sobie byli.  
Przygotujemy wszystko, lecz wyjść nie czas jeszcze,



Ja sam wyznaczę miejsce i czas wam obwieszczę.  
Wiem, że car wysłał gońców do Napoleona  
Prosić o pokój; wojna nie jest ogłoszona;  
Lecz książe Józef słyszał od pana Biniona,  
Francuza, co należy do cesarskiej rady,  
Że się na niczym skończą wszystkie te układy,  
Że będzie wojna. Książe wysłał mnie na wzwiady,  
Z rozkazem, żeby byli Litwini gotowi  
Dowieść przychodzącemu Napoleonowi,  
Że chcą złączyć się znowu z siostrą swą, Koroną,  
I żądając, ażeby Polskę przywrócono.  
Tymczasem, bracie, z Hrabią trzeba przyjść do zgody;  
Jest to dziwak, fantastyk trochę, ale młody,  
Pocziwy, dobry Polak; potrzebny nam taki,  
W rewolucyjach bardzo potrzebne dziwaki,  
Wiem z doświadczenia; nawet głupi się przydadzą,  
Byle tylko pocziwi i pod mądrych władzą.  
Hrabia pan, ma u szlachty wielkie zachowanie,  
Cały powiat ruszy się, jeśli on powstanie;  
Znając jego majątek każdy szlachcic powie:  
Musi to być rzecz pewna, gdy z nią są panowie.  
Biegę do niego zaraz". - "Niech się pierwszy zgłosi,  
Rzekł Sędzia, niech przyjedzie tu, mnie niech przeprosi,  
Wszak jestem starszy wiekiem, jestem na urzędzie!  
Co się tyczy procesu, sąd arbitrów będzie..."  
Bernardyn trzasnął drzwiami. - "No, szczęśliwa droga!"  
Rzekł Sędzia.  
Ksiądz wpadł w powóz stojący u proga,  
Tnie biczem konie, łechce lejcami po bokach;  
Furknęła kałamaszka, ginie w mgły obłokach,  
Tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury  
Wznosi się nad tumany jako sęp nad chmury.

Woźny już dawniej wyszedł ku domowi Hrabi.  
Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,  
Bieży ku niej, a strzelców zna fortele skryte,  
Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę  
I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli,  
Pyta wiatru, czy strzelcy jadła nie zatruli:  
Protazy zeszedł z drogi i wzdłuż sianożęci  
Kraży około domu; pałkę w ręku kręci,  
Udaje, że obaczył kędyś bydło w szkodzie,  
Tak zręcznie lawirując stanął przy ogrodzie;  
Schylił się, bieży, rzekłbyś, iż derkacza tropi,  
Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.

W tej zielonej, pachnącej i gęstej krzewinie,

Koło domu, jest pewny przytułek żwierzynie  
I ludziom. Nieraz zając zdybany w kapuście  
Skacze skryć się w konopiach bezpieczniej niż w chruście,  
Bo go dla gęstwy ziela ani chart nie zgoni,  
Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiej woni.  
W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka  
Lub pięści, siedzi cicho, aż się pan wyfuka.  
I nawet często zbiegli od rekruta chłopci,  
Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą wśród konopi.  
I stąd w czasie bitew, zajazdów, tradowań  
Obie strony nie szczczędzą wielkich usiłowań,  
Ażeby stanowisko zająć konopiane,  
Które z przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,  
A z tyłu, pospolicie stykając się z chmielem,  
Kryje atak i odwrót przed nieprzyjacielem.

Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu,  
Bo przypomniał z samego rośliny zapachu  
Różne swoje dawniejsze woźnieńskie przypadki,  
Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki;  
Jako raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dzindolet,  
Rozkazał mu, oparłszy o piersi pistolet,  
Wleźć pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,  
Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.  
Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,  
Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,  
Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki  
I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,  
Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapier  
Krzyżąc: "Albo cię zetnę, albo zjedz twój papier!"  
Woźny niby jeść zaczął, jak człowiek roztropny,  
Aż skradłszy się do okna wpadł w ogród konopny.

Wprawdzie już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem  
Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem,  
I ledwie woźny czasem usłyszał łajanie:  
Ale Protazy o tej obyczajów zmianie  
Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał.  
Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał,  
Sędzia dotąd, przez winny wzgląd na lata stare,  
Odmawiał jego prośbom; dziś przyjął ofiarę  
Dla naglącej potrzeby.  
Woźny patrzy, czuwa -  
Cicho wszędzie - w konopie z wolna ręce wsuwa  
I rozchylając gęstwą badylów, w jarzynie  
Jako rybak pod wodą nurkujący płynie:  
Wzniósł głowę - cicho wszędzie - do okien się skrada -

Cicho wszędzie - przez okna głąb pałacu bada -  
Pusto wszędzie. - Na ganek wchodzi nie bez strachu,  
Odmyka klamkę - pusto jak w zaklętym gmachu;  
Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.  
A wtem usłyszał tarkot, uczuł serca drzenie,  
Chciał uciec; gdy ode drzwi zaszła mu osoba -  
Szczęściem znajoma! Robak! Zdziwili się oba.

Widno, że Hrabia kędyś ruszył z całym dworem  
I bardzo śpieszył, bo drzwi zostawił otworem.  
Widać, że się uzbrajał; leżały dwururki  
I sztuce na podłodze, dalej sztenfle, kurki  
I narzędzia ślusarskie, którymi rynsztunki  
Poprawiano; proch, papier: robiono ładunki.  
Czy Hrabia z całym dworem wyjechał na łowy?  
Ale po cóż broń ręczna? Tu szabla bez głowy  
Zardzewiała, tam leży szpada bez temlaku:  
Zapewne wybierano oręż z tego braku  
I poruszono nawet stare bronie składy.  
Robak obejrzał pilnie rusznice i szpady,  
A potem do folwarku wybrał się na wzwiady  
Szukając sług, żeby się rozpytać o Hrabie;  
W pustym folwarku ledwie wynalazł dwie babie,  
Od których słyszy, że pan i dworska drużyna  
Ruszyli tłumnie, zbrojnie, drogą do Dobrzyna.

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek  
Męstwem swoich szlachciców, pięknnością szlachcianek.  
Niegdyś możny i ludny; bo gdy król Jan Trzeci  
Obwołał pospolite ruszenie przez wici,  
Choraży wojewodztwa z samego Dobrzyna  
Przywiódł mu sześćset zbrojnej szlachty. Dziś rodzina  
Zmniejszona, zubożała; dawniej w pańskich dworach  
Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach  
Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie.  
Teraz zmuszeni sami pracować na siebie  
Jako zaciężne chłopstwo! tylko że siermięgi  
Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi,  
A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek  
Najuboższych różni się od chłopskich katanek:  
Zwykle chodzą w drylichach albo perkaliczkach,  
Bydło pasą nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach,  
I znają zboże, a nawet przędą w rękawiczkach.

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią  
Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.  
Czysta krew lacka, wszyscy mieli czarne włosy,

Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;  
Z Dobrzyńskiej ziemi ród swój starożytny wiedli.  
A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,  
Zachowali mazurską mowę i zwyczaje.  
Jeśli który z nich dziecku imię na chrzcie daje,  
Zawsze zwykł za patrona brać koronijasz,  
Świętego Bartłomieja albo Matyjasza.  
Tak syn Macieja zawsze zwał się Bartłomiejem,  
A znowu Bartłomieja syn zwał się Maciejem;  
Kobiety wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny  
By rozemnić się wpośród takiej mieszaniny,  
Brali różne przydomki od jakiej zalety  
Lub wady, tak mężczyźni jako i kobiety.  
Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,  
Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;  
Czasem jeden że szlachcic inaczej w Dobrzynie,  
A pod innym nazwiskiem u sąsiadów słynie.  
Dobrzyńskich naśladować, inna szlachta bliska  
Brała również przydomki, zwane imioniska;  
Teraz ich każda prawie używa rodzina,  
A rzadki wie, iż mają początek z Dobrzyna.  
I były tam potrzebne; kiedy w reszcie kraju  
Głupim naśladownictwem weszły do zwyczaju.

Więc Matyjasz Dobrzyński, który stał na czele  
Całej rodziny, zwan był Kurkiem na kościele.  
Potem, z siedemset dziewięćdziesiąt czwartym rokiem,  
Odmieniwszy przydomek ochrzcił się Zabokiem;  
Toż Królikiem Dobrzyńscy mianują go sami,  
A Litwini nazwali Maćkiem nad Maćkami.

Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem  
Panował, stojąc między karczmą i kościołem.  
Widać rzadko zwiedzany, mieszka w nim hołota,  
Bo brama sterczy bez wrot, ogrody bez płota,  
Nie zasiane, na grzędach już porosły brzożki;  
Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,  
Iż kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy,  
I prawą stronę, gdzie jest świetlica, miał z cegły.  
Obok lamus, spichrz, gumno, obora i stajnie.  
Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;  
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy  
Świeciły się, jak gdyby od zielonej blachy,  
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.  
Po strzechach gumien niby ogrody wiszące  
Różnych roślin: pokrzywa i krokos czerwony,  
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony;

Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,  
W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki  
Białe skaczą i ryją w nie deptanej darni.  
Słowem, dwór na kształt klatki albo królikarni.

A dawniej był obronny! Pełno wszędzie śladów,  
Że wielkich i że częstych doznawał napadów.  
Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa,  
Wielka, leżała kula żelazna działowa  
Od czasów szwedzkich; niegdyś skrzydło wrót otwarte  
Bywało o tę kulę jak o głaz oparte.  
Na dziedzińcu pomiędzy piołunu i chwastu  
Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu,  
Na ziemi nie święconej; znak, że tu chowano  
Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.  
Kto by uważał z bliska lamus, spichrz i chatę,  
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate  
Niby rojem owadów czarnych; w każdej plamie  
Siedzi we środku kula jak trzmiel w ziemnej jamie.

U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki,  
Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:  
Pewnie tu probowano hartu zygmontówek,  
Którymi można śmiało ćwieki obciąć z główek  
Lub hak przetrząść, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczyrby.  
Nade drzwiami Dobrzyńskich widne były herby;  
Lecz armaturę - serów zasłoniły półki  
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.

Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni  
Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w starej zbrojowni  
Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki,  
Ozdoby czoł marsowych: dziś Wenery ptaki,  
Gołębie, w nich gruchając karmią swe pisklęta.  
W stajni kolczuga wielka nad żłobem rozpięta  
I pierścieniasty pancierz służą za drabinę,  
W którą chłopiec zarzuca żrebcem dziecielinę.  
W kuchni kilka rapierów kucharka bezbożna  
Odhartowała, kładąc je w piec zamiast różna;  
Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna  
Słowem, wyгнаła Marsa Ceres gospodarna  
I panuje z Pomoną, Florą i Wertumnem  
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.  
Ale dziś muszą znowu ustąpić boginie:  
Mars powraca.  
O świecie zjawił się w Dobrzynie  
Konny posłaniec; biega od chaty do chaty,

Budzi jak na pańszczyznę; wstają szlachta braty,  
Napelniają się cizbą zaścianku ulice,  
Słyszą krzyk w karczmie, widać w plebaniji świece;  
Biegą; jeden drugiego pyta, co to znaczy,  
Starzy składają radę, młódź konie kulbaczy,  
Kobiety zatrzymują, chłopcy się szamocą,  
Rwą się biec, bić się, ale nie wiedzą, z kim, o co!  
Muszą chcąc nie chcąc zostać. W mieszkaniu plebana  
Trwa rada długa, tłumna, strasznie zamieszana,  
Aż nie mogąc zdań zgodzić, na koniec stanowi  
Przełożyć całą sprawę Ojcu Maciejowi.

Siedmdziesiąt dwa lat liczył Maciej, starzec dziarski,  
Niskiego wzrostu, dawny konfederat barski.  
Pamiętają i swoi, i nieprzyjaciele  
Jego damaskowaną krzywą karabełę,  
Którą piki i sztyki rzezał na kształt sieczki  
I której żartem skromne dał imię różeczki.  
Z konfederata stał się stronnikiem królewskim  
I trzymał z Tyzenhauzem, podskarbin litewskim;  
Lecz gdy król w Targowicy przyjął uczestnictwo,  
Maciej opuścił znowu królewskie stronnictwo.  
I stąd to, że przechodził partyi tak wiele,  
Nazywany był dawniej Kurkiem na kościele,  
Że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał.  
Przyczynę zmian tak częstych na próżno byś macał:  
Może Maciej zbyt wojnę lubił, zwyciężony  
W jednej stronie, znów bitwy szukał z drugiej strony?  
Może bystry polityk ducha czasu zbadywał  
I tam szedł, gdzie Ojczyzny dobro upatrywał?  
Kto wie! to pewna, że go nigdy nie uwiodły  
Ani chęć osobistej chwały, ni zysk podły,  
I że nigdy z moskiewską partyją nie trzymał;  
Na sam widok Moskala pieniał się i zżymał.  
By nie spotkać Moskala, po kraju zaborze  
Siedział w domu, jak niedźwiedź gdy ssie łapę w borze.

Ostatni raz wojował poszedłszy z Ogińskim  
Do Wilna, gdzie służyli oba pod Jasińskim,  
I tam z różeczką cudów dokazał odwagi.  
Wiadomo, że sam jeden skoczył z wałów Pragi  
Bronić pana Pocięja, który, odbieżany  
Na placu boju, dostał dwadzieście trzy rany.  
Myślano długo w Litwie, że obu zabito;  
Wrócili oba, każdy pokłuty jak sito.  
Pan Pocięj, zacny człowiek, chciał zaraz po wojnie  
Obrońcę Dobrzyńskiego wynagrodzić hojnie,

Dawał mu folwark pięciu dymów w dożywocie  
I wyznaczył mu rocznie tysiąc złotych w złocie.  
Lecz Dobrzyński odpisał: "Niech Pocięj Macieja,  
A nie Maciej Pocięja ma za dobrodzieja".  
Odmówił więc folwarku i nie przyjął płacy;  
Sam wróciwszy do domu, żył z własnej rąk pracy,  
Sprawując ule dla pszczół, lekarstwa dla bydła,  
Szląc na targ kuropatwy, które łowił w sidła,  
I polując na zwierza.  
Było dość w Dobrzynie  
Starych ludzi roztropnych, którzy po łacinie  
Umieli i w palestrze ćwiczyli się z młodu;  
Było dość majątniejszych; a z całego rodu  
Maciek prostak, ubogi, był najwięcej czczony,  
Nie tylko jako rębacz różeczką wstawiony,  
Lecz jako człek mądrego i pewnego zdania,  
Znający dzieje kraju, rodziny podania,  
Zarówno świadom prawa jak i gospodarstwa.  
Wiedział także sekreta strzelców i lekarstwa,  
Przyznawano mu nawet (czemu pleban przeczy)  
Wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy.  
To pewna, że powietrza zmiany zna dokładnie  
I częściej niż kalendarz gospodarski zgadnie.  
Nie dziw tedy, że czy to siejbę rozpoczynać,  
Czy wiciny wyprawiać, czy zboże zażynać,  
Czy procesować, czyli zawierać układy,  
Nie działo się w Dobrzynie nic bez Maćka rady.  
Wpływu takiego starzec bynajmniej nie szukał,  
Owszem, chciał się go pozbyć, klientów swych fukał  
I najczęściej wypychał milczkiem za drzwi domu,  
Rady rzadko udzielał i nie lada komu,  
Ledwie w niezmiernie ważnych sporach lub umowach  
Pytany, wyrzekł zdanie i w niewielu słowach.  
Myślano, że dzisiejszej podejmie się sprawy  
I stanie swą osobą na czele wyprawy;  
Bo bijatykę lubił niezmiernie za młodu  
I był nieprzyjacielem moskiewskiego rodu.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze,  
Nucąc piosenkę: Kiedy ranne wstają zorze,  
Rad, że się wypogadza; mgła nie szła do góry,  
Jak się dzieć zwykło, kiedy zbierają się chmury,  
Ale coraz spadała; wiatr rozwinął dłonie  
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie;  
Tymczasem słońko z góry tysiącem promieni  
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.  
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia,

Dziewica, siedząc w dole krośny ujedwabia  
I tło ręką wygładza, tymczasem tkacz z góry  
Zruca jej nitki srebra, złota i purpury,  
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą  
Wiatr tumanami osnuł, a słońce dzierzgało.

Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze  
I już się do swojego gospodarstwa bierze.  
Wyniosł traw, liścia; usiadł przed domem i świsnął  
Na ten świst rój królików spod ziemi wytrysnął.  
Jako narcyzy nagle wykwitłe nad trawę,  
Bielą się długie słuchy; pod nimi jaskrawe  
Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny  
Gęsto wszyte w aksamit zielonej darniny.  
Już króliki na łąpkach stoją, każdy słucha,  
Patrzy, na koniec cała trzódka białopucha  
Bieży do starca, liśćmi kapusty znęcona,  
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona;  
On sam biały jak królik lubi ich gromadzić,  
Wkoło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić,  
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota  
Dla wróblów; spada z dachów krzykliwa hołota.

Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,  
Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady  
Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi,  
Którzy szli do folwarku krokami prędkimi.  
Byli to z plebaniji przez szlachty gromadę  
Posłowie wyprawieni do Maćka po radę.  
Z dała witając starca niskimi ukłony,  
Rzekli: "Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony".  
"Na wieki wieków, amen" starzec odpowiedział,  
A gdy się o ważności poselstwa dowiedział,  
Prosi do chaty; weszli, zasiadają ławę.  
Pierwszy z posłów stał w środku i jął zdawać sprawę.  
Tymczasem szlachty coraz gęściej przybywało.  
Dobrzyńscy prawie wszyscy; sąsiadów niemało  
Z okolicznych zaścianków, zbrojni i bezbronni,  
W kałamaszkach i bryczkach, i piesi, i konni,  
Stawia wozy, podjezdki do brzezinek wiążą,  
Ciekawi skutku narad koło domu krążą:  
Już izbę napełnili, kupią się do sieni;  
Inni słuchają, w okna głowami wciśnieni.



## Księga VII: Rada

Z kolei Bartek poseł rzecz swą wyprowadzał;  
Ten, że często na strugach do Królewca chadzał,  
Nazwany był Prusakiem od swych spółrodaków  
Przez żart, bo nienawidził okropnie Prusaków,  
Choć lubił o nich gadać; człek podeszły w lata,  
W podróżach swych dalekich wiele zwiedził świata;  
Gazet pilny czytelnik, polityki świadom,  
W niebytność Maćka zwykle przewodził obradom.  
Ten tak rzecz kończył:

"Nie jest to, Panie Macieju,  
Bracie mój, a nas wszystkich Ojczy Dobrodzieju,  
Nie jest to marna pomoc. Ja bym na Francuzów  
Spuścił się w czasie wojny jak na czterech tuzów:  
Lud bitny, a od czasów pana Tadeusza  
Kościuszki - świat takiego nie miał genijusza  
Wojennego, jak wielki Cesarz Bonaparte.  
Pamiętam, kiedy przeszli Francuzi przez Wartę,  
Bawiłem za granicą wtenczas, w roku Pańskim  
Tysiącnym osimsetnym szóstym; właśnie z Gdańskiem  
Handlowałem, a krewnych mam wielu w Poznańskiem.  
Jeździłem ich odwiedzić; więc z panem Józefem  
Grabowskim, który teraz jest rejmentu szefem,  
A podówczas żył na wsi blisko Obiezierza,  
Polowaliśmy sobie na małego zwierza.  
Był pokój w Wielkopolszcze, jak teraz na Litwie;  
Wtem nagle rozeszła się wieść o strasznej bitwie;  
Przybiegł do nas posłaniec od pana Towdena,  
Grabowski list przeczytał, krzyknął: "Jena! Jena!  
Zbito Prusaków na łeb, na szyję, wygrana!"  
Ja, z konia zsiadłszy, zaraz padłem na kolana  
Dziękując Panu Bogu. - Do miasta jedziemy,  
Niby dla interesu, niby nic nie wiemy;  
Aż tu widzimy: wszystkie landraty, hofraty,  
Komisarze i wszystkie podobne psubraty  
Kłaniają się nam nisko; każdy drży, blednieje,  
Jako owad prusaczy, gdy wrzątkiem kto zleje.  
My śmiejąc się, trąc ręce, prosim uniżenie  
O nowinki? pytamy, co słyhać o Jenie?  
Tu ich strach zdjął, dziwią się, że o klęsce owej  
Już wiemy; krzyczą Niemcy: "Achary Got! o wej!"  
Spuściwszy nos, do domów, z domów dalej w nogi -  
O, to był rwetes! Wszystkie wielkopolskie drogi  
Pełne uciekających; niemczyska jak mrowie  
Pełzną, ciągną pojazdy, które lud tam zowie  
Wagony i fornalki; mężczyźni, kobiety,

Z fajkami, z imbryczkami, wleką pudła, bety;  
Drapią, jak mogą; a my milczkiem wchodzimy w radę:  
Hajże na koń, pomieszać Niemcom rejteradę;  
Nuż landratom tłuc w karki, z hofratów drzeć schaby,  
A herów oficyrów łowić za harcaby -  
A generał Dąbrowski wpada do Poznania  
I cesarski przynosi rozkaz: do powstania!  
W tydzień jeden, tak lud nasz Prusaków wychłostał  
I wygnał, na lekarstwo Niemca byś nie dostał!  
Gdyby się tak obrócić i gracko, i raźnie,  
I u nas w Litwie sprawić Moskwie taką łaźnię?  
He? co myślisz, Macieju? Jeśli z Bonapartem  
Moskwa drze koty, to on wojuje nie żartem:  
Bohater pierwszy w świecie, a wojsk ma bez liku!  
He, cóż myślisz, Macieju, nasz ojcie Króliku?"

Skończył. Czekają wszyscy Macieja wyroku.  
Maciej głowy nie ruszył ani podniósł wzroku,  
Tylko ręką kilkakroć uderzył po boku,  
Jak gdyby szabli szukał (od zaboru kraju  
Szabli nie nosił; przecież z dawnego zwyczaju  
Na wspomnienie Moskala zawsze rękę zwracał  
Na lewy bok; zapewne różeczki swej macał,  
I stąd był nazywany powszechnie Zabokiem).  
Już wzniosł głowę, słuchają w milczeniu głębokiem.  
Maciej oczekiwanie powszechne omylił,  
Nachmurzył brwi i znowu głowę na pierś schylił.  
Na koniec odezwał się, z wolna każde słowo  
Wymawiając z przyciskiem, a w takt kiwał głową:

"Cicho! skądże ta cała nowina pochodzi?  
Jak daleko Francuzi? kto nimi dowodzi?  
Czy już wojnę zaczęli z Moskwą? gdzie i o co?  
Którędy mają ciągnąć? z jaką idą mocą?  
Wiele piechoty, jazdy? Kto wie, niechaj gada!"

Milczała patrząc na się kolejno gromada.  
"Radziłbym, rzecz Prusak, czekać bernardyna  
Robaka, bo od niego pochodzi nowina;  
Tymczasem posłać pewnych szpiegów nad granicę  
I po cichu uzbrajać całą okolicę;  
A tymczasem ostrożnie całą rzecz prowadzić,  
Aby Moskałom naszych zamiarów nie zdradzić".

"He! czekać? szczebrać? zwlekać?" przerwał Maciej drugi,  
Ochrzczony Kropicielem od wielkiej maczugi,  
Którą zwał kropidelkiem; miał ją dziś przy sobie.

Stanął za nią, na gałce zwiesił ręce obie,  
Na rękę oparł brodę krzycząc: "Czekać! zwlekać!  
Sejmikować! Hem, trem, brem, a potem uciekać.  
Ja w Prusach nie bywałem; rozum królewiecki  
Dobry dla Prus, a u mnie jest rozum szlachecki.  
To wiem, że kto chce bić się, niech kropidło chwyta,  
Kto umierać, ten księdza niech woła, i kwita!  
Ja chcę żyć, bić! Bernardyn po co? czy my żaki?  
Co mi tam Robak, otóż my będziemy robaki,  
I dalej Moskwę toczyć! trem, brem, szpiegi, wzwiady;  
Wiecie wy, co to znaczy? - Oto, że wy dziady,  
Niedołęgi! He, Bracia! to wyzła rzecz tropić,  
Bernardyńska kwestować, a moja rzecz: kropić,  
Kropić, kropić i kwita!" - Tu maczugę głośną,  
Za nim cały tłum szlachty: "Kropić, kropić!" wrzasnął.

Poparł stronę Chrzyciciela Bartek, zwan Brzytewka  
Od szabli cienkiej, tudzież Maciej, zwan Konewka  
Od sztućca, który naszał, z gardłem tak szerokiem,  
Że zeń, jak z konwi, tuzin kulek lał potokiem;  
Oba krzyczeli: "Wiwat Chrzyciciel z Kropidelkiem".  
Prusak chciał mówić, ale zgłuszono go zgiełkiem  
I śmiechem: "Precz, wołano, precz Prusaki tchórze,  
Kto tchórz, niech w bernardyńskim chowa się kapturze".

Wtem znowu głowę z wolna podniósł Maciej stary  
I zaczęły cokolwiek uciszać się gwary.  
"Nie drwijcie, rzekł, z Robaka; znam go, to ćwik klecha,  
Ten robaczek większego od was zgryzł orzecha;  
Raz go tylko widziałem, ledwiem okiem rzucił,  
Poznałem, co za ptaszek; ksiądz oczy odwrócił  
Lękając się, żebym go nie zaczął spowiadać;  
Ale to, rzecz nie moja, wiele o tym gadać!  
On tu nie przyjdzie, próżno wzywać Bernardyna;  
Jeśli od niego wyszła ta cała nowina,  
To kto wie, w jakim celu: bo to bies księżyna!  
Jeśli prócz tej nowiny nic więcej nie wiecie,  
Więc po coście tu przyszli? i czego wy chcecie?"

"Wojny!" krzyknęli. - "Jakiej?" spytał. - Zawołali:  
"Wojny z Moskałem! bić się! Hajże na Moskali!"

Prusak wciąż wołał, a głos coraz wyżej wznosił,  
Aż posłuchanie częścią ukłonem wyprosił,  
Częścią zdobył swą mową krzykliwą i cienką.

"I ja chcę bić się, wołał tłukąc się w pierś ręką;

Choć kropidła nie noszę, drągiem od wiciny  
Sprawiłem raz Prusakom czterem dobre chrzciny,  
Którzy mię po pjanemu chcieli w Preglu topić".  
"Toś zuch, Bartku, rzekł Chrzciciel, dobrze! kropić kropić!"  
"Ależ najśladzszy Jezu! trzeba pierwej wiedzieć,  
Z kim wojna? o co? trzeba to światu powiedzieć,  
Wołał Prusak, bo jakże lud ruszy za nami?  
Gdzie pójdzie, kiedy gdzie iść, my nie wiemy sami?  
Bracia Szlachta! Panowie! potrzeba rozsądku!  
Dobrodzieje! potrzeba ładu i porządku!  
Chcecie wojny, więc zróbmy konfederacją,  
Obmyślmy, gdzie zawiązać i pod laską czyją?  
Tak było w Wielkopolszcze; - widzimy rejteradę  
Niemiecką, cóż my robimy? wchodzimy tajnie w radę,  
Uzbrajamy i szlachtę, i włościan gromadę,  
Gotowi, Dąbrowskiego czekamy rozkazu,  
Na koniec, hajże na koń! powstajem od razu!"

"Proszę o głos!" zawołał pan komisarz z Klecka,  
Człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka;  
Zwał się Buchman, lecz Polak był, w Polsce się rodził;  
Nie wiedzieć pewnie, czyli ze szlachty pochodził,  
Lecz o to nie pytano; i wszyscy Buchmana  
Szacowali, iż służył u wielkiego pana,  
Był dobry patryjota i pełen nauki,  
Z ksiąg obcych wyuczył się gospodarstwa sztuki  
I dóbr administracją prowadził porządek;  
O polityce także wnioskował rozsądnie,  
Pięknie pisać i gładko umiał się wysławiać,  
Zatem umilkli wszyscy, kiedy jął rozprawiać.  
"Proszę o głos!" powtórzył, po dwakroć odchrząknął,  
Uklonił się i usta dźwięcznymi tak brząknął:

"Preopinanci moi w swych głosach wymownych  
Dotknęli wszystkich punktów stanowczych i głównych,  
Dyskusyjną na wyższe wzniesli stanowisko;  
Mnie tylko pozostaje w jedno zjąć ognisko  
Rzucone trafne myśli i rozumowania:  
Mam nadzieję w ten sposób sprzeczne zgodzić zdania.  
Dwie części dyskusyi całej uważałem,  
Podział już jest zrobiony, idę tym podziałem.  
Naprzód: dlaczego mamy przedsiębrać powstanie?  
W jakim duchu? to pierwsze żywotne pytanie;  
Drugie rewolucyjnej władzy się dotyczy;  
Podział jest trafny, tylko przewrócić go zyczę.  
Naprzód zacząć od władzy; skoro pojmiem władzę,  
Z niej powstania istotę, duch, cel wyprowadzę.

Co do władzy więc - kiedy oczyma przebiegam  
Dzieje całej ludzkości, i cóż w nich spostrzegam?  
Oto ród ludzki dziki, w lasach rozpierchniony,  
Skupia się, zbiera, łączy dla wspólnej obrony,  
Obmyśla ją; i to jest najpierwsza obrada.  
Potem każdy wolności własnej cząstkę składa  
Dla dobra powszechnego: to pierwsza ustawa,  
Z której jako ze źródła płyną wszystkie prawa.  
Widzimy tedy, że rząd umową się tworzy,  
Nie pochodząc, jak mylnie sądzą, z woli Bożej.  
Owoż rząd na kontrakcie oparłszy społecznym,  
Podział władzy już tylko jest skutkiem koniecznym..."

"Otóż są i kontrakty! kijowskie czy mińskie?  
Rzekł stary Maciej, owoż i rządy babińskie!  
Panie Buchman, czy Bóg nam chciał cara narzucić,  
Czy diabeł, ja z Waszecią nie będę się kłócić;  
Panie Buchman, gadaj Waść, jakby cara zrucić".

"Tu sęk, krzyknął Kropiciel; gdybym mógł podskoczyć  
Do tronu i kropidłem, plusk, raz cara zmoczyć,  
To już by on nie wrócił, ni kijowskim traktem,  
Ni mińskim, ni za żadnym Buchmana kontraktem;  
Aniby go wskrzesili z mocy bożej popi,  
Ni z mocy Belzebuba - ten mi zuch, kto kropi.  
Panie Buchman, Waścina rzecz bardzo wymowna,  
Ale wymowa szum, drum; kropić! to rzecz głowna".

"To, to, to!" pisnął, ręce trąc, Bartek Brzytewka,  
Od Chrzyciela do Maćka biegając, jak cewka  
Od jednej strony krosien przerzucana w drugą:  
"Tylko ty, Maćku z różgą, ty, Maćku z maczugą,  
Tylko zgodźcie się, dalbóg, pobijem na druzgi  
Moskala; Brzytew idzie pod komendę Różgi!".  
"Komenda, przerwał Chrzyciel, dobra ku paradzie;  
U nas była komenda w kowieńskiej brygadzie  
Krótka a węzłowata: Strasz, sam się nie strachaj,-  
Bij, nie daj się, - postępuj często, gęsto machaj:  
Szach, mach!" - "To, pisnął Brzytwa, to mi regulament!  
Po co tu pisać akta, po co psuć atrament?  
Konfederacji trzeba? o to cała sprzeczka?  
Jest marszałek nasz Maciej, a laska różeczka".  
"Niech żyje, krzyknął Chrzyciel, Kurek na kościele!"  
Szlachta odpowiedziała: "Wiwant Kropiciele!"

Ale w kątach szmer powstał, choć w środku tłumiony;  
Widać, że się rozdziela rada na dwie strony.

Buchman krzyknął: "Ja zgody nigdy nie pochwalam!  
To mój system!" - Ktoś drugi wrzasnął: "Nie pozwalam!"  
Inni z kątów wtórują. Nareszcie głos gruby  
Ozwał się, przybyłego szlachcica Skołuby:

"Cóż to, Państwo Dobrzyńscy! a to co się święci?  
A my, czy to będziemy spod prawa wyjęci?  
Kiedy nas zapraszano z naszego zaścianku,  
A zapraszał nas klucznik Rębajło Mopanku,  
Mówiono nam, że wielkie rzeczy dziać się miały,  
Że tu nie o Dobrzyńskich, lecz o powiat cały,  
O całą szlachtę idzie; toż i Robak bąkał,  
Choć nigdy nie dokończył i zawsze się jąkał,  
I ciemno się tłumaczył; - wreszcie, koniec końców,  
My zjechali, sąsiadów wezwali przez gońców.  
Nie sami tu Panowie Dobrzyńscy jesteście,  
Z różnych innych zaścianków jest tu nas ze dwieście;  
Wszyscy więc radźmy. Jeśli potrzeba marszałka,  
Głosujmy wszyscy, równa u każdego gałka.  
Niech żyje równość!" Zatem dwaj Terajewicze  
I czterej Stypułkowscy, i trzej Mickiewicze  
Krzyknęli: "Wiwat równość!" - stojąc za Skołubą.  
Tymczasem Buchman wołał: "Zgoda będzie zgubą!"  
Kropiciel krzyczał: "Bez was obejdzem się sami;  
Niech żyje nasz marszałek, Maciek nad Maćkami!  
Hej, do laski!" - Dobrzyńscy krzyczą: "Zapraszamy!"  
A obca szlachta woła w głos: "Nie pozwalamy!"  
Rozstrzycha się tłum na dwie kupy rozdzielony,  
I kiwając głowami w dwie przeciwne strony,  
Tamci: "Nie pozwalamy!" - ci krzyczą: "Prosiemy!"

Maciek stary w pośrodku jeden siedział niemy,  
I jedna głowa jego była nieruchoma.  
Przeciw niemu stał Chrzyciel, zwieszony rękoma  
Na maczudze, a głową na końcu maczugi  
Wspartą kręcił, jak tykwą wbitą na kij długi,  
I na przemiany to w tył, to się naprzód kiwał,  
I ustawicznie: "Kropić, kropić!" wykrzykiwał.  
Wzdłuż izby zaś przebiegał Brzytewka ruchawy  
Ciągłe od Kropiciela do Macieja ławy.  
Konewka zaś powoli wszerez izbę przechodził  
Od Dobrzyńskich do szlachty, niby to ich godził;  
Jeden wciąż wołał "Golić!" - a drugi "Zalewać!"  
Maciek milczał, lecz widno, że się zaczął gniewać.

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy nad tłum wrzeszczący,  
Ze środka głów, wyskoczył w górę słup błyszczący:

Był to rapier sążnistej długości, szeroki  
Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki.  
Widocznie miecz teutoński, z norymberskiej stali  
Ukuty; wszyscy milcząc na broń poglądali.  
(Była wieść, że od przodka Dobrzyńskich ta klinga  
Wydarta pod Grunwaldem z rąk mistrza Junginga).  
Kto ją podniósł? nie widać, lecz zaraz zgadniono:  
"To Scyzoryk! niech żyje Scyzoryk! krzykniono,  
Wiwat Scyzoryk, klejnot Rębajłów zaścianku!  
Wiwat Rębajło, Szczerbiec, Półkozic, Mopanku!"

Wnet Gerwazy (to on był) przez tłum się przecisnął  
Na środek izby, wkoło Scyzorykiem błysnął,  
Potem, w dół chyląc ostrze na znak powitania  
Przed Maćkiem, rzekł: "Rózceczce Scyzoryk się kłania  
Bracia szlachta Dobrzyńscy! Ja nie będę radził  
Nic a nic, powiem tylko, po com was zgromadził,  
A co robić, jak robić, decydujcie sami.  
Wiecie, słuch dawno chodzi między zaściankami,  
Że się na wielkie rzeczy zanosi na świecie;  
Ksiądz Robak o tym gadał, wszakże wszyscy wiecie?"  
"Wiemy!" krzyknęli. - "Dobrze. Owoż mądrej głowie,  
Ciągnął mówca spojrzawszy bystro, dość dwie słowie,  
Nieprawdaż?" - "Prawda!" rzekli. - "Gdy cesarz francuski,  
Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd car ruski,  
Więc wojna, car z cesarzem, królowie z królami  
Pójdą za łby, jak zwykle między monarchami;  
A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego  
Będzie dusić, my duśmy mniejszych, każdy swego.  
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,  
Jak zacznem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali  
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.  
Nieprawdaż?" - "Prawda! rzekli, jakby z książki czyta".  
"Prawda! powtórzył Chrzyciel, krop a krop i kwita".  
"Ja zawsze gotów golić" ozwał się Brzytewka;  
"Tylko zgódźcie się, prosił uprzejmie Konewka,  
Chrzycielu i Macieju, pod czyją iść wodzą".  
Ale mu przerwał Buchman: "Niech się głupi godzą,  
Dyskusyje publicznej sprawie nie zaszkodzą.  
Proszę milczeć, słuchamy, sprawa na tym zyska,  
Pan Klucznik ją z nowego zważa stanowiska".  
"Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu,  
O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu;  
Jest na to cesarz, będzie król, senat, posłowie.  
Takie rzeczy, Mopanku, robią się w Krakowie  
Lub w Warszawie, nie u nas, w zaścianku, w Dobrzynie;  
Aktów konfederackich nie piszą w kominie

Kredą, nie na wicinie, lecz na pergaminie:  
Nie nam to pisać akta, ma Polska pisarzy  
Koronnych i litewskich, tak robili starzy;  
Moja rzecz Scyzorykiem wyrzynać". - "Kropidłem  
Pluskać" dodał Kropiciel. - "I wykalać Szydłem"  
Krzyknął Bartek Szydełko dobywszy swej szpadki.

"Wszystkich was, kończył Klucznik, biorę tu na świadki,  
Czy Robak nie powiadał, że wprzód nim przyjmiecie  
W dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie?  
Słyszeliście to wszyscy, a czy rozumiecie?  
Któż jest śmieciem powiatu? kto zdradziecko zabił  
Najlepszego z Polaków, kto go okradł, zgrabił?  
I jeszcze chce ostatki wydrzeć z rąk dziedzica?  
Któż to? mamże wam gadać?" - "A jużci Sopllica,  
Przerwał Konewka; to łotr!" - "Oj, to ciemieżyciel!"  
Pisnął Brzytewka. - "Więc go kropić!" dodał Chrzyciel.  
"Jeśli zdrajca, rzekł Buchman, więc na szubienicę!"  
"Hajże! krzyknęli wszyscy, hajże na Sopllicę!"

Lecz Prusak śmiał podjąć się Sędziego obrony  
I wołał z wzniesionymi ku szlachcie ramiony:  
"Panowie Bracia! aj! aj! a na boskie rany!  
Co znowu? Panie Klucznik, czy Waść opętany?  
Czy o tym była mowa? Że ktoś miał wariata,  
Banię bratem, to co? karać go za brata!  
To mi po chrześcijańsku! Są tu w tym konszachty  
Hrabiego. - Żeby Sędzia był ciężki dla szlachty,  
Nieprawda! dalibógże! to wy tylko sami  
Pozywacie go, a on zgody szuka z wami,  
Ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płaci.  
Ma proces z Hrabią, cóż stąd? obadwa bogaci;  
Niechaj pan drze się z panem, cóż to do nas braci?  
Pan Sędzia ciemieżyciel! On pierwszy zabraniał,  
Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,  
Mówiąc, że to grzech. Nieraz u niego gromada  
Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;  
Płacił za włość podatki, a nie tak jest w Klecku,  
Choć tam Waść, Panie Buchman, rządysz po niemiecku.  
Sędzia zdrajca! My się z nim od infimy znamy:  
Pocziwe było dziecko i dziś taki samy;  
Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje  
Chowa, modom moskiewskim przystępu nie daje.  
Ilekoć z Prus powracam, chcąc zmyć się z niemczyzny,  
Wpadam do Sopllicowa jak w centrum polszczyzny:  
Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!  
Dalbóg, Dobrzyńscy! ja wasz brat, ale Sędziego



Nie pozwolę pokrzywdzić, nie będzie nic z tego.  
Nie tak, Panowie Bracia, w Wielkopolszcze było:  
Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć miło!  
Nikt tam podobną fraszką nie śmiał rady mieszać".  
"To nie fraszka, zawołał Klucznik, łotrów wieszać!"

Szmer wzmagął się; wtem Jankiel posłuchania prosił,  
Na ławę wskoczył, stanął i nad głowy wznosił  
Brodę jak wiechę, co mu aż do pasa wisi;  
Prawą ręką zdjął z wolna z głowy kołpak lisi,  
Lewą ręką jarmułkę zruszoną poprawił,  
Potem lewicę za pas zatknął i tak prawił,  
Kołpakiem lisim w kolej kłaniając się nisko:

"Nu, Panowie Dobrzyńscy, ja sobie żydzisko;  
Mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców  
Jak panów bardzo dobrych i moich dziedziców;  
Szanuję też Dobrzyńskich Bartków i Maciejów  
Jako dobrych sąsiadów, panów dobrodziejów;  
A mówię tak: jeżeli Państwo chcą gwałt zrobić  
Sędziemu, to bardzo źle, możecie się pobić,  
Zabić - a asesory? a sprawnik? a turma?  
Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma,  
Wszystko jegry! Asesor w domu; tylko świśnie,  
Tak wraz przymaszerują, stoją jak umyślnie.  
A co będzie? A jeśli czekacie Francuza,  
To Francuz jest daleko jeszcze, droga duża.  
Ja Żyd, o wojnach nie wiem, a byłem w Bielicy  
I widziałem tam żydków od samej granicy;  
Słysząc, że Francuz stoi nad rzeką Łososną,  
A wojna jeśli będzie, to chyba aż wiosną.  
Nu, mówię tak: czekajcie; wszak dwór Soplicowa  
Nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa  
I pojedzie: dwór, jak stał, do wiosny stać będzie;  
A pan Sędzia to nie jest żydek na arendzie,  
Nie uciecze, to jego można znaleźć wiosną;  
A teraz rozejdźcie się, a nie gadać głośno  
O tym, co było, bo to gadać, to daremno!  
A czyja łaska Panów Szlachty, proszę ze mną.  
Moja Siora powiła małego Jankielka,  
Ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!  
Każę przynieść kozice, basetłę, dwie skrzypiec,  
A pan Maciek Dobrodziej lubi stary lipiec  
I nowego mazurka; mam nowe mazurki,  
A wyuczyłem śpiewać fein moje bachurki".

Wymowa lubianego powszechnie Jankielka

Trafiała do serc; powstał krzyk, oklask wesela,  
Szmer przyzwolenia nawet za domem się szerzył,  
Gdy Gerwazy w Jankiela Scyzorykiem zmierzył.  
Żyd skoczył, wpadł w tłum; Klucznik wołał: "Precz stąd, Żydzie!  
Nie tkaj palców między drzwiami, nie o ciebie idzie!  
Panie Prusak! że Waszeć sędziowską handlujesz  
Parą wicin mizernych, to już zań gardłujesz?  
Zapomniałeś, Mopanku, że ojciec Waszécin  
Splawiał do Prus dwadzieście Horeszkowskich wicin?  
Stąd się z bogacił i on, i jego rodzina;  
Ba, nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyna.  
Bo pamiętacie starzy, słyszeliście młodzi,  
Że Stolnik był was wszystkich ojciec i dobrodziej:  
Kogoż on komisarzem słał do swych dóbr pińskich?  
Dobrzyńskiego! Rachmistrzów kogo miał? Dobrzyńskich!  
Marszałkostwa, kredensu nie zwierzał nikomu,  
Tylko Dobrzyńskim: pełno Dobrzyńskich miał w domu!  
On forytował wasze w trybunałach sprawy,  
On wyrabiał u króla dla was chleb łaskawy,  
Dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie  
Pijarskim, na swym koszcie, odzieży i wikcie;  
Dorosłych promowował także swym nakładem.  
A dlaczego to robił? że wam był sąsiadem!  
Dziś Soplica kopcami tyka waszych granic,  
Cóż kiedy wam dobrego zrobił on?"  
"Nic a nic!  
Przerwał Konewka; bo to wyrosło z szlachciury,  
A jak dmie się, phu, phu, phu, jak nos drze do góry!  
Pamiętacie, prosiłem na córki wesele;  
Poję, nie chce pić, mówi: "Nie piję tak wiele  
Jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak bąki".  
Ot magnat! delikacik z marymonckiej mąki!  
Nie pił, leliśmy w gardło, krzyczał: "Gwałt się dzieje!"  
Czekaj no, niech no ja mu z Konewki naleję".

"Filut, zawołał Chrzyciel, oj, i ja go kropnę  
Za swoje. Mój syn było to dziecko roztropne;  
Teraz tak zgłupiał, że go nazywają Sakiem,  
A z przyczyny Sędziego został głupcem takim.  
Mówiłem: "Po co tobie leźć do Soplicowa?  
Jeżeli cię tam złowię, niech cię Bóg uchwali!"  
On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie,  
Złowiłem go, a zatem za uszy i kropię;  
A on beczy i beczy jak małeńkie chłopię:  
"Ojczy, choć zabij, muszę tam iść", a wciąż szłocha -  
Co tobie? a on mówi, że tę Zosię kocha!  
Chciałby popatrzeć na nią! Żal mi nieboraka,

Mówię Sędziemu: "Sędzio, daj Zosię dla Saka!"  
On mówi: "Jeszcze mała, czekaj ze trzy lata,  
Jak sama zechce". Łotr! Łże, już ją komuś swata  
Słyszałem; już ja się tam na wesele wkręcę,  
Ja im łożę małżeńskie kropidłem poświęcę".

"I taki łotr, zawołał Klucznik, ma panować?  
I dawnych panów, lepszych od siebie, rujnować?  
A Horeszków i pamięć, i imię zaginie!  
Gdzież jest wdzięczność na świecie? - nie ma jej w Dobrzynie.  
Bracia! chcecie bój z ruskim wieść imperatorem,  
A boicie się wojny z Soplicowskim dworem?  
Strach wam turmy! czyż to ja wzywam na rozboje?  
Broń Boże! Szlachta Bracia! ja przy prawie stoję.  
Wszak Hrabia wygrał, zyskał dekretów niemało;  
Tylko je egzekwować! tak dawniej bywało:  
Trybunał pisał dekret, szlachta wypełniała,  
A szczególnie Dobrzyńscy, i stąd wasza chwała  
Urosła w Litwie! Wszakże to Dobrzyńscy sami  
Bili się na zajeździe ryskim z Moskalami,  
Których przywiódł generał ruski Wojniłowicz  
I łotr, przyjaciel jego, pan Wołk z Ługomowicz;  
Pamiętacie, jak Wołka wzięliśmy w niewolę,  
Jak chcieliśmy go wieszać na belce w stodole,  
Iż był tyran dla chłopstwa a sługa Moskali;  
Ale się chłopci głupi nad nim zlitowali!  
(Upiec go muszę kiedyś na tym Scyzoryku).  
Nie wspomnę innych wielkich zajazdów bez liku,  
Z których wyszliśmy zawsze, jak szlachcie przystało,  
I z zyskiem, i aplauzem powszechnym, i z chwałą!  
Po cóż o tym wspominać! dziś darmo pan Hrabia,  
Sąsiad wasz, sprawę toczy, dekrety wyrabia,  
Już nikt z was pomóc nie chce biednemu sierocie!  
Dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie,  
Dziś nie ma przyjaciela, oprócz mnie, Kluczника,  
I ot, tego wiernego mego Scyzoryka!"

"I Kropidła, rzekł Chrzyciel, gdzie ty, Gerwazeńku,  
Tam i ja; póki ręka, póki plusk plask w ręku.  
Co dwaj, to dwaj! Dalibóg, mój Gerwazy! ty miecz,  
Ja mam Kropidło; dalibóg! ja kropię, a ty siecz,  
I tak szach mach, plusk i plask; oni niech gawędzą!"

"Toć i Bartka, rzekł Brzytwa, bracia nie odpędzą;  
Już co wy namydlicie, to ja wszystko zgolę".  
"I ja, przydał Konewka, z wami ruszyć wolę,  
Gdy ich nie można zgodzić na obiór marszałka;

Co mi tam głosy, gałki, u mnie insza gałka  
(Tu wydobył z kieszeni garść kul, dzwonił nimi):  
Ot gałki! krzyknął, w Sędzię gałkami wszystkimi!"  
"Do was, wołał Skołuba, do was się łączymy!"  
"Gdzie wy, krzyknęła szlachta, gdzie wy, to tam i my!  
Niech żyją Horeszkowie! wiwant Półkozice!  
Wiwat Klucznik Rębajło! Hajże na Soplicę!"

I tak wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy:  
Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,  
Jak zwyczajnie w sąsiedztwie, to o szkodę skargi,  
To o wyręby, to o granice zatargi:  
Jednych gniew, drugich tylko podburzała zawiść  
Bogactw Sędziego - wszystkich zgodziła nienawiść.  
Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry  
Szable, pałki.

-Aż Maciek, dotychczas ponury,  
Nieruchomy, wstał z ławy i wolnymi kroki  
Wyszedł na środek izby, i podparł się w boki;  
I spojrzawszy przed siebie, i kiwając głową,  
Zabrał głos, wymawiając z wolna każde słowo,  
Z przestankiem i przyciskiem: "A głupi! a głupi!  
A głupi wy! na kim się mleło, na was skrupi.  
To póki o wskrzeszeniu Polski była rada,  
O dobru pospolitym, głupi, u was zwada?  
Nie można było, głupi, ani się rozmówić,  
Głupi, ani porządku, ani postanowić  
Wodza nad wami, głupi! a niech no kto podda  
Osobiste urazy, głupi, u was zgoda!  
Precz stąd! bo jakem Maciek, was, do milionów  
Kroćset kroci tysięcy fur beczek furgonów  
Diabłów!!!!.

" Ucichli wszyscy jak rażeni gromem!  
Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem:  
"Wiwat Hrabia!" On wjeżdżał na folwark Maciejów,  
Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów.  
Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju;  
Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,  
Szeroki, bez rękawów, jak wielka opona,  
Spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona;  
Kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę,  
Okręcił się i szpadą powitał gromadę.

"Wiwat Hrabia! krzyknęli, z nim żyć i umierać!"  
Szlachta zaczęła z chaty przez okna wyzierać  
I za Klucznikiem coraz ku drzwiom się napierać;  
Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął,

Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął  
I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: "Głupi!"

A tymczasem się szlachta do Hrabiego kupi;  
Idą w karcznię, Gerwazy wspomniął dawne czasy,  
Kazał sobie trzy podać od kontuszów pasy,  
Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa  
Trzy: jedną miodu, drugą wódki, trzecią piwa.  
Wyjął goździe, wnet z szumem trysnęły trzy strugi,  
Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,  
Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczą,  
A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.  
Wre szlachta, tamci piją, ci Hrabiemu życzą  
Lat setnych, wszyscy: "Hajże na Soplęcę!" krzyczą.  
Jankiel wymknął się milczkiem, oklep; Prusak równie,  
Nie słuchany, choć jeszcze rozprawiał wymownie,  
Chciał zmykać, szlachta w pogoń, wołając, że zdradził.  
Mickiewicz stał z daleka, ni krzyczał, ni radził,  
Ale z miny poznano, że coś złego knuje,  
Więc do kordów, i hajże! On się rejteruje  
Odcina się, już ranny, przyparty do płotów,  
Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów.  
Za czym rozjęto szlachtę, ale w tym rozruchu  
Dwóch było ciętych w ręce, ktoś dostał po uchu.  
Reszta wsiadała na koń.  
-Hrabia i Gerwazy  
Porządkują, rozdają oręże, rozkazy.  
W końcu wszyscy przez długą zaścianku ulicę  
Puścili się w cwał krzycząc: "Hajże na Soplęcę!"

## Księga VIII: Zajazd

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura;  
Kiedy nad głowy ludzi przyleciawszy chmura  
Stanie i grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,  
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,  
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie  
Tej ciszy chwila była w Soplicowskim domie.  
Myśliłbyś, że przecucie nadzwyczajnych zdarzeń  
Ścięło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy i Sędzia, i goście ze dworu  
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru;  
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą;  
Całe grono z posepną i cichą postawą  
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,  
Ścieśniać, i coraz bardziej ku ziemi przybliżać,  
Aż oboje, skrywszy się pod zasłonę ciemną  
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,  
Tłumacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,  
Szeptach, szmerach i słowach na wpół wymówionych,  
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;  
Szepnęły wiotkim skrzydłem niedoperze, lecą  
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;  
Niżej zaś, niedoperzów siostrzyczki, ćmy, rojem  
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem,  
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice  
I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.  
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,  
Kręci się grając jako harmoniki sfera;  
Ucho Zosi rozróżnia śród tysiąca gwarów  
Akord muszek i półton fałszywy komarów.  
W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;  
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty,  
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,  
Już mu z dala wtórują z bagien basem bąki,  
Już bekasy do góry porwawszy się wiją  
I bekając raz po raz jak w bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy  
Odezwały się chorem podwójnym dwa stawy,  
Jako zakłète w górach kaukaskich jeziora,  
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.  
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,  
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;

Drugi staw, z dnem błotnistym i gardzielem mętym,  
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętym;  
W obu stawach piałą żab niezliczone hordy,  
Oba chory zgodzone w dwa wielkie akordy.  
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nuci z cicha,  
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha;  
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,  
Jak grające na przemian dwie arfy Eola.

Mrok gęstniał; tylko w gaju i około rzeczki  
W łożach, błyskały wilcze oczy jako świeczki,  
A dalej, u ścieśnionych widnokregu brzegów,  
Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.  
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,  
Wyszedł z boru i niebo, i ziemię oświecił.  
One teraz, z pomroku odkryte w połowie,  
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie  
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona  
Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona.

Już naprzeciw księżycy gwiazda jedna, druga  
Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.  
Kastor z bratem Polluksem jaśnieli na czele,  
Zwani niegdyś u Słowian Lele i Polele;  
Teraz ich w zodyjaku gminnym znów przechrzczo,  
Jeden zowie się Litwą, a drugi Koroną.

Dalej niebieskiej Wagi dwie szale błyskają;  
Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)  
Ważył z kolei wszystkie planety i ziemię,  
Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię;  
Potem wagi złociste zawiesił na niebie:  
Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na północ świeci okrąg gwiazdzistego Sita,  
Przez które Bóg (jak mówią) przesiał ziarnka żyta,  
Kiedy je z nieba zrucał dla Adama ojca,  
Wygnanego za grzechy z rozkoszy ogrojca.

Nieco wyżej Dawida wóz, gotów do jazdy,  
Długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy.  
Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,  
Że niesłusznie pospólstwo zwie go Dawidowym,  
Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy  
Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwiał w zapasy,  
Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,  
Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zruciał z drogi.

Teraz popsuty między gwiazdami się wala,  
Naprawiać go archanioł Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów  
(A wiadomość tę pono wzięli od rabinów),  
Że ów zodyjakowy Smok długi i gruby,  
Który gwiaździste wije po niebie przeguby,  
Którego mylnie Wężem chrzczą astronomowie,  
Jest nie wężem, lecz rybą, Lewiatan się zowie.  
Przed czasy mieszkał w morzach, ale po potopie  
Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie,  
Tak dla osobliwości jako dla pamiątki,  
Anieli zawiesili jego martwe szczątki.  
Podobnie pleban mirski zawiesił w kościele  
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie gwiazd historyje, które z ksiązek zbadał  
Albo słyszał z podania, Wojski opowiadał;  
Chociaż wieczorem słaby miał wzrok Wojski stary  
I nie mógł w niebie dojrzeć nic przez okulary,  
Lecz na pamięć znał imię i kształt każdej gwiazdy;  
Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.

Dziś mało go słuchano, nie zważano wcale  
Na Sito ni na Smoka, ani też na Szale;  
Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie  
Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie;  
Był to kometa pierwszej wielkości i mocy,  
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy;  
Krwawym okiem z ukosa na rydwan spoziera  
Jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera,  
Warkocz długi w tył rzucił i część nieba trzecią  
Obwinał nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią  
I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową  
Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę biegunową

Z niewymownym przecuciem cały lud litewski  
Poglądał każdej nocy na ten cud niebieski,  
Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków:  
Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,  
Które na pustych polach gromadząc się w kupy  
Ostrzyły dzioby, jakby czekając na trupy.  
Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły  
I jak gdyby śmierć wietrząc, przeraźliwie wyły:  
Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru  
Widzieli, jak przez smętarsz szła dziewczica moru,  
Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,



A w lewym ręku chustką skrwawioną powiewa.

Różne stąd wnioski tworzył stojący przy płocie  
Ciwun, co przyszedł zdawać sprawę o robocie,  
I pisarz prowentowy w szeptach z Ekonomem.

Lecz Podkomorzy siedział na przyzbie przed domem.  
Przerwał rozmowę gości, znać, że głos zabiera;  
Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera  
(Cała z szczerego złota, z brylantów oprawa,  
We środku za szkłem portret króla Stanisława),  
Zadzwoił w nią palcami, zażył i rzekł: "Panie  
Tadeuszu, Waścine o gwiazdach gadanie  
Jest tylko echem tego, co słyszałeś w szkole.  
Ja o cudzie, prostaków poradzić się wolę.  
I ja astronomiji słuchałem dwa lata  
W Wilnie, gdzie Puzynina, mądra i bogata  
Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów  
Na zakupienie różnych szkieł i teleskopów.  
Ksiądz Poczobut, człek sławny, był obserwatorem  
I całej Akademiji naonczas rektorem,  
Przecież w końcu katedrę i teleskop rzucił,  
Do klasztoru, do cichej celi swej powrócił  
I tam umarł przykładnie. Znam się też z Śniadeckim,  
Który jest mądrym bardzo człkiem, chociaż świeckim.  
Owoż astronomowie planetę, kometę,  
Uważają tak, jako mieszczanie karetę;  
Wiedzą, czyli zajeżdża przed króla stolicę,  
Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;  
Lecz kto w niej jechał? po co? co z królem rozmawiał?  
Czy król posła z pokojem, czy z wojną wyprawiał?  
O to ani pytają. Pomnę za mych czasów,  
Gdy Branecki karetą swą ruszył do Jassów  
I za tą niepoczciwą pociągnął karetą  
Ogon Targowiczaków, jak za tą kometą,  
Lud prosty, choć w publiczne nie mieszał się rady,  
Zgadnął zaraz, że ogon ów jest wróżbą zdrady.  
Słysząc, że lud dał imię miotły tej komecie  
I powiada, że ona milion wymiecie".

A na to rzekł z ukłonem Wojski: "Prawda, Jaśnie  
Wielmożny Podkomorzy; przypominam właśnie,  
Co mnie mówiono niegdyś małemu dziecięciu,  
Pamiętam, choć nie miałem wówczas lat dziesięciu,  
Kiedy widziałem w domu naszym nieboszczyka  
Sapiehę, pancernego znaku porucznika,  
Co potem był nadwornym marszałkiem królewskim,

Na koniec umarł wielkim kanclerzem litewskim,  
Miawszy lat sto i dziesięć. Ten, za króla Jana  
Trzeciego, był pod Wiedniem w chorągwi hetmana  
Jabłonowskiego; owoż ów kanclerz powiadał,  
Ze właśnie kiedy na koń król Jan Trzeci wsiadał,  
Gdy nuncyusz papieski żegnał go na drogę,  
A poseł austrijacki całował mu nogę  
Podając strzemię (poseł zwał się Wilczek hrabia),  
Król krzyknął: "Patrzcie, co się na niebie wyrabia!"  
Spójrzą, alic nad głowy suwał się kometa  
Drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa,  
Z wschodu na zachód; potem i ksiądz Bartochowski,  
Składając panegiryk na tryumf krakowski,  
Pod godłem Orientis Fulmen, prawił wiele  
O tym komecie; także czytam o nim w dziele  
Pod tytułem Janina, gdzie jest opisana  
Cała wyprawa króla nieboszczyka Jana  
I wryta chorągiew wielka Mahometa,  
I ów, taki jak dziś go widzimy, kometa".

"Amen, rzekł na to Sędzia; ja wróżbę Waszeci  
Przyjmuję, oby z gwiazdą zjawił się Jan Trzeci!  
Jest na zachodzie wielki dziś bohater; może  
Kometa go przywiedzie do nas, co daj Boże!"

Na to rzekł Wojski głowę pochyliwszy smutnie:  
"Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!  
Niedobrze, iż się zjawił tuż nad Soplicowem  
Może nam grozi jakim nieszczęściem domowem."  
Mieliśmy wczora dosyć rozterku i zwady,  
Tak w czasie polowania, jako i biesiady.  
Rejent kłócił się z rana z panem Asesorem,  
A pan Tadeusz wyzwał Hrabiego wieczorem.  
Pono spór ten ze skóry niedźwiedziej pochodził;  
I gdyby mnie Dobrodziej Sędzia nie przeszkodził,  
Ja bym u stołu obu przeciwników zgodził.  
Bo chciałem opowiedzieć wypadek ciekawy,  
Podobny do zdarzenia wczorajszej wyprawy,  
Co trafił się najpierwszym strzelcom za mych czasów,  
Posłowi Rejtanowi i księciu Denassów.  
Przypadek był takowy:  
"Jenerał Podolskich  
Ziem przejeżdżał z Wołynia do swoich dóbr polskich,  
Czy też, gdy dobrze pomnę, na sejm do Warszawy,-  
Po drodze zwiedzał szlachtę, już to dla zabawy,  
Już dla popularności; wstąpił więc do pana  
Tadeusza, dziś świętej pamięci, Rejtana,

Który był potem naszym nowogrodzkim posłem  
I w którego ja domu od dzieciństwa wzrosłem.  
Owoż Rejtan na przyjazd księcia Jenerała  
Zaprosił gości - liczna szlachta się zebrała,  
Było teatrum (Księżę kochał się w teatrze);  
Fajerwerk dawał Kaszyc, który mieszka w Jatrze,  
Pan Tyzenhauz tancerzy przysłał, a kapele  
Ogiński i pan Sołtan, co mieszka w Zdzięciole.  
Słowem, dawano huczne nad spodziw zabawy  
W domu, a w lasach wielkie robiono obławy.  
Wiadomo zaś Waszmościom jest, że prawie wszyscy,  
Ile ich zapamiętać można, Czartoryscy,  
Choć idą z Jagiellonów krwi, lecz do myślistwa  
Nie są bardzo pochopni, pewno nie z lenistwa,  
Lecz z gustów cudzoziemskich; i księżę Jenerał  
Częściej do ksiązek niżli do psiarni zazierał,  
I do alkówek damskich częściej niż do lasów.

"W świecie Księcia był księżę niemiecki Denassów,  
O którym powiadano, że w Libijskiej ziemi  
Goszcząc, polował niegdyś z królmi murzyńskimi  
I tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwałił,  
Z czego się bardzo księżę ów Denassów chwalił.  
U nas zaś polowano na dziki w tę porę;  
Rejtan zabił ze sztucca ogromną macioreę,  
Z wielkim niebezpieczeństwem, bo z bliska wypalił.  
Każdy z nas trafność strzału wydziwiał i chwalił,  
Tylko Niemiec Denassów obojętnie słuchał  
Pochwał takich, i chodząc pod nos sobie dmuchał:  
Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,  
Biała broń śmiałą rękę; i zaczął szeroko  
Znowu gadać o swojej Libiji i śpisie,  
O swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.  
Markotno to się stało panu Rejtanowi,  
Był człek żywy, uderzył po szabli i mówi:  
Mości Księżę! kto patrzy śmieje, walczy śmieje,  
Warte dziki tygrysów, a spis karabele -  
I zaczynali z Niemcem dyskurs nazbyt żwawy.  
Szczęściem, księżę Jenerał przerwał te rozprawy,  
Godząc ich po francusku: co tam gadał, nie wiem,  
Ale ta zgoda był to popiół nad żarzewiem;  
Bo Rejtan wziął do serca, okazji czekał  
I dobrą sztukę spłatać Niemcowi przyrzekał;  
Tej sztuki ledwie własnym nie przyplacił zdrowiem  
A spłatał ją nazajutrz, jak to wnet opowiem".

Tu Wojski umilknąwszy prawą rękę wznosił

I u Podkomorzego tabakiery prosił;  
Długo zażywa, kończyć powieści nie raczy,  
Jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy.  
Zaczynał wreszcie, kiedy znowu mu przzerwano  
Powieść taką ciekawą, tak pilnie słuchaną!  
Bo do Sędziego nagle ktoś przysłał człowieka,  
Donosząc, że z niezwłocznym interesem czeka.

Sędzia, dając dobranoc, żegnał całe grono:  
Natychmiast się po różnych stronach rozpierchniono,  
Ci spać do domu, tamci w stodole na sianie;  
Sędzia szedł podróżnemu dawać posłuchanie.

Inni już śpią - Tadeusz po sieniach się zwija  
Chodząc jako wartownik około drzwi stryja,  
Bo musi w ważnych rzeczach rady jego szukać  
Dziś jeszcze, nim spać pójdzie; nie śmie do drzwi stukać,  
Sędzia drzwi na klucz zamknął, z kimś tajnie rozmawia;  
Tadeusz końca czeka, a ucha nadstawia.

Słyszy wewnątrz szlochanie; nie trącając klamek  
Ostrożnie dziurką klucza zagląda przez zamek.  
Widzi rzecz dziwną! Sędzia i Robak na ziemi  
Kłęczeli objawszy się i łzami rzewnymi  
Płakali, Robak ręce Sędziego całował,  
Sędzia Księdza za szyję płacząc obejmował,  
Wreszcie po ćwierćgodzinnym przerwaniu rozmowy  
Robak po cichu tymi odezwał się słowy:

"Bracie! Bóg wie, żem dotąd tajemnic dochował,  
Którym z żalu za grzechy w spowiedzi ślubował:  
Że Bogu i Ojczyźnie poświęcony cały,  
Nie służąc pysze, ziemskiej nie szukając chwały,  
Żyłem dotąd i chciałem umrzeć bernardynem,  
Nie wydając nazwiska nie tylko przed gminem,  
Ale nawet przed tobą i przed własnym synem!  
Wszakże ksiądz prowincyjał dał mi pozwolenie  
In articulo mortis zrobić objawienie.  
Kto wie, czy wrócę żywy! kto wie, co się stanie  
W Dobrzynie! Bracie! wielkie, wielkie zamieszanie!  
Francuz jeszcze daleko, nim przeminie zima,  
Trzeba czekać, a szlachta pono nie dotrzyma.  
Możem zanadto czynnie z powstaniem się krzątał!  
Pono źle zrozumieli! Klucznik wszystko splątał!  
Ten wariat Hrabia! słyszę, pobiegł do Dobrzyna,  
Nie mogłem go uprzedzić, ważna w tym przyczyna:  
Stary Maciek mnie poznał, a jeśli odkryje,

Potrzeba będzie oddać pod Scyzoryk szyję.  
Nic Klucznika nie wstrzyma! mniejsza o mą głowę,  
Lecz tym odkryciem spisku zerwałbym osnowę.

"Przecież dziś tam być muszę! widzieć, co się dzieje,  
Choćbym zginął; beze mnie szlachta oszaleje!  
Bądź zdrow, najmilszy bracie! bądź zdrow, śpieszyć muszę.  
Jeśli zginę, ty jeden westchniesz za mą duszę;  
W przypadku wojny, tobie cała tajemnica  
Wiadoma, kończ com zaczął, pomnij, żeś Soplica!"

Tu Ksiądz łyzy otarł, habit zapiął, kaptur włożył  
I okienicę tylną po cichu otworzył,  
Widać było, że oknem do ogrodu skakał;  
Sędzia, zostawszy jeden, siadł w krześle i płakał.

Chwilę czekał Tadeusz, nim w kłamkę zadzwonił;  
Otworzono mu, cicho wszedł, nisko się skłonił:  
"Stryjaszku Dobrodzieju, rzekł, ledwie dni kilka  
Przebawiłem tu, dni te minęły jak chwilka;  
Nie miałem czasu z twoim domem się nacieszyć  
I z tobą, a odjeżdżać muszę, muszę śpieszyć  
Zaraz, dzisiaj, Stryjaszku, a jutro najdalej:  
Wszak pamiętacie, żeśmy Hrabiego wyzwali.  
Bić się z nim to rzecz moja, posłałem wyzwanie,  
W Litwie jest zakazane pojedynkowanie,  
Jadę więc na granicę Warszawskiego Księstwa;  
Hrabia, prawda, fanfaron, lecz mu nie brak męstwa,  
Na miejsce naznaczone zapewne się stawi,  
Rozprawim się; a jeśli Bóg pobłogosławi,  
Ukarzę go, a potem za Łososny brzegi  
Przepłynę, gdzie mnie bratnie czekają szeregi.  
Słyszałem, że mi ojciec testamentem kazał  
Służyć w wojsku, a nie wiem, kto testament zmazał".

"Mój Tadeuszu, rzekł stryj, czy Waszeć kąpany  
W gorącej wodzie, czy też kręcisz jak lis szczwany,  
Co indziej kitą wije, a sam indziej bieży?  
Wyzwaliśmy, zapewne, i bić się należy.  
Ale jechać dziś, skądżeś Waszeć tak się zaciął?  
Przed pojedynkiem zwyczaj jest posłać przyjaciół,  
Układać się, wszak Hrabia może nas przeprosić,  
Deprekować; czekaj Waśc, czasu jeszcze dosyć.  
Chyba inny giez jaki Waści stąd wygania,  
To gadaj szczerze, po co takie omawiania.  
Jestem twój stryj; choć stary, znam, co serce młode,  
Byłem ci ojcem (mówiąc gładził go pod brodę),

Już w ucho szepnął o tym mnie mój palec mały,  
Ze Waszeć masz tu jakieś z damami kabały.  
Za katy, prędko teraz młodź do dam się bierze!  
No, Tadeuszk, przyznaj mi się Waść, a szczerze".

"Jużci, bąkał Tadeusz, prawda, są przyczyny  
Inne, kochany Stryju! może z mojej winy!  
Omyłka! cóż? nieszczęście! już trudno naprawić!  
Nie, drogi Stryju, dłużej nie mogę tu bawić.  
Błąd młodości! Stryjaszku, nie pytaj o więcej,  
Ja muszę z Soplicowa wyjeżdżać co prędzej".  
"Ho! rzekł stryj, pewnie jakieś miłosne zatargi!  
Uważałem, że Waszeć wczora gryzłeś wargi  
Poglądając spode łba na pewną dziewczynkę,  
Widziałem, że i ona miała kwaśną minkę.  
Znam ja te wszystkie głupstwa; kiedy dzieci para  
Kocha się, to tam u nich nieszczęść co niemiara!  
To cieszą się, to znowu trapią się i smucą;  
To znowu, Bóg wie o co, do zębów się skłóca;  
To stojąc w kątkach jakby mruki, nie gadają  
Do siebie, czasem nawet w pole uciekają.  
Jeżeli na was raptus podobny napada,  
Bądźcie tylko cierpliwi, już jest na to rada;  
Biorę na siebie wkrótce przywieść was do zgody.  
Znam ja te wszystkie głupstwa, wszakże byłem młody  
Powiedz mi Wasze wszystko; ja może nawzajem  
Coś odkryję, i tak się oba poprzyznajem".

"Stryjaszku, rzekł Tadeusz (całując mu rękę  
I rumieniąc się), powiem prawdę; tę panienkę,  
Zosię, wychowanicę Stryja, podobałem  
Bardzo, choć tylko parę razy ją widziałem;  
A mówią, że Stryj dla mnie za żonę przeznaczą  
Podkomorzanekę, piękną i córkę bogacza.  
Teraz nie mogłbym z panną Różą się ożenić,  
Kiedy kocham tę Zosię; trudno serce zmienić!  
Nieuczciwie, żeniąc się z jedną, kochać drugą,  
Czas może mnie uleczy; wyjadę - na długo".

"Tadeuszk! stryj przerwał; to mi dziwny sposób  
Kochania się - uciekać od kochanych osób.  
Dobrze, żeś szczerzy; widzisz, głupstwo byś wypłatał  
Odjeżdżając: a co Waść powiesz, gdybym swatał  
Sam Waci Zosię? He? cóż, nie skoczysz z radości?"  
Tadeusz rzekł po chwili: "Dobroć Jegomości  
Dziwi mnie! lecz cóż? łaska Stryja Dobrodzieja  
Nie przyda się już na nic! Ach! próżna nadzieja!

Bo pani Telimena! nie odda mi Zosi!"  
"Będziem prosić" rzekł Sędzia.  
"Nikt jej nie uprosi,  
Przerwał prędko Tadeusz, - nie, czekać nie mogę,  
Stryjaszku, muszę prędko, jutro jechać w drogę,  
Daj mi, tryjaszku, tylko twe błogosławieństwo,  
Wszystko przygotowałem, jadę zaraz w Księżstwo".

Sędzia, wąż kręcąc, z gniewem na chłopca spojierał  
"To Waść tak szczery? takeś mi serce otwierał?  
Naprzód ów pojedynek! potem znowu miłość,  
I ten wyjazd, oj, jest tu w tym jakaś zawiałość.  
Już mnie gadano, jużem kroki Waści badał!  
Asan bałamut i trzpiot, Asan kłamstwa gadał.  
A gdzież to Asan chodził onegdaj wieczorem,  
Czego Asan jak wyżeł tropił pode dworem?  
O Tadeuszk! jeśli może Asan Zosię  
Zbałamucił i teraz uciekasz? młokosie,  
To się Waci nie uda; lubisz czy nie lubisz,  
Zapowiadam Asanu, że Zosię poślubisz.  
A nie, to bizun - jutro staniesz na kobiercu.  
I gada mnie o czuciach! o niezmiennym sercu!  
Łgarz jesteś! pfe! ja z Waści, Panie Tadeuszu,  
Zrobię śledztwo, ja Waści jeszcze natrę uszu!  
Dziś dość miałem kłopotów! aż mi głowa boli!  
Ten mi jeszcze spokojnie zasnąć nie dozwoli!  
Idź mi Waść spać!" To mówiąc drzwi na wściąg otwierał  
I zawołał Woźnego, żeby go rozbierał.  
Tadeusz cicho wyszedł opuściwszy głowę,  
Rozbierał w myśli przykrą ze stryjem rozmowę,  
Pierwszy raz połajany tak ostro!... ocenił  
Słuszność wyrzutów, sam się przed sobą rumienił.  
Co począć? jeśli Zosia o wszystkim się dowie?  
Prosić o rękę? a cóż Telimena powie?  
Nie, - czuł, że nie mógł dłużej zostać w Soplicowie.

Tak zadumany ledwie zrobił kroków parę,  
Gdy mu coś drogę zaszło; spójrzał, widzi marę,  
Całą w bieliźnie, długą, wysmukłą i cieką,  
Suwała się ku niemu z wyciągniętą ręką,  
Od której odbijał się drżący blask miesięczny,  
I przystąpiwszy, cicho jęknęła: "Niewdzięczny!  
Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz,  
Szukałeś rozmów ze mną, dziś uszy zamykasz,  
Jakby w słowach, we wzroku mym była trucizna!  
Dobrze mi tak, wiedziałam, kto jesteś! - mężczyzna!  
Nie znając kokieterii nie chciałam cię dręczyć,

Uszcześliwiłam; takżeś umiał mnie zawdzięczyć!  
Tryumf nad miękkim sercem serce twe zatwardził,  
Żeś je zdobył zbyt łatwo, zbyt prędko nim wzgardził!  
Dobrze mi tak! lecz straszną nauczona próbą,  
Wierz mi, iż więcej niż ty gardzę sama sobą!"

"Telimeno, Tadeusz rzekł, dalbóg, nietwarde  
Mam serce, ani ciebie unikam przez wzgardę,  
Ale uważ no sama, wszak nas widzą, śledzą,  
Czyż można tak otwarcie? cóż ludzie powiedzą?  
Wszak to nieprzyzwoicie, to, dalbóg, jest grzechem".  
"Grzechem! odpowiedziała mu z gorzkim uśmiechem  
Niewiniątko! baranek! Ja, będąc kobietą,  
Jeśli z miłości nie dbam, choćby mię odkryto,  
Choćby mię osławiono; a ty! ty mężczyzna?  
Cóż szkodzi z was któremu, chociaż się i przyzna,  
Że ma romans, z dziesięciu razem kochankami?  
Mów prawdę: chcesz mnie rzucić!". - Zalała się łzami.  
"Telimeno, cóż by świat mówił o człowieku,  
Rzekł Tadeusz, który by teraz, w moim wieku,  
Zdrów, żył na wsi, kochał się - kiedy tyle młodzi,  
Tylu żonatych od żon, od dzieci uchodzi  
Za granicę, pod znaki narodowe bieży?  
Choćbym chciał zostać, czy to ode mnie zależy?  
Ojciec mnie testamentem kazał, abym służył  
W wojsku polskim, teraz stryj ten rozkaz powtórzył:  
Jutro jadę, zrobiłem już postanowienie,  
I dalbóg, Telimeno, już go nie odmienię".  
"Ja, rzekła Telimena, nie chcę ci zagradzać  
Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszkadzać!  
Jesteś mężczyzną, znajdziesz kochankę godniejszą  
Serca twojego, znajdziesz bogatszą, piękniejszą!  
Tylko dla mej pociechy, niech wiem przed rozstaniem,  
Że twoja skłonność była prawdziwym kochaniem,  
Że to nie był żart tylko, nie rozpusta płocha,  
Lecz miłość; niech wiem, że mnie mój Tadeusz kocha!  
Niech słowo kocham jeszcze raz z ust twych usłyszę,  
Niech je w sercu wyryję i w myśli zapiszę;  
Przebaczę łacniej, chociaż przestaniesz mnie kochać,  
Pomnąc, jakieś mnie kochał!" - I zaczęła szlochać.-

Tadeusz widząc, że tak płacze i tak błaga  
Czule, i tylko takiej drobnostki wymaga,  
Wzruszył się, przejęły go szczery żal i litość,  
I jeźliby badał serca swego skrytość,  
Może by się w tej chwili i sam nie dowiedział,  
Czyli ją kochał, czy nie. - Więc żywo powiedział:



"Telimeno, bogdaj mnie jasny piorun ubił,  
Jeśli nieprawda, żem cię, dalbóg, bardzo lubił,  
Czy kochał; krótkie z sobą spędziliśmy chwile,  
Ale one mnie przeszły tak słodko, tak mile,  
Że będą długo, zawsze myśli mej przytomne  
I, dalibógże, nigdy ciebie nie zapomnę".

Telimena skoczywszy padła mu na szyję:  
"Tegom się spodziewała, kochasz mię, więc żyję!  
Bo dzisiaj miałam dni me własną ręką skrócić;  
Gdy mnie kochasz, mój drogi, czyż możesz mnie rzucić?  
Tobie oddałam serce, oddam ci majątek,  
Pójdę za tobą wszędzie; każdy świata kątek  
Będzie mnie z tobą miły! z najdzikszej pustyni  
Miłość, wierzaj mi, ogród rozkoszy uczyni".

Tadeusz, wydarłszy się z objęcia przemocą:  
"Jak to? rzekł, czyś z rozumu obrana? gdzie? po co?  
Jechać za mną? Ja, będąc sam prostym żołnierzem,  
Włóczyć, czy markietankę?" - "To my się pobierzem"  
Rzekła mu Telimena. - "Nie, nigdy! zawoła  
Tadeusz, ja żenić się nie mam teraz zgoła  
Zamiaru, ni kochać się - fraszki! dajmy pokój!  
Proszę cię, moja droga, rozmyśl się! uspokój!  
Ja jestem tobie wdzięczna, ale niepodobna  
Żenić się, kochajmy się, ale tak - z osobna.  
Zostać dłużej nie mogę; nie, nie, jechać muszę,  
Bądź zdrowa, Telimeno moja, jutro ruszę".

Rzekł, nasuwał kapelusz, odwracał się bokiem  
Chcąc iść; lecz go wstrzymała Telimena okiem  
I twarzą, jak Meduzy głową; musiał zostać  
Mimowolnie; poglądał z trwogą na jej postać,  
Stała blada, bez ruchu, bez tchu i bez życia!  
Aż wyciągając rękę jak miecz do przebiccia,  
Z palcem zmierzonym prosto w Tadeusza oczy:  
"Tego chciałam, krzyknęła, ha, języku smoczy!  
Serce jaszczurze! To nic, żem tobą zajęta  
Wzgardziła Asesora, Hrabie i Rejenta,  
Żeś mnie uwiódł i teraz porzucasz sierotę,  
To nic! jesteś mężczyzną, znam waszą niecnotę,  
Wiem, że jak inni, tak ty mógłbyś wiarę złamać,  
Lecz nie wiedziałam, że tak podle umiesz kłamać!  
Słuchałam pode drzwiami stryja! więc to dziecko?  
Zosia wpadła ci w oko? i na nią zdradziecko  
Dybiesz! Zaledwieś jedną nieszczęsną oszukał,  
A jużes pod jej bokiem nowych ofiar szukał!

Uciekaj, lecz cię moje dościgną przeklęstwa -  
Lub zostań, wydam światu twoje bezeceństwa;  
Twe sztuki już nie zwiodą innych, jak mnie zwiodły!  
Precz! gardzę tobą! jesteś kłamca, człowiek podły!"

Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica,  
I której żaden nigdy nie słyszał Soplica,  
Zadrżał Tadeusz, twarz mu pobladła jak trupia,  
Tupnąwszy nogą, usta przyciąwszy, rzekł: "Głupia"

Odszedł; lecz wyraz "podłość" echem się powtórzył  
W sercu, wdrygnął się młodzian, czuł, że nań zasłużył,  
Czuł, że wyrządził wielką krzywdę Telimienie,  
Że go słusznie skarżyła, mówiło sumnienie;  
Lecz czuł, że po tych skargach tym mocniej ją zbrzydził;  
O Zosi, ach! pomyśleć nie ważył się, wstydził.  
Przecież ta Zosia, taka piękna, taka miła!  
Stryj swatał ją! może by jego żoną była!  
Gdyby nie szatan, co go płacząc w grzech za grzechem,  
W kłamstwo za kłamstwem, wreszcie odstąpił z uśmiechem  
Złajany, pogardzony od wszystkich! w dni parę  
Zmarnował przyszłość! Uczuł słuszną zbrodni karę.

W tej burzy uczuć, jakby kotwica spoczynku,  
Zabłysnęła mu nagle myśl o pojedynku;  
"Zamordować Hrabiego! lotra! krzyknął w gniewie,  
Zginać albo zemścić się!" A za co? sam nie wie!  
I ten gniew wielki, jak się zajął w mgnieniu oka,  
Tak wywietrzył; znow zdjęła go żałość głęboka.  
Myślił: jeśli prawdziwe było postrzeżenie,  
Że Hrabia z Zosią jakieś ma porozumienie,  
I cóż stąd? może Hrabia kocha Zosię szczerze,  
Może go ona kocha? za męża wybierze!  
Jakimże prawem chciałbym zerwać to zamęście  
I, sam nieszczęśnik, wszystkich mam zaburzać szczęście?

Wpadł w rozpacz i nie widział innego sposobu,  
Chyba ucieczkę prędką; gdzie? chyba do grobu!

Więc kułak przycisnąwszy na schylonym czole,  
Biegł ku łąkom, gdzie stawy błyszcząły się w dole,  
I stanął nad błotnistym; w zielonawe tonie  
Łakomy wzrok utopił i błotniste wonie  
Z rozkoszą ciągnął piersią, i otworzył usta  
Ku nim; bo samobójstwo jak każda rozpusta  
Jest wymyślną; on w głowy szalonym zawrocie  
Czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie.

Lecz Telimena z dzikiej młodzieńca postawy  
Zgadując rozpacz, widząc, że pobiegł nad stawy,  
Chociaż ku niemu takim słusznym gniewem pała,  
Przeleżała się; w istocie dobre serce miała.  
Żał jej było, że inną śmiał Tadeusz lubić,  
Chciała go skarać, ale nie myślała zgubić;  
Więc puściła się za nim, wznosząc ręce obie,  
Krzyżąc: "Stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się sobie  
Czy jedź! tylko stój!" - Ale on już szybkim biegiem  
Wyprzedził ją daleko; już - stanął nad brzegiem!

Dziwnym zrządzeniem losów, po tym samym brzegu  
Jechał Hrabia, na czele dżokejów szeregu,  
A zachwycony wdziękiem nocy tak pogodnej  
I harmoniją cudną orkiestry podwodnej,  
Owych chorów, co brzmiały jak arfy eolskie  
(Żadne zaby nie grają tak pięknie jak polskie),  
Wstrzymał konia i o swej zapomniał wyprawie,  
Zwrócił ucho do stawu i słuchał ciekawie.  
Oczy wodził po polach, po niebios obszarze  
Pewnie układał w myśli nocne pejzaże.

Zaiste, okolica była malownicza!  
Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza  
Jako para kochanków; prawy staw miał wody  
Gładkie i czyste jako dziewicze jagody;  
Lewy ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana  
Smagława, i już męskim puchem osypana.  
Prawy złocistym piaskiem połyskał się wkoło  
Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło  
Najeżone łożami, wierzbami czubate;  
Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi, jak ręce związane pospołu,  
Ściskają się; strug dalej upada do dołu;  
Upada, lecz nie ginie, bo w rowu ciemnotę  
Unosi na swych falach księżycyca po złotę;  
Woda warstami spada, a na każdej warście  
Połyskają się blasku miesięcznego garście,  
Światło w rowie na drobne drzazgi się roztrąca,  
Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,  
A z góry znów garściami spada blask miesiąca.  
Myślałbyś, że u stawu siedzi Świtezianka,  
Jedną ręką zdrój leje z bezdennego dzbanka,  
A drugą ręką w wodę dla zabawki miota  
Brane z fartuszka garście zaklętego złota.

Dalej, z rowu wybiegłszy, strumień na równinie  
Rozkręca się, ucisza, lecz widać, że płynie,  
Bo na jego ruchomej, drgającej powłóce  
Wzdłuż miesięczne światelko drgające migoce.  
Jako piękny wąż żmudzki, zwany giwojtosem,  
Chociaż zdaje się drzemać leżąc między wrzosem,  
Pełźnie, bo na przemiany srebrzy się i złoci,  
Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:  
Tak strumień kręcący się chował się w olszynach,  
Które na widnokręgu czerniały kończynach,  
Wznosząc swe kształty lekkie, niewyraźne oku,  
Jak duchy na wpół widne, na poły w obłoku.

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi;  
Jako stary opiekun, co kochanków śledzi,  
Podśluchał ich rozmowę, gniewa się, szamoce,  
Trzęsie głową, rękami, i groźby bełkoce:  
Tak ów młyn nagle zatrzęsł mchem obrosłe czoło  
I palczastą swą pięścią wykręcając wkoło,  
Ledwo kleknął i szczęki zębawate ruszył,  
Zaraz miłośną stawów rozmowę zagłuszył  
I zbudził Hrabie.  
Hrabia widząc, że tak blisko  
Tadeusz naszedł jego zbrojne stanowisko,  
Krzyczy: "Do broni! łapaj!" Skoczyli dżokeje;  
Nim Tadeusz rozeznać mógł, co się z nim dzieje,  
Już go chwycili; biegą do dworu, w podwórze  
Wpadają; dwór budzi się, psy w hałas, w krzyk stróże  
Wyskoczył wpół ubrany Sędzia; widzi zgraję  
Zbrojną, myśli, że zbójcy, aż Hrabie poznaje.  
"Co to jest?" pyta. Hrabia szpadą nad nim mignął,

Lecz widząc bezbronnego w zapale ostygnał.  
"Soplico! rzekł, odwieczny wrogu mej rodziny,  
Dziś skarzę cię za dawne i za świeże winy,  
Dziś zdasz mi sprawę z mojej fortuny zaboru,  
Nim pomszczę się obelgi mojego honoru!"  
Lecz Sędzia żegnając się krzyknął: "W imię Ojca  
I Syna! tfu! Mospanie Hrabia, czy Waśc zbojca?  
Przebóg! czy to się zgadza z Pana urodzeniem  
Wychowaniem i z Pana na świecie znaczeniem?  
Nie pozwolę skrzywdzić się!" - Wtem Sędziego słudzy  
Biegli, jedni z kijami, ze strzelbami drudzy;  
Wojski stojąc z daleka poglądał ciekawie  
W oczy panu Hrabiemu, a nóż miał w rękawie.

Już mieli zacząć bitwę, lecz Sędzia przeszkodził;  
Próżno było bronić się, nowy wróg nadchodził:  
Postrzeżono w olszynie blask, wystrzał rusznicy!  
Most na rzece zahuczał tętentem konnicy  
I "Hajże na Soplicę!" tysiąc głosów wrzasło:  
Wzdrygnął się Sędzia, poznał Gerwazego hasło;  
"Nic to, zawołał Hrabia, będzie tu nas więcej,  
Poddaj się, Sędzio, to są moi sprzymierzeńcy".  
Wtem Asesor nadbiegał krzycząc: "Areszt kładę  
W imię Imperatorskiej Mości; oddaj szpadę,  
Panie Hrabio, bo wezwę wojskowej pomocy!  
A wiesz Pan, że kto zbrojnie śmie napadać w nocy,  
Zastrzeżono tysiącnym dwóchsetnym ukazem,  
Że jak zło..." Wtem go Hrabia w twarz uderzył płazem  
Padł zgłuszony Asesor i skrył się w pokrzywy;  
Wszyscy myśleli, że był ranny lub nieżywy.

"Widzę, rzekł Sędzia, że się na rozbój zanosi".  
Jęknęli wszyscy; wszystkich zagłuszył wrzask Zosi,  
Która krzyczała, Sędzię objawszy rękami,  
Jako dziecko od Żydów klute igielkami.

Tymczasem Telimena wpadła między konie,  
Wyciągnęła ku Hrabii załamane dłonie:  
"Na twój honor!" krzyknęła przeraźliwym głosem,  
Z głową w tył wychyloną, z rozpuszczonym włosiem,  
"Przez wszystko, co jest świętym, na klęczkach błagamy  
Hrabio, śmiesz odmówić? proszą ciebie damy;  
Okrutniku, nas pierwszej musisz zamordować!"  
Padła zemdlona. - Hrabia skoczył ją ratować,  
Zadziwiony i nieco zmieszany tą sceną.  
"Panno Zofijo, rzecze, Pani Telimeno!  
Nigdy się krwią bezbronnych ta szpada nie splami;  
Soplicowie! jesteście moimi więźniami.  
Tak zrobiłem we Włoszech, kiedy pod opoką,  
Którą Sycyljanie zwą Birbante-rokka,  
Zdobyłem tabor zbójców; zbrojnych mordowałem,  
Rozbrojonych zabrałem i zwięzać kazałem:  
Szli za końmi i tryumf mój zdobyli świetny,  
Potem ich powieszono u podnoża Etny".  
Było to osobliwe szczęście dla Sopliców,  
Że Hrabia, mając lepsze konie od szlachciców  
I chcąc spotkać się pierwszy, zostawił ich w tyle  
I biegł przed resztą jazdy, przynajmniej o miłę,  
Ze swym dżokejstwem, które, posłuszne i karne,  
Stanowiło niejako wojsko regularne;  
Gdy inna szlachta była, zwyczajem powstania,

Burzliwa i nieźmiernie skora do wieszania.

Hrabia miał czas ostygnąć z zapału i gniewu,  
Przemyślał, jak by skończyć bój bez krwi rozlewu;  
Więc rodzinę Sopliców w domu zamknąć każe  
Jako więźniów wojennych; u drzwi stawia strażę.

Wtem "Hajże na Sopliców!" wpada szlachta hurmem,  
Obstępuje dwór wkoło i bierze go szturmem,  
Tym łacniej, że wódz wzięty i pierzchła załoga;  
Lecz zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga.  
Do domu nie wpuszczeni, biegną do folwarku,  
Do kuchni. - Gdy do kuchni weszli, widok garków,  
Ogień ledwie zagasły, potraw zapach świeży,  
Chrupanie psów gryzących ostatki wieczerzy,  
Chwyta wszystkich za serca, myśl wszystkich odmienia,  
Studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia.  
Marszem i całodziennym znużeni sejmikiem,  
"Jeść! jeść!" - po trzykroć zgodnym wezwali okrzykiem  
Odpowiedziano: "Pić! pić!" Między szlachty zgrają  
Stają dwa chory: ci pić, a ci jeść wołają;  
Odgłos leci echami, gdzie tylko dochodzi,  
Wzbudza oskome w ustach, głód w żołądkach rodzi.  
I tak na dane z kuchni hasło, niespodzianie  
Rozeszła się armija na furażowanie.  
Gerwazy, od pokojów Sędziego odparty,  
Ustąpić musiał przez wzgląd dla hrabiowskiej warty.  
Więc nie mogąc zemścić się na nieprzyjacielu,  
Myślił o drugim wielkim tej wyprawy celu.  
Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,  
Chce Hrabiego osadzić na nowym dziedzictwie  
Legalnie i formalnie; więc za Woźnym biega,  
Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzega,  
Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze  
I zmierzwszy mu w piersi Scyzoryk, tak rzecze:  
"Panie Woźny, pan Hrabia śmie Waćpana prosić,  
Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić  
Intromisyją Hrabi do zamku, do dworu  
Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,  
Słowem cum gais, boris et graniciebus,  
Kmetonibus, scultetis et omnibus rebus  
Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz, tak szczekaj,  
Nic nie opuszczaj!" - "Panie Kluczniku, zaczekaj,  
Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy Protazy,  
Gotów jestem wypełniać wszelkie stron rozkazy,  
Ale ostrzegam, że akt nie będzie miał mocy,  
Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy".

"Co za gwałty, rzekł Klucznik, tu nie ma napaści,  
Wszak proszę Pana grzecznie; jeśli ciemno Waści,  
To Scyzorykiem skrzęsam ognia, że Waszeci  
Zaraz w ślepiach jak w siedmiu kościołach zaświeci".

"Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać?  
Jestem woźny, nie moja rzecz sprawę roztrząsać;  
Wszak wiadomo, że strona woźnego zaprasza  
I dyktuje mu co chce, a woźny ogłasza.  
Woźny jest posłem prawa, a posłów nie karzą,  
Nie wiem tedy, za co mnie trzymacie pod strażą;  
Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie,  
A tymczasem ogłaszam: Bracia, uciszcie się!"

I by donośniej mówić, wstąpił na stos wielki  
Belek (pod płotem sadu suszyły się belki),  
Wlaził na nie, i zarazem jakby go wiatr zdmuchnął,  
Zniknął z oczu; słyszano, jak w kapustę buchnął;  
Widziano, po konopiach ciemnych jego biała  
Konfederatka niby gołąb przeleciała.  
Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu;  
Wtem zatrzeszczały tyki, już Protazy w chmielu,  
"Protestuję!" zawołał; pewny był ucieczki,  
Bo za sobą miał łożę i bagniska rzeczki.

Po tej protestacyi, która się ozwała  
Jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa,  
Ustał już wszelki opór w Soplicowskim dworze;  
Szlachta głodna plądruje, zabiera co może.  
Kropiciel, stanowisko zajmwszy w oborze,  
Jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił,  
A Brzytewka im szablę w gardzielach utopił,  
Szydełko równie czynnie używał swej szpadki,  
Kabany i prosięta kołąc pod łopatki.  
Już rzeź zagraża ptastwu, - czujne gęsi stado,  
Co niegdyś ocaliło Rzym przed Galów zdradą,  
Darmo gęga o pomoc; zamiast Manlijusza  
Wpada w kotuch Konewka, jedne ptaki zdusza,  
A drugie żywcem wiąże do pasa kontusza.  
Próżno gęsi szyjami wywijając chrypią,  
Próżno gęsiory sycząc napastnika szczypią.  
On bieży; osypany iskrzącym się puchem,  
Unoszony jak kółmi gęsich skrzydeł ruchem,  
Zdaje się być chochlikiem, skrzydlatym złym duchem.  
Ale rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniej krzyku,  
Między kurami. Młody Sak wpadł do kurniku  
I z długiego biczyska porobiwszy petle,

Drzemiące ptastwo śledzi przy latarki świetle,  
I z drabinek, stryczkami łowiąc, ciągnie z góry  
Kogutki i szurpate, i czubate kury,  
Jedne po drugich dusi i składa do kupy,  
Ptastwo piękne, karmione perłowymi krupy.  
Niebaczny Saku, jakież zapał cię unosi!  
Nigdy już odtąd gniewnej nie przebłagasz Zosi.

Gerwazy przypomina starodawne czasy:  
Każe sobie podawać od kontuszów pasy  
I nimi z Soplicowskiej piwnicy dobywa  
Beczki starej siwuchy, dębniaku i piwa.  
Jedne wnet odgwożdżono, a drugie ochoczo  
Szlachta, gęsta jak mrowie, porywają, toczą  
Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera,  
Tam założona główna Hrabiego kwatery.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,  
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;  
Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.-  
Lecz powoli zaczęli drzemać i poziewać,  
Oko gaśnie za oknem, i cała gromada  
Kiwa głowami, każdy, gdzie siedział, tam pada:  
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci.  
Tak zwycięzców zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.



## Księga IX: Bitwa

A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi  
Blask latarek i wniście kilkudziesiąt ludzi,  
Którzy wpadli na szlachtę, jak pająki ścienne  
Nazwane kosarzami na muchy wpółsenne;  
Zaledwie która bzyknie, już długimi nogi  
Obejmuje ją wkoło i dusi mistrz srogi.  
Sen szlachecki był jeszcze twardszy niż sen muszy:  
Żaden nie bzyka, leżą wszyscy jak bez duszy,  
Chociaż byli chwytani silnymi rękoma  
I przewracani jako na przewiąsłach słoma.

Tylko jeden Konewka, któremu w powiecie  
Nie znajdziesz równie mocnej głowy przy bankiecie,  
Konewka, co mógł wypić lipcu dwa antały,  
Nim mu splątał się język i nogi zachwiały,  
Ten, choć długo ucztował i usnął głęboko,  
Dawał przecie znak życia; przemknął jedno oko  
I widzi! istne zmory! dwie okropne twarze  
Tuż nad sobą, a każda ma wąsów po parze,  
Dyszają nad nim, ust jego tykają wąsami  
I czworgiem rąk wokoło wiją jak skrzydłami;  
Zląkł się, chciał przeżegnać się, darmo rękę chwyta,  
Ręka prawa jak gdyby do boku przybita;  
Ruszył lewą, niestety! czuje, że go duchy  
Spowiły ciasno jako niemowlę w pieluchy;  
Zląkł się jeszcze okropniej, wnet oko zawiera  
Leży nie dysząc, stygnie, ledwie nie umiera.

Lecz Kropiciel zerwał się bronić się, po czasie!  
Bo już był skępowany we swym własnym pasie;  
Przecież zwinął się i tak sprężyste podskoczył,  
Że padł na piersi sennych, po głowach się toczył,  
Miotał się jako szczupak, gdy się w piasku rzuca,  
A ryczał jako niedźwiedź, bo miał silne płuca.  
Ryczał: "Zdrada!" - Wnet cała zbudzona gromada  
Chorem odpowiedziała: "Zdrada! gwałtu! zdrada!"

Krzyk dochodzi ehami zwierciadlanej sali,  
Kędy Hrabia, Gerwazy i dżokeje spali;  
Przebudza się Gerwazy, darmo się wydziera,  
Związany w kij do swego własnego rapiera:  
Patrzy, widzi przy oknie ludzi uzbrojonych,  
W czarnych krótkich kaszkietach, w mundurach zielonych,  
Jeden z nich opasany szarfą, trzymał szpadę  
I ostrzem jej kierował swych drabów gromadę

Szepcąc: "Wiąż! wiąż!" Dokoła leżą jak barany  
Dżokeje w pętach, Hrabia siedzi nie związany,  
Lecz bezbronny; przy nim dwaj z gołymi bagnety  
Stoją drabi - poznał ich Gerwazy, niestety!  
Moskale!!!

Nieraz Klucznik był w podobnych trwogach,  
Nieraz miewał powrozy na rękę i nogach,  
A przecież się uwalniał; wiedział o sposobie  
Rwania więzów, był silny bardzo, ufał sobie.  
Przemyślał ratować się milczkiem; oczy zmrużył,  
Niby śpi, z wolna ręce i nogi przedłużył,  
Dech wciągnął, brzuch i piersi ścisnął co najwężej;  
Aż jednym razem kurczy, wydyma się, pręży,  
Jak wąż, głowę i ogon gdy chowa w przeguby,  
Tak Gerwazy z długiego stał się krótki, gruby;  
Rozciągnęły się, nawet skrzypnęły powrozy,  
Ale nie pękły! Klucznik ze wstydu i zgrozy  
Przewrócił się i w ziemię schowawszy twarz gniewną,  
Zamknawszy oczy, leżał nieczuły jak drewno.

Wtem ozwały się bębny, naprzód z rzadka, potem  
Coraz gęstszym i coraz głośniejszym łoskotem;  
Na ten apel rozkazał oficer Moskali  
Dżokejów z Hrabią zamknąć pod strażą na sali,  
Szlachtę wieść na dwór, kędy stała druga rota.  
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Sztab stał we dworze, a z nim zbrojnej szlachty wiele:  
Podhajscy, Birbaszowie, Hreczechy, Biergele,  
Wszyscy Sędziego krewni albo przyjaciele.  
Na odsiecz mu przybiegli słysząc o napadzie,  
Zwłaszcza że z Dobrzyńskimi byli z dawna w zwadzie.

Kto z wiosek batalijon Moskałów sprowadził?  
Kto tak prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził?  
Asesor-li, czy Jankiel? różnie słyhać o tem,  
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem.  
Już też i słońce wschodzi, krwawo się czerwieni,

Brzegiem tępym, jak gdyby odartym z promieni,  
Na wpół widne, na poły w czerni chmur się chowa,  
Jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa.  
Wiatr wzmagał się i pędził obłoki ze wschodu,  
Gęste i poszarpane jako bryły lodu;  
Każdy obłok w przelocie deszczem zimnym prószy,  
Z tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy,  
Za wiatrem znowu obłok nadbiega wilgotny:

I tak dzień na przemiany był chłodny i słotny.

Tymczasem Major belki schnące pode dworem  
Każe wlec, w każdej belce wysiekać toporem  
Półokrągłe otwory, w te otwory wtyka  
Nogi więźniów i drugą belką je zamyka.  
Oba drewna goździami przebite po rogach  
Ścisnęły się, jako psie paszczęki, na nogach.  
Zaś powrozami mocniej sznurowano ręce  
Na plecach szlachty; Major, ku większej ich męce,  
Kazał pierwiej poździerać z głów konfederatki,  
Z pleców płaszcz, kontusze, nawet taratki,  
Nawet żupany. I tak szlachta, skuta w kłodzie,  
Siedziała rzędem, dzwoniąc zębami na chłodzie  
I na deszczu, bo coraz wzmagą się ślota.  
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Darmo Sędzia za szlachtą instancję wnosi  
I Telimena łączy prośby do łez Zosi,  
Ażeby miano większy wzgląd na niewolników.  
Wprawdzie oficer rotny, pan Nikita Ryków,  
Moskał, lecz dobry człowiek, dał się udobruchać,  
Cóż, kiedy sam majora Płuta musiał słuchać.

Ten Major, Polak rodem z miasteczka Dzierowicz,  
Nazywał się (jak słyhać) po polsku Płutowicz,  
Lecz przechrzcził się; łotr wielki, jak się zwykle dzieje  
Z Polakiem, który w carskiej służbie zmoskwicuje.  
Płut stał z fajką przed frontem, w boki się podpierał  
I gdy mu kłaniano się, nos w górę zadzierał,  
A za odpowiedź, na znak gniewnego humoru,  
Wypuścił z ust kłąb dymu i poszedł do dworu.

A tymczasem Rykowa Sędzia ułagadza  
I Asesora także na bok odprowadza;  
Przemyślają, jak by rzecz zakończyć bez sądu,  
A co jeszcze ważniejsza, bez mieszań się rządu  
Więc do majora Płuta rzekł kapitan Ryków:

"Panie Major! co nam z tych wszystkich niewolników?  
Oddamy pod sąd? będzie szlachcie wielka bieda,  
A Panu Majorowi nikt za to nic nie da.  
Wiesz co, Major? ot lepiej tę sprawę zagodzić,  
Pan Sędzia Majorowi musi trud nagrodzić,  
My powiemy, że my tu przyszli dla wizyty,  
A tak i kozy całe, i wilk będzie syty.  
Przysłowie ruskie: wszystko można, lecz ostrożnie;

I to przysłowie: sobie piecz na carskim roźnie;  
I to przysłowie: lepsza zgoda od niezgody;  
Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.  
Raportu nie podamy, tak się nikt nie dowie.  
Bóg dał ręce, żeby brać, to ruskie przysłowie".

Słyszając to Major wstaje i od gniewu parska:  
"Czy ty oszalał, Ryków? to służba cesarska,  
A służba nie jest družba, stary, głupi Ryków!  
Czy ty oszalał? ja mam puszczać buntowników!  
W takim wojennym czasie! Ha, pany Polaki,  
Ja was nauczę buntu! Ha, szlachta łajdaki,  
Dobrzyńscy, oj, ja znam was, niech łajdaki mokną!  
(I zaśmiał się na całe gardło, patrząc w okno).  
Wszakże ten sam Dobrzyński, co siedzi w surducie -  
Hej, zdjęć mu surdut! - w roku przeszłym na reducie  
Zaczął ze mną tę kłótnię, kto zaczął? on, nie ja.  
On, gdy tańczyłem, krzyknął: "Precz, za drzwi złodzieja!"  
Że wtenczas za pułkowej okradzenie kasy  
Byłem pod śledztwem, miałem wielkie ambarasy,  
A jemu co do tego? Ja tańczę mazura,  
On krzyczy z tyłu: "Złodziej!" szlachta za nim: "Ura!"  
Skrzywdzili mnie - a co? wpadł w me szpony szlachciura  
Mówiłem: "Ej, Dobrzyński! ej, przyjdzie do woza  
Koza" - a co? Dobrzyński, widzisz! będzie łoża".

Potem Sędziemu szepnął schyliwszy się w ucho  
"Jeśli chcesz, Sędzio, żeby to uszło na sucho,  
Za każdą głowę tysiąc rubelków gotówką.  
Tysiąc rubelków, Sędzio, to ostatnie słówko".

Sędzia chciał targować się; lecz Major nie słuchał,  
Znowu biegał po izbie, dymem gęsto buchał,  
Podobny do szmermelu albo do rakiety.  
Chodziły za nim prosząc i płacząc kobiety.  
"Majorze, mówił Sędzia, choć pozwiesz do prawa,  
Cóż wygrasz? tu nie zaszła żadna bitwa krwawa,  
Nie było ran; że zjedli kury i półgąski,  
Za to wedle statutu zapłacą nawiązki;  
Ja na pana Hrabiego nie zanoszę skargi,  
To tylko były zwykłe sąsiedzkie zatargi".

"A czy Sędzia, rzekł Major, Żółtą Księgę czytał?"  
"Co to za Żółta Księga?" pan Sędzia zapytał.  
"Księga, rzekł Major, lepsza niż wasze statuty,  
A w niej pisze co słowo: stryczek, Sybir, knuty;  
Księga ustaw wojennych, teraz w Litwie całej

Ogłoszonych; już pod stół wasze trybunały,  
Podług ustaw wojennych za takową psotę  
Pójdziecie już to najmniej w sybirną robotę".  
"Apeluję, rzekł Sędzia, do gubernatora".  
"Apeluj, rzekł Płut, choćby do Imperatora.  
Wiesz, że gdy Imperator zatwierdza ukazy,  
Z łaski swej często karę powiększa dwa razy.  
Apelujcie, ja może wynajdę w potrzebie,  
Mospanie Sędzio, dobry kruczek i na ciebie.  
Wszak Jankiel, szpieg, którego już rząd dawno śledzi,  
Jest twoim domownikiem, w karczmie twojej siedzi.  
Mogę teraz was wszystkich wziąć w areszt od razu".  
"Mnie, rzekł Sędzia, brać w areszt? jak śmiesz bez rozkazu?"  
I przychodziło coraz do żywszego sporu,  
Gdy nowy gość zajechał na dziedziniec dworu.

Wjazd tłumny, dziwny. Przodem, niby laufer, bieży  
Ogromny czarny baran, a łeb mu się jeży  
Czterma rogami, z których dwa jako kabłąki  
Kręcą się koło uszu, ubrane we dzwonki;  
A dwa, od czoła na bok wysuwając końce,  
Wstrząsają kulki krągłe, mosiężne, brzęczące.  
Za baranem szły woły, trzoda owiec, kozy,  
Za bydłem cztery ciężko pakowane wozy.

Wszyscy odgadli, że to wjazd księdza Kwestarza.  
Więc pan Sędzia, powinność znając gospodarza,  
Stał w progu witać gościa. Książd na pierwszej bryce  
Jechał, kapturem na wpół zasłoniwszy lice,  
Ale go wnet poznano, bo gdy więźniów minął,  
Zwrócił się ku nim twarzą, palcem na znak skinął.  
I drugiej bryki furman równie był poznany:  
Stary Maciek-Rózczecka, za chłopą przebrany;  
Szlachta zaczęła krzyczeć, skoro się pokazał,  
On rzekł: "Głupi!" - i ręką milczenie nakazał.  
Na trzecim wozie Prusak w kubraku wytartym,  
A pan Zan z Mickiewiczem jechali na czwartym.

A tymczasem Podhajscy i Isajewicze,  
Birbasze, Wilbikowie, Biergele, Kotwicze,  
Widząc szlachtę Dobrzyńskich w tak ciężkiej niewoli,  
Zaczęli z dawnych gniewów ostygąć powoli.  
Bo szlachta polska, chociaż niezmiernie kłótniwa  
I porywczą do bitew, przecież nie jest mściwa.  
Biegą więc do Macieja starego po radę.  
On koło wozów całą ustawia gromadę,  
Każe czekać.

Bernardyn wstąpił do pokoju,  
Zaledwie go poznano, choć nie zmienił stroju,  
Tak przybrał inną postać; zwyczajnie ponury,  
Zamyślony, a teraz głowę wzniosł do góry  
I z miną rozjaśnioną, jak kwestarz rubacha,  
Nim zaczął gadać, długo śmiał się:  
"Cha, cha, cha, cha,  
Kłaniam, kłaniam cha, cha, cha, wyśmienicie, przednie!  
Panowie oficerzy, kto poluje we dnie,  
Wy w nocy! dobry połów, widziałem zwierzynę;  
Oj, skubać, skubać szlachtę, oj, drzeć z nich łupinę!  
Oj, weźcie ich na munsztuk, bo też szlachta bryka!  
Winszuję ci, Majorze, żeś złowił Hrabika,  
To tłuscioszek, to bogacz, panicz z antenatów,  
Nie wypuszczaj go z klatki bez trzystu dukatów;  
A jak weźmiesz, na klasztor daj jakie trzy grosze,  
I dla mnie, bo ja zawsze za twą duszę proszę.  
Jakem bernardyn, bardzo myślę o twej duszy!  
Śmierć i sztabs-oficerów porywa za uszy!  
Dobrze napisał Baka, że śmierć dżga za katy  
W szkarłaty, i po suknie nieraz dobrze stuknie,  
I po płótnie tak utnie jak i po kapturze,  
I po fryzurze równie jak i po mundurze.  
Śmierć matula, powiada Baka, jak cebula  
Łzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula  
I dziecko, co się lula, i zucha, co hula!  
Ach! ach! Majorze, dzisiaj żyjem, jutro gnijem,  
To tylko nasze, co dziś zjemy i wypijem!  
Panie Sędzio, wszakże to czas podobno śniadać?  
Siadam za stół i proszę wszystkich ze mną siadać;  
Majorze, gdyby zrazów? Panie Poruczniku,  
Co myślisz? gdyby wazę dobrego ponczyku?"

"To prawda, Ojczy, rzekli dwaj oficerowie,  
Czas by już zjeść i wypić Pana Sędzi zdrowie!"

Zdziwili się domowi patrząc na Robaka,  
Skąd mu się wzięła mina i wesołość taka.  
Sędzia wnet kucharzowi powtórzył rozkazy:  
Wniesiono wazę, cukier, butelki i zrazy.  
Płut i Ryków tak czynnie zaczęli się zwijać,  
Tak łakomie połykać i gęsto zapijać,  
Że w pół godziny zjedli dwadzieście trzy zrazy  
I wychylili ponczu ogromne pół wazy.

Więc Major syt i wesół w krzesle się rozwalił,  
Dobyl fajkę, biletem bankowym zapalił

I otarłszy śniadanie z ust końcem serwety,  
Obrócił śmiejące się oczy na kobiety  
I rzekł: "Ja, piękne Panie, lubię was jak wety!  
Na me szlify majorskie, gdy człek zjadł śniadanie,  
Najlepszą jest po zrazach zakąską gadanie  
Z paniami tak pięknymi jak wy, piękne Panie!  
Wiecie co? grajmy w karty? w welba-cwelba? w wista?  
Albo pójdźmy mazurka? he! do diabłów trzysta!  
Wszak ja w jegierskim pułku pierwszy mazurzysta!"  
Za czym ku damom bliżej schylił się wygięty  
I puszczał na przemiany dym i komplementy.

"Tańczyć! zawołał Robak; gdy wychyłę flaszę,  
To i ja, choć ksiądz, habit czasami podkaszę  
I potańczę mazurka! Ale wiesz, Majorze,  
My tu pijem, a jegry tam marzną na dworze?  
Hulać to hulać! Sędzio, daj beczkę siwuchy,  
Major pozwoli, niechaj piją jegry zuchy!"  
"Prosiłbym, rzecze Major, lecz w tym nie ma musu".  
"Daj, Sędzio, szepnął Robak, beczkę spirytusu".  
I tak kiedy we dworze sztab wesoło łyka,  
Za domem zaczęła się w wojsku pijatyka.

Ryków kapitan milczkiem kielichy wychylał,  
Lecz Major pił i razem damom się przymilał,  
A wzmagał się w nim coraz tańcowania zapał,  
Rzucił fajkę i rękę Telimeny złapał,  
Chciał tańczyć, lecz uciekła; więc podszedł do Zosi,  
Kłaniając się, słaniając, do mazurka prosi.  
"Hej! ty Ryków, przestańże tam trąbić na fajce,  
Precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce,  
Widzisz no tam gitarę, pódź no, weź gitarę,  
I mazurka! ja Major idę w pierwszą parę".  
Kapitan wziął gitarę i struny przykręcał,  
Płut znowu Telimenę do tańca zachęcał.  
"Słowo majorskie, Panno, nie Rosyjaninem  
Jestem, jeżeli kłamię! chcę być sukinsynem,  
Jeżeli kłamię; spytaj, a oficerowie  
Wszyscy poświadczą, cała armija to powie,  
Że w tej drugiej armiji, w korpusie dziewiątym,  
W drugiej pieszej dywizji, w pułku pięćdziesiątym  
Jegierskim, major Płut jest pierwszy mazurzysta.  
Pódźże, Panienko! nie bądź taka narowista!  
Bo ja po oficersku ukarzę Panienkę..."

To mówiąc skoczył, chwycił Telimeny rękę  
I szerokim całusem w białe ramię klasnął;

Gdy Tadeusz, przypadłszy z boku, w twarz mu trzasnął  
I całus, i policzek ozwały się razem,  
Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

Major osłupiał, oczy przetarł, z gniewu blady  
Zawołał: "Bunt! buntownik!" i dobywszy szpady  
Biegł przebić; wtem Ksiądz dostał z rękawa króciwą:  
"Pal, Tadeuszu, krzyknął, pal jak w jasną świecę!"  
Tadeusz wnet pochwycił, wymierzył, wypalił,  
Chybił, ale Majora zgłuszył i osmalił.  
Porywa się z gitarą Ryków: "Bunt! bunt!" woła,  
Wpada na Tadeusza; lecz Wojski zza stoła  
Machnął ręką na odlew; nóż w powietrzu świsnął  
Między głowy i pierwej uderzył, niż błysnął.  
Uderza w dno gitary, na wylot ją wierci,  
Schylił się na bok Ryków i tak uszedł śmierci,  
Lecz strwożył się; krzyknawszy: "Jegry! bunt! Jej Bogu!"  
Dobył szpady, broniąc się zbliżał się do progu.

Wtem z drugiej strony izby wpada szlachty wiele  
Przez okna, z rapierami, Rózcza na czele.  
Płut w sieni, Ryków za nim, wołają żołnierzy,  
Już trzech najbliższych domu na pomoc im bieży;  
Już przeze drzwi włożą trzy błyszczące bagnety,  
A za nimi trzy czarne schylone kaszkiety.  
Maciek stał u drzwi z Różgą wzniesioną do góry,  
Lgnąc do ściany, czatował jako kot na szczury,  
Aż ciął okropnie; może głowy by trzy zwałił,  
Lecz stary, czy nie dojrzał, czy zbyt się zapalił,  
Bo nim szyje wytknęli, rąbnął po kaszkietach,  
Zdarł je; Różga spadając brząkała po bagnetach -  
Moskale cofają się, Maciek ich wygania  
Na dziedziniec. -  
Tam jeszcze więcej zamieszania.  
Tam stronnicy Sopliców pracują w zawody  
Nad rozkuciem Dobrzyńskich, rozrywają kłody;  
Widząc to jegry za broń porywają, biegną;  
Sierżant wpadłszy bagnetem przebił Podhajskiego,  
Dwóch drugich szlachty zranił, do trzeciego strzela,  
Uciekają; było to przy kłodzie Chrzyciela.  
Ten już miał ręce wolne, gotowe ku walce;  
Wstał, podniósł dłoń i zwinął w kłębek długie palce,  
I z góry tak uderzył w grzbiet Rosyjanina,  
Że twarz jego i skroń wbił w zamek karabina.  
Trzasł zamek, lecz zalany krwią proch już nie spalił;  
Sierżant u nóg Chrzyciela na swą broń się zwałił.  
Chrzyciel schyla się, chwyta karabin za rurę



I wijąc jak kropidłem podnosi go w górę,  
Robi młynka, dwóch zaraz szeregowych zwala  
Po ramionach i w głowę ugadza kaprala,  
Reszta zlekła od kłody cofa się z przestrachem:  
Tak Kropiciel ruchomym nakrył szlachtę dachem.  
Za czym rozbito kłodę, rozcięto powrozy,  
Szlachta już wolna wpada na kwestarskie wozy,  
Z nich dobywa rapiery, pałasze, tasaki,  
Kosy, strzelby; Konewka znalazł dwa szturmaki  
I worek kul; wsypał je do swego szturmaka,  
Drugi równie nabliwszy ustąpił dla Saka.

Jegrów więcej przybywa, mieszają się, tłuką;  
Szlachta w zgiełku nie może ciąć krzyżową sztuką,  
Jegry nie mogą strzelać, już walczą wręcz, z bliska -  
Już stal, ząb za ząb o stal porwawszy się, pryska,  
Bagnet o szablę, kosa o gifes się łamie,  
Pięść spotyka się z pięścią i z ramieniem ramie.

Lecz Ryków z częścią jegrów pobiegł, gdzie stodoła  
Tyka płotów; tam staje, na żołnierzy woła,  
Ażeby zaprzestali bitwę tak bezładną,  
Gdzie nie używszy broni pod pięściami padną.  
Gniewny, że sam nie może dać ognia, bo w tłumie  
Moskalów od Polaków rozróżnić nie umie,  
Woła: "Stroj się!" (co znaczy: formuj się do szyku),  
Ale komendy jego nie słychać śród krzyku.

Stary Maciek, do ręcznych zapasów niezdolny,  
Rejterował się czyniąc przed sobą plac wolny  
Na prawo i na lewo; tu końcem szablicy  
Uciera bagnet z rury jako knot ze świecy;  
Tam machnąwszy na odlew ścina albo kole.  
I tak ostrożny Maciek ustępuje w pole.

Lecz z największym na niego naciera uporem  
Stary Gifrejter, co był pułku instruktorem,  
Wielki mistrz na bagnety; zebrał się sam w sobie,  
Skurczył się, a karabin porwał w ręce obie,  
Prawą u zamka, lewą, w pół rury porywa,  
Kręci się, podskakuje, czasem przysiadywa,  
Lewą rękę opuszcza, a broń z prawej ręki  
Suwa naprzód, jak żądło z wężowej paszczęki,  
I znowu ją w tył cofa, na kolanie wspiera,  
I tak kręcąc się, skacząc, na Maćka naciera.

Ocecił przeciwnika zręczność Maciek stary

I lewą ręką włożył na nos okulary,  
Prawą rękojeść Różgi tuż przy piersiach trzyma,  
Cofa się; Gifrejtera ruch śledząc oczyma,  
Sam słania się na nogach, jakby był pijany;  
Gifrejter bieży prędzej i, pewny wygranej,  
Żeby uchodzącego tym łatwiej dosięgnął,  
Powstał i całą prawą rękę wzdłuż wyciągnął  
Popychając karabin, a tak się wysilił  
Pchnięciem i wagą broni, że się aż pochylił;  
Maciek tam, kędy bagnet wkłada się na rurę,  
Podstawia swą rękojeść, podbija broń w górę  
I wnet spuszcza Różgę, tnie Moskala w rękę  
Raz, i znowu na odlew przecina mu szczękę.-  
Tak padł Gifrejter, fehmistrz najpierwszy z Moskalów,  
Kawaler trzech krzyżyków i czterech medalów.

Tymczasem koło kłodek lewe szlachty skrzydło  
Już jest bliskie zwycięstwa; tam walczył Kropidło  
Widny z dala, tam Brzytwa wił się wśród Moskali,  
Ten ich w pół ciała rzeza, tamten w głowy wali;  
Jako machina, którą niemieccy majstrowie  
Wymyślili i która młockarnią się zowie,  
A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże,  
Razem i słomę kraje, i wybija zboże:  
Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,  
Mordując nieprzyjaciół, ten z góry, ten z dołu.

Lecz Kropiciel już pewne porzuca zwycięstwo,  
Bieży na prawe skrzydło, gdzie niebezpieczeństwo  
Nowe grozi Maćkowi; śmierci Gifrejtera  
Mszcząc się, Proporszczyk z długim szpontonem naciera  
(Szponton jest to zarazem dzida i siekiera,  
Teraz już zaniedbany i tylko na flocie  
Używają go - wówczas służył i piechocie).  
Proporszczyk, człowiek młody, zręcznie się uwijał,  
Ilekoć mu przeciwnik broń na bok odbijał,  
On cofał się; młodego nie mógł Maciek zgonić  
I tak nie raniąc musiał tylko siebie bronić.  
Już mu Proporszczyk dzidą lekką ranę zadał,  
Już wznosząc w górę berdysz do cięcia się składał,  
Chrzyciel nie zdoła dobiec, lecz staje w pół drogi,  
Okręca broń i ciska wrogowi pod nogi,  
Skruszył kość; już Proporszczyk szponton z rąk upuszcza,  
Słania się, wpada Chrzyciel, za nim szlachty tłuszcza,  
A za szlachtą Moskale od lewego skrzydła  
Biegają zmieszani, wszczął się bój koło Kropidła.

Chrzyciel, który w obronie Maćka oręż stracił,  
Ledwie że tej przysługi życiem nie przypłacił,  
Bo przypadło nań z tyłu dwóch silnych Moskali  
I czworo rąk zarazem we włos mu wplątali;  
Upiąwszy się nogami, ciągną jako liny  
Sprężyste, uwiązane do masztu wiciny;  
Daremnie w tył Kropiciel ciska ślepe razy,  
Chwieje się - a wtem postrzegł, że blisko Gerwazy  
Walczy; zawołał: "Jezus Maria! Scyzoryku!"  
Klucznik trwożę Chrzyciela poznawszy po krzyku,  
Odwrócił się, i spuścił ostrze płytkiej stali  
Między głowę Chrzyciela i ręce Moskali;  
Cofnęli się wydawszy przeraźliwe głosy,  
Lecz jedna ręka mocniej wplątana we włosy  
Została się, wisząca i krwią buchająca.  
Tak orlik, jedną szponę gdy wbije w zająca,  
Drugą, by wstrzymać zwierza, o drzewo uczepi,  
A zając targnąwszy się orła wpół rozszczepi,  
Prawa szpona u drzewa zostaje się w lesie,  
A lewą, zakrwawioną, zwierz na pola niesie.

Kropiciel wolny, oczy obraca dokoła,  
Ręce wyciąga, broni szuka, broni woła,  
Tymczasem grzmi pięściami, stojąc mocno w kroku  
I pilnując się z bliska Gerwazego boku,  
Aż Saka, syna swego, postrzega w natłoku.  
Sak prawą ręką szturmak wymierza, a lewą  
Ciągnie za sobą długie, sążniowate drzewo,  
Uzbrojone w krzemienie i w guzy, i sęki  
(Nikt by go nie podźwignął prócz Chrzyciela ręki).  
Chrzyciel, gdy miłą broń swą, swe Kropidło zoczył,  
Chwycił je, ucałował, z radości podskoczył,  
Zakreślił je nad głową i zaraz ubroczył.

Co potem dokazywał, jakie klęski szerzył,  
Daremnie śpiewać, nikt by muzie nie uwierzył,  
Jak nie wierzono w Wilnie ubogiej kobiecie,  
Która stojąc na świętej Ostrej Bramy szczycie  
Widziała, jako Dejów, moskiewski jenerał,  
Wchodząc z pułkiem kozaków, już bramę otwierał  
I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnobacki,  
Zabił Dejowa i zniósł cały pułk kozacki.  
Dosyć, że się tak stało, jak przewidział Ryków:  
Jegry w tłumie ulegli mocy przeciwników.  
Dwudziestu trzech na ziemi wala się zabitych,  
Trzydziestu kilku jęczy ranami okrytych,  
Wielu pierzchło, skryło się w sad, w chmiele, nad rzekę,

Kilku wpadło do domu pod kobiet opiekę.

Zwycięska szlachta biega z okrzykiem wesela,  
Ci do beczek, ci łupy rwą z nieprzyjaciela;  
Jeden Robak tryumfów szlachty nie podziela.  
On dotąd sam nie walczył (bo bronią kanony  
Księdzu bić się), lecz jako człowiek doświadczony  
Dawał rady, plac boju z różnych stron obchodził,  
Wzrokiem, ręką walczących zachęcał, przywodził.  
I teraz woła, aby do niego się łączyć,  
Uderzyć na Rykowa, zwycięstwo dokończyć.  
Tymczasem przez posłańca wskazał do Rykowa,  
Że jeżeli broń złoży, życie swe zachowa;  
Jeżeli zaś oddanie broni będzie zwlekać,  
Robak każe otoczyć resztę i wysiekać.

Kapitan Ryków wcale nie prosił pardonu;  
Zebrawszy koło siebie z pół batalijonu  
Krzyknął: "Za broń!" - wnet szereg karabiny chwytą,  
Chrzęsneła broń, a była już dawno nabita;  
Krzyknął: "Cel!" - rury rzędem zabłysnęły długim,  
Krzyknął: "Ognia kolejaj!" - grzmia jeden po drugim  
Ten strzela, ten nabija, ten chwytą do ręki,  
Słysząc świsty kul, zamków chrzęsty, sztenflów dźwięki.  
Cały szereg zdaje się być ruchawym płazem,  
Który tysiąc błyszczących nóg wywija razem.  
Prawda, że jegry byli mocnym trunkiem pijani,  
Źle mierzą i chybiają, rzadko który rani,  
Ledwie który zabije; przecież dwóch Maciejów  
Już zraniono i poległ jeden z Bartłomiejów.  
Szlachta z niewiela rusznic z rzadka się odstrzela,  
Chce szablami uderzyć na nieprzyjaciela,  
Ale starsi wstrzymują; kule gęsto świszczą,  
Rażą, spędzają, wkrótce dziedziniec oczyszczą,  
Już aż po szybach dworu zaczynają dzwonić.

Tadeusz, który został w domu kobiet bronić  
Z rozkazu stryja, słysząc, że coraz to gorzej  
Wre bitwa, wybiegł; za nim wybiegł Podkomorzy,  
Któremu Tomasz wreszcie przyniósł karabelę;  
Śpieszy, łączy się z szlachtą i staje na czele.  
Bieży broń wzniosłszy, szlachta rusza jego śladem,  
Jegry, przypuściwszy ich, sypnęli kul gradem.  
Legł Isajewicz, Wilbik, Brzytewka raniony;  
Za czym wstrzymują szlachtę, Robak z jednej strony,  
A z drugiej Maciej; szlachta ostyga w zapale,  
Ogląda się, cofa się; widzą to Moskale;

Kapitan Ryków myśli ostatni cios zadać,  
Spędzić szlachtę z dziedzińca i dworem owładać.

"Formuj się do ataku! zawołał, na sztyki!  
Naprzód!" Wnet szereg, rury wytknąwszy jak tyki  
Schyla głowy, zrusza się i przyśpiesza kroku;  
Darmo szlachta wstrzymuje z przodu, strzela z boku,  
Szereg już pół dziedzińca przeszedł bez oporu;  
Kapitan, pokazując szpadą na drzwi dworu,  
Krzyczy: "Sędzio! poddaj się, bo dwór spalić każe!"  
"Pał, woła Sędzia, ja cię w tym ogniu usmażę".  
O dworze Soplicowski! jeśli dotąd całe  
Świecą się pod lipami twoje ściany białe  
Jeśli tam dotąd szlachty sąsiedzkiej gromada  
Za gościnnymi stoły Sędziego zasiada  
Pewnie tam piją często za Konewki zdrowie  
Bez niego już by było dziś po Soplicowie!

Konewka dotąd małe dał męstwa dowody;  
Choć najpierwszy ze szlachty uwolniony z kłody,  
Choć zaraz znalazł w wozie swą miłą Konewkę,  
Swój szturmak faworytny, i z nim kul sakiewkę,  
Nie chciał bić się; powiadał, że sobie nie ufa  
Na czczo; szedł więc, gdzie stała spirytusu kufa,  
Ręką jak łyżką strumień do ust sobie chylił;  
Dopiero gdy się dobrze rozgrzał i posilił,  
Poprawił czapkę, z kolan wziął do rąk Konewkę,  
Zmacał sztenflem naboju, podsypał panewkę  
I spojrzął na plac boju; widzi, że błyszcząca  
Fala bagnatów szlachtę bije i roztrąca;  
Przeciw tej fali płynie; schyla się do ziemi  
I nurkuje pomiędzy trawami gęstemi  
Środkiem dziedzińca, aż tam, gdzie rosła pokrzywa,  
Zasada się, a Saka gestami przyzywa.

Sak broniąc dworu stanął z szturmakiem u proga,  
Bo w tym dworze mieszkała jego Zosia droga,  
Od której choć w zalotach został pogardzony,  
Kochał ją zawsze, zginąć rad dla jej obrony.

Już szereg jegrów w marszu na pokrzywę wkracza,  
Gdy Konew ruszył cyngla i z paszczy garłacza  
Tuzin kul rozsiekanych puszcza wśród Moskali,  
Sak puszcza drugi tuzin, jegry się zmieszali.  
Przerażony zasadzką szereg w kłęb się zwija,  
Cofa się, rzuca rannych; Chrzyciel ich dobija.

Stodoła już daleko; bojąc się odwodu  
Długiego, Ryków skoczył pod parkan ogrodu,  
Tam pierzchającą rotę zatrzymuje w biegu,  
Szykuje, lecz szyk zmienia: z jednego szeregu  
Robi trójkąt, klin ostry wystawując z przodu,  
A dwa boki opiera o parkan ogrodu.  
Dobrze zrobił, bo jazda nań od zamku wali.

Hrabia, który był w zamku pod strażą Moskali,  
Gdy pierzchła straż złęknioma, dworzan na koń wsadził  
I słysząc strzały, w ogień jazdę swą prowadził,  
Sam na czele z żelazem nad głowę wzniesionem.  
Wtem Ryków krzyknął: "Ognia pół-batalijonem!"  
Przeleciała po zamkach wzdłuż nitka ognista  
I z czarnych rur wytkniętych świsnęło kul trzysta.  
Trzech jezdnych padło rannych, jeden trupem leży.  
Padł koń Hrabi, spadł Hrabia; Klucznik krzycząc bieży  
Na ratunek, bo widzi, jegry na cel wzięli  
Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli.  
Robak był bliższy, Hrabie ciałem swym zakrywa,  
Dostał za niego postrzał, spod konia dobywa,  
Uprawadza; a szlachcie każe się rozstąpić,  
Lepiej mierzyć, postrzałów nadaremnych skąpić,  
Kryć się za płoty, studnię, za ściany obory;  
Hrabia z jazdą ma czekać sposobniejszej pory.

Plany Robaka pojął i wykonał cudnie  
Tadeusz; stał ukryty za drewnianą studnię,  
A że trzeźwy i dobrze strzelał z dubeltówki  
(Mógł trafić do rzuconej w powietrze złotówki),  
Okropnie razi Moskwę, starszyznę wybiera,  
Za pierwszym zaraz strzałem ubił feldfebera.  
Potem z dwóch rur raz po raz dwóch sierżantów sprząta,  
Mierzy to po galonach, to w środek trójkąta,  
Gdzie stał sztab; za czym Ryków gniewa się i dąsa.  
Tupa nogami, szpady swej rękojeść kąsa.  
"Majorze Płucie, woła, co to z tego będzie?  
Wkrótce tu nie zostanie nikt z nas przy komendzie!"

Więc Płut na Tadeusza krzyknął z wielkim gniewem:  
"Panie Polak, wstydź się Pan chować się za drzewem,  
Nie bądź tchórz, wyjdź na środek, bij się honorowie,  
Po żołniersku". - A na to Tadeusz odpowie:  
"Majorze! jeśli jesteś tak śmiałym rycerzem,  
A czegoż ty się chowasz za jegrów kołnierzem?  
Nie tchórzę ja przed tobą, wynidź no zza płotów,  
Dostałeś w twarz, jam przecie bić się z tobą gotów!

Po co krwi rozlew! między nami była zwada,  
Niechajże ją rozstrzygnie pistolet lub szpada.  
Daję ci broń na wybór, od działa do szpilki;  
A nie, to was wystrzelam jako w jamie wilki".  
I to mówiąc wystrzelił, a tak dobrze mierzył,  
Że porucznika obok Rykowa uderzył.

"Majorze, szepnął Ryków, wyjdź na pojedynek  
I pomścij się za jego raniejszy uczynek.  
Jeśli tego szlachcica kto inny zabije,  
To Major widzi, Major hańby swej nie zmyje.  
Trzeba tego szlachcica na pole wywabić,  
Nie można z karabina, to choć szpadą zabić.  
"Co puka, to nie sztuka, to wołę, co kole",  
Mówił stary Suworów; wyjdź, Majorze, w pole,  
Bo on nas powystrzela; patrz, bierze do celu".  
Na to rzekł Major: "Ryków! miły przyjacielu,  
Ty jesteś zuch na szpady, wyjdź ty, bracie Ryków,  
Lub wiesz co? wyszlem kogo z naszych poruczników  
Ja major, ja nie mogę odstąpić żołnierzy,  
Do mnie batalijonu komenda należy".  
Słyszając to Ryków szpadę podniósł, wyszedł śmiało,  
Kazał ognia zaprzestać, machnął chustką białą.  
Pyta się Tadeusza, jaką broń podoba;  
Po układach, na szpady zgodzili się oba.  
Tadeusz broni nie miał; gdy szukano szpady,  
Wyskoczył Hrabia zbrojny i zerwał układy.

"Panie Soplico! wołał, z przeproszeniem Pana,  
Pan wyzwaleś Majora! ja do Kapitana  
Mam dawniejszą urazę, on do zamku mego  
("Mów Pan, przerwał Protazy, do zamku naszego"),  
On wpadł, rzekł kończąc Hrabia, na czele złodziejów,  
On, poznałem Rykowa, wiązał mych dżokejów.  
Skarzę go, jakom zbójców skarał pod opoką,  
Którą Sycyljanie zwą Birbante-rokko".

Uciszyli się wszyscy, ustało strzelanie,  
Wojska ciekawe patrzą na wodzów spotkanie:  
Hrabia i Ryków idą, obrócenii bokiem,  
Prawą ręką i prawym grożąc sobie okiem;  
Wtem lewymi rękami odkrywają głowy  
I kłaniają się grzecznie (zwyczaj honorowy:  
Nim przyjdzie do zabójstwa, naprzód się przywitać).  
Już spotkały się szpady i zaczęły zgrzytać;  
Rycerze, wznosząc nogi, prawymi kolany  
Przyklękają, w przód i w tył skacząc na przemiany.

Ale Płut, Tadeusza widząc przed swym frontem,  
Naradzał się po cichu z gifrejterem Gontem,  
Który w rocie uchodził za pierwszego strzelca.  
"Gonto, rzekł Major, widzisz ty tego wisielca?  
Jeśli mu wsadzisz kulę, tam pod piątym zębem,  
To dostaniesz ode mnie cztery ruble srebrem".  
Gont odwodzi karabin, do zamka się chyli,  
Wierni go towarzysze płaszczami okryli;  
Mierzy, nie w zebro, ale w głowę Tadeusza,  
Strzelił i trafił, blisko, w środek kapelusza.  
Określił się Tadeusz, aż Kropiciel wpada  
Na Rykowa, a za nim szlachta krzycząc: "Zdrada!"  
Tadeusz go zasłania, ledwie zdołał Ryków  
Zrejterować się i wpaść we środek swych szyków.

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody  
I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody  
Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.  
Dobrzyńscy widząc, jak się Podhajski wykręca  
Tuż przed szeregiem jegrów i kosą ich kraje,  
Zawołali z radością: "Niech żyją Podhaje!  
Naprzód, bracia Litwini! górą, górą Litwa!"  
Skołubowie zaś widząc, jak waleczny Brzytwa,  
Choć ranny, leci z szablą wzniesioną do góry,  
Krzyknęli: "Górą Maćki, niech żyją Mazury!"  
Dodawszy wzajem serca, biegną na Moskali,  
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę jegrów uderzano z przodu,  
Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu;  
Przy boku jego stapał ostrożny Protazy,  
A Wojski mu po cichu wydawał rozkazy.  
Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,  
O który się opierał Ryków swym trójgranem,  
Wielka, stara sernica, budowana w kratki  
Z belek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.  
W niej świeciły się białych serów mnogie kopy;  
Wkoło zaś wahały się suszące się snopy  
Szałwiji, benedykty kardy, macierzanki,  
Cała zielna domowa apteka Wojszczanki.  
Sernica w górze miała wszerek sążni półczwarta,  
A u dołu na jednym wielkim słupie wsparta  
Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy  
Pochylił się, bo już był wygnił do połowy,  
Groził upadkiem. Nieraz Sędziemu radzono,  
Aby zrzucił budowę wiekiem nadwątloną;  
Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać,



Aniżeli rozrucać albo też przestawiać.  
Odkładał budowanie do sposobnej pory,  
Tymczasem pod słup kazał wetknąć dwie podpory  
Tak pokrzepiona, ale nietrwała budowa  
Wyglądała za parkan nad trójkąt Rykowa.

Ku tej snicy Wojski z Woźnym milczkiem idą,  
Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby dzidą;  
Za nimi ochmistrzynie dąży przez konopie  
I kuchcik, małe, ale bardzo silne chłopię.  
Przyszedłszy drągi wparli w wierzch słupa nadgniły,  
Sami u końców wisząc pchają z całej siły,  
Jako flisy uwięzłą na rapach wicinę  
Długimi drągi z brzegu pędzą na głębinę.

Trzasnął słup: już sernica chwieje się i wali  
Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali,  
Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,  
Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi,  
Krwia i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,  
A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,  
Siecze Różga, od dworu wpada szlachty tłuszczka,  
A Hrabia od bram jazdę na rozpierzchłych puszcza.

Już tylko ośmiu jegrów z sierżantem na czele  
Bronią się; bieży Klucznik, oni stoją śmieje,  
Dziewięć rur wymierzyli prosto w łeb Klucznika;  
On leci na strzał, kręcąc ostrze Scyzoryka.  
Widzi to Książdz, zabiega Klucznikowi drogę,  
Sam pada i podbija Gerwazemu nogę.  
Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał;  
Ledwie ołów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,  
Już wskoczył w dym; dwom jegrom zaraz głowy zmiata  
Uciekają strwożeni, Klucznik goni, płata;  
Oni biegą dziedzińcem, Gerwazy ich torem;  
Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,  
I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,  
Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał,  
Bo przeze drzwi jęk słyszeć, wrzask i gęste razy.  
Wkrótce ucichło wszystko; wyszedł sam Gerwazy  
Z mieczem krwawym.  
Już szlachta odzierżyła pole,  
Porozpędzanych jegrów ściga, rąbie, kole;  
Ryków sam został, krzyczy, że bronie nie złoży,  
Bije się, gdy ku niemu podszedł Podkomorzy  
I wznosząc karabelę rzekł poważnym tonem:  
"Kapitanie! nie splamisz czci twojej pardonem,

Dałeś próby, rycerzu nieszczęsny, lecz mężny,  
Twojej odwagi, porzuć odpór niedołężny,  
Złóż broń, nim cię naszymi szablami rozbroim,  
Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!"

Ryków, Podkomorzego zwalczony powagą,  
Sklonił się i oddał mu swoją szpadę nagą,  
Skrwawioną po rękojeść, i rzekł: "Lachy braty!  
Oj, biada mnie, żem nie miał choć jednej armaty!  
Dobrze mówił Suworów: Pomnij, Ryków kamrat,  
"Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat!"  
Cóż! jegry byli pijani, Major pić pozwolił!  
Och major Płut, on dzisiaj bardzo poswawolił!  
On odpowie przed carem, bo on miał komendę.  
Ja, Panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę.  
Ruskie przysłowie mówi: Kto się mocno lubi,  
Ten, Panie Podkomorzy, i mocno się czubi.  
Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki,  
Ale przestańcie robić nad jegrami zbytki".

Podkomorzy słysząc to karabelę wznasza  
I przez Woźnego pardon powszechny ogłasza,  
Każe rannych opatrzyć, z trupów czyścić pole,  
A jegrów rozbrojonych prowadzić w niewolę.  
Długo szukano Płuta; on, w krzaku pokrzywy  
Zarywszy się głęboko, leżał jak nieżywy;  
Wyszedł wreszcie, ujrzawszy, że było po bitwie.

Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

## Księga X: Emigracja. Jacek

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione  
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę  
Coraz się zgromadzały; ledwie słońce zbiegło  
Z południa, już ich stado pół niebios obległo  
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz chyżej,  
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,  
Aż jedną stroną na wpół od niebios oddarta,  
Ku ziemi wychylona i wszerek rozpostarta,  
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,  
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało  
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.  
I łany zbóż, co wprzód, kładąc się na ziemi  
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotymi,  
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome  
I pogładają w niebo najeżywszy słomę.  
I zielone przy drogach wierzby i topole,  
Co pierwej, jako płaczki przy grobowym dole,  
Biły czołem, długimi kręciły ramiony  
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony,  
Teraz jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,  
Stoją na kształt posągów sypilskiej Nioby.  
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.  
Bydło, zwykle do domu powracać leniwe,  
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka  
I opuszczając stawę do domu ucieka.  
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem  
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;  
Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,  
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko;  
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,  
I snopy zboża kradnie, i na zapas chwyta.

Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;  
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,  
Przechadzają się sobie poważnymi krokami,  
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,  
Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli  
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli;  
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,  
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.  
Ostatnia z ptaków, lotem nieściągląm zuchwała  
Jaskółka, czarny obłok przesywa jak strzała,  
Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owej chwili  
Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli  
I chronią się gromadnie w domy i stodoły,  
Opuszczając plac boju, gdzie wkrótce żywioły  
Stoczą walkę.

Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona  
Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;  
Już chmura, roztaczając cienie na kształt sieci,  
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,  
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.  
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,  
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,  
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwały się, porwały się w poły,  
Borykają się, kręcą, świszczącymi koły  
Krążą po stawach, macą do dna wody w stawach,  
Wpadli na łąki, świszczą po łozach i trawach,  
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy  
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,  
Zmieszane z kędziorami snopów; wiatry wyją,  
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,  
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,  
Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemiu,  
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,  
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy  
Co krok wszerek wydyma się, roztwiera ku górze  
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę.  
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,  
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,  
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy  
Ryknęły jak niedźwiedzie.  
A już deszcz wciąż pluszczy,  
Jak z sita, w gęstych kroplach; wtem rykły pioruny,  
Krople zlały się razem; to jak proste struny  
Długim warkoczem wiążą niebiosy do ziemi,  
To jak z wiader buchają warstami całami.  
Już zakryły się całkiem niebiosy i ziemia,  
Noc je z burzą od nocy czarniejszą zaciemnia.  
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,  
I anioł burzy na kształt niezmiernego słońca  
Rozświeci twarz, i znowu okryty całunem  
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.  
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna  
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.  
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;

Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie.  
Aż się uspokoiło wszystko; tylko drzewa  
Szumią około domu i szemrze ulewa.

W takim dniu pożądanym był czas najburzliwszy;  
Bo nawałnica, boju plac mrokiem okrywszy,  
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,  
Z folwarku niedostępną zrobiła fortecę.  
O tym więc, co się działo w obozie Soplicy,  
Dziś nie mogła rozejść się wieść po okolicy,  
A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.

W izbie Sędziego ważne toczą się narady;  
Bernardyn leżał w łóżku, zmordowany, blady  
I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle,  
Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.  
Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,  
Każe przywieść Rykowa, potem drzwi zamyka.  
Godzinę całą trwały tajemne rozmowy,  
Aż je przerwał kapitan Ryków tymi słowy,  
Rzucając na stół kiesę ciężką dukatami:  
"Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami,  
Że każdy Moskal złodziej; powiedźcież, kto spyta;  
Że znaliście Moskala, który zwan Nikita  
Nikitycz Ryków, rotny kapitan, miał osim  
Medalów i trzy krzyże, to pamiętać prosim.  
Ten medal za Oczaków, ten za Izmailów,  
Ten za bitwę pod Nowi, ten za Prejsiż-Iłów,  
Tamten za Korsakowa sławną rejteradę  
Spod Zurich; a miał także i za męstwo szpadę,  
Także od Feldmarszałka trzy zadowolnienia,  
Dwie pochwały cesarskie i cztery wspomnienia,  
Wszystko na piśmie"  
"Ale, ale, Kapitanie,  
Przerwał Robak, i cóż się tedy z nami stanie,  
Jeśli nie chcesz zgodzić się; wszakże dałeś słowo  
Załatwić tę rzecz".  
"Prawda, słowo dam na nowo,  
Rzecz Ryków, ot słowo! Co po waszej zgubie?  
Ja człek pocziwy, ja was, Państwo Lachy, lubię,  
Że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki,  
I także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki.  
U nas ruskie przysłowie: Kto na wozie jedzie,  
Bywa często pod wozem; kto dzisiaj na przedzie,  
Jutro w tyle; dziś bijesz, jutro ciebie biją;  
Czy o to gniew? tak u nas po żołniersku żyją.  
Skąd by się człowiekowi tyle złości wzięło

Gniewać się o przegranę! Oczakowskie dzieło  
Było krwawe, pod Zurich zbili nam piechotę,  
Pod Austerlicem całą utraciłem rotę;  
A pierwej wasz Kościuszko pod Raclawicami -  
Byłem sierżantem - wysiekl mój pluton kosami.  
I cóż stąd? to ja znowu u Maciejowiców  
Zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych szlachciców,  
Jeden był Mokronowski, szedł z kosą przed frontem  
I kanonijerowi uciął rękę z lontem.  
Oj! wy Lachy! Ojczyzna! ja to wszystko czuję,  
Ja Ryków; car tak każe, a ja was żałuję,  
Co nam do Lachów? Niechaj Moskwa dla Moskala,  
Polska dla Lacha; ale cóż? car nie pozwala!"  
Sędzia mu na to rzecze: "Panie Kapitanie,  
Ześ człek poczciwy, wiedzą to wszyscy ziemianie,  
U których na kwaterach stałeś od lat wielu;  
Za ten dar nie gniewaj się, dobry przyjacielu,  
Nie chcieliśmy cię skrzywdzić; te oto dukaty  
Śmialiśmy złożyć wiedząc, żeś człek niebogaty".

"Ach, jegry! wołał Ryków, cała rota skłuta!  
Moja rota! a wszystko z winy tego Płuta!  
On komendant, on za to przed carem odpowie,  
A wy te grosze sobie zabierzcie, Panowie,  
U mnie jest kapitański mój żołd lada jaki,  
A dosyć mnie na ponczyk i lulkę tabaki.  
A was lubię, że z wami sobie zjem, popiję,  
Pohulam, pogawędzę, i tak sobie żyję;  
Otóż ja was obronię, i jak będzie śledztwo,  
Słowo uczciwe, że dam za wami świadectwo.  
Powiemy, że my przyszli tu z wizytą, pili  
Sobie, tańczyli, trochę sobie podchmielili,  
A Płut przypadkiem ognia zakomenderował,  
Bitwa! i batalijon tak jakoś zmarnował.  
Wy, Pany, tylko śledztwo pomazujcie złotem,  
Będzie kręcić się. Ale teraz powiem o tem,  
Co już mówiłem temu szlachcicu, co długi  
Ma rapier, że Płut pierwszy komendant, ja drugi:  
Płut został żywy, może on wam zagiąć kruczka  
Takiego, że zginiecie, bo to chytra sztuczka;  
Trzeba mu gębę zatkać bankowym papierem.  
No i cóż, Panie szlachcic, ty z długim rapierem,  
Czy już byłeś u Płuta? czyś się z nim naradził?"

Gerwazy obejrzał się, łysinę pogładził,  
Kiwnął niedbale ręką, jak gdyby znać dawał,  
Że już wszystko załatwił. - Lecz Ryków nastawał:

"Cóż, czy Płut będzie milczeć, czy słowem zaręczył?"  
Klucznik zły, że go Ryków pytaniami dręczył,  
Poważnie palec wielki ku ziemi nagiął,  
A potem machnął ręką, jak gdyby przecinał  
Dalszą rozmowę, i rzekł: "Klnę się Scyzorykiem,  
Że Płut nie wyda! gadać już nie będzie z nikim!"  
Potem dłonie opuścił i palcami chrząsnął,  
Jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsnął.

Ten ciemny gest pojęli słuchacze i stali  
Patrząc z dziwem na siebie, wzajem się badali,  
I posępne milczenie trwało minut kilka.  
Aż Ryków rzekł: "Nosił wilk, ponieśli i wilka!"  
"Requiescat in pace!" dodał Podkomorzy.  
"Jużci, zakończył Sędzia, był w tym palec boży!  
Lecz ja tej krwi nie winien, jam o tym nie wiedział".  
Ksiądz porwał się z poduszek i posępny siedział.  
Na koniec rzekł spojrzawszy bystro na Klucznika:  
"Wielki grzech bezbronnego zabić niewolnika!  
Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem!  
Oj, Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem.  
Jedna jest restrykcja: jeśli popełniono  
Nie z zemsty głupiej, ale pro publico bono".  
Klucznik głową i ręką kiwał wyciągnioną,  
I mrugając powtarzał: "Pro publico bono!"

Więcej nie było mowy o Płucie majorze;  
Nazajutrz daremnie go szukano we dworze,  
Daremnie wyznaczono za trupa nagrodę,  
Major zginął bez śladu, jak gdyby wpadł w wodę;  
Co się z nim stało, różnie powiadano o tem,  
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem  
Daremnie pytaniami Klucznika dręczono;  
Nic nie wyrzekł prócz tych słów: "Pro publico bono".  
Wojski był w tajemnicy, lecz słowem ujęty  
Honorowym, staruszek milczał jak zaklęty.

Po zawarciu układów wyszedł z izby Ryków,  
A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,  
Do których Podkomorzy z powagą tak mówi:  
"Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi,  
Ale muszę Wać Państwu wyznać bez ogródki,  
Że z tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki;  
Zbłądziliśmy i nikt tu z nas nie jest bez winy:  
Ksiądz Robak, że zbyt czynnie rozszerzał nowiny,  
Klucznik i szlachta, że je pojęła opacznie.  
Wojna z Rosyją jeszcze nieprędko się zacznie,

Tymczasem, kto miał udział najczynniejszy w bitwie,  
Ten nie może bezpieczny zostać się na Litwie;  
Musicie więc do Księstwa uciekać, Panowie,  
A mianowicie Maciej, co się Chrzyciel zowie,  
Tadeusz, Konew, Brzytew, niech unoszą głowy  
Za Niemen, gdzie ich czeka zastęp narodowy;  
My na was nieobecnych całą winę zwalim  
I na Płuta, tak resztę rodzeństwa ocalim.  
Żegnam was nie na długo; są pewne nadzieje,  
Że nam z wiosną swobody zorza zajaśnieje  
I Litwa, co was teraz żegna jak tułaczy,  
Wkrótce jako zwycięskich swych zbawców zobaczy.  
Sędzia wszystko, co trzeba, zgotuje na drogę  
I ja pieniędzmi, ile zdołam, dopomogę".

Czuła szlachta, że mądrze Podkomorzy radził;  
Wiadomo, że kto z ruskim carem raz się zwadził,  
Ten już z nim na tej ziemi nie zgodzi się szczerze  
I musi albo bić się, albo gnić w Sybirze.  
Więc nic nie mówiąc, smutnie po sobie spojrzeli,  
Westchnęli; na znak zgody głowami skinęli.

Polak, chociaż stąd między narodami słynny,  
Że bardziej niżli życie kocha kraj rodzinny,  
Gotów zawsze rzucić go, puścić się w kraj świata,  
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,  
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy  
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.

Oświadczyli, że zaraz wyjeżdżać gotowi.  
Tylko to się nie zdało panu Buchmanowi:  
Buchman, człowiek rozsądny, w bitwę się nie wmieszał,  
Ale słysząc, że radzą, głosować pośpieszał.  
Znajdował projekt dobrym, lecz chciał przeinaczyć,  
Dokładniej go rozwinać, jaśniej wytłumaczyć,  
A naprzód komisją legalnie wyznaczyć,  
Która by rozważyła emigracji cele,  
Środki, sposoby tudzież innych względów wiele;  
Nieszczęściem, krótkość czasu była na zawadzie,  
Że się nie stało zadość Buchmanowej radzie.  
Szlachta żegna się śpiesznie i już w drogę rusza.

Ale Sędzia zatrzymał w izbie Tadeusza  
I rzekł do Księdza: "Czas już, żebym ci powiedział  
To, o czymem z pewnością wczora się dowiedział,  
Że nasz Tadeusz szczerze zakochany w Zosi,  
Niechajże przed odjazdem o rękę jej prosi;



Mówiłem z Telimeną, już nam nie przeszkadza,  
Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.  
Jeśli dziś ślubem pary nie mogę uwieńczyć,  
Toć by ich, Panie Bracie, przynajmniej zaręczyć  
Przed odjazdem; bo serce młode i podróżne,  
Wiesz dobrze, jako miewa tentacyjne różne;  
A wszakże, kiedy okiem rzuci na pierścionek  
I przypomni młodzieniec, że już jest małżonek,  
Zaraz w nim obcych pokus ostyga gorączka.  
Wierzaj mi, wielką siłę ma ślubna obrączka.

"Ja sam przed lat trzydziestu wielki afekt miałem  
Ku pannie Marcie, której serce pozyskałem;  
Byliśmy zaręczeni; Bóg nie błogosławił  
Związkowi temu i mnie sierotą zostawił,  
Wziąwszy do chwały swojej nadobną Wojszczankę,  
Przyjaciela mojego córę, Hreczeszankę.  
Pozostała mi tylko pamiątka jej cnoty,  
Jej wdzięków, i ten oto ślubny pierścień złoty.  
Ile kroć nań spojrzałem, zawsze ma nieboga  
Stawała przed oczyma; i tak z łaski Boga  
Dotąd mej narzeczonej dochowałem wiary,  
I nie bywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary,  
Chociaż Wojski ma drugą córę, dość nadobną  
I do mojej kochanej Marty dość podobną!"

To mówiąc na pierścionek z czułością spozierał  
I odwróconą ręką łzy z oczu ocierał.  
"Bracie, kończył, co myślisz? zrobim zaręczyny?  
On kocha, a mam słowo ciotki i dziewczyny".

Lecz Tadeusz podbiega i z żywością mówi:  
"Czymże zdołam odwdzińczyć dobremu Stryjowi,  
Który tak o me szczęście ustawnie się trudzi!  
Ach, dobry Stryju! byłbym najszczęśliwszy z ludzi,  
Gdyby mi Zosia była dzisiaj zaręczona,  
Gdybym wiedział, że to jest moja przyszła żona.  
Przecież powiem otwarcie: dziś te zaręczyny  
Do skutku przyjść nie mogą, są różne przyczyny...  
Nie pytaj więcej; jeśli Zosia czekać raczy,  
Może mnie wkrótce lepszym, godniejszym obaczy,  
Może stałością na jej wzajemność zarobię,  
Może troszeczką sławy me imię ozdobię,  
Może wkrótce w ojczyste wrócim okolice;  
Wtenczas, Stryju, wspomnę ci twoje obietnice,  
Wtenczas na klęczkach drogą powitam Zosieńkę  
I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę;

Teraz porzucam Litwę może na czas długi,  
Może Zosi tymczasem podobać się drugi;  
Więzić jej woli nie chcę; prosić o wzajemność,  
Na którąm nie zasłużył, byłaby nikczemność".

Gdy te słowa z uczuciem mówił chłopiec młody,  
Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody  
Pereł, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach  
I stoczyły się szybko po rumianych licach.

Ale Zosia ciekawa z głębin alkowy  
Śledziła przez szczelinę tajemne rozmowy;  
Słyszała, jak Tadeusz po prostu i śmiało  
Opowiedział swą miłość, serce w niej zadrżało,  
I widziała tych wielkich dwoje łez w źrenicach.  
Choć dojść nie mogła wątku w jego tajemnicach  
Dlaczego ją pokochał? dlaczego porzuca?  
Gdzie odjeżdża? przecież ją ten odjazd zasmuca.  
Pierwszy raz posłyszała w życiu z ust młodziana  
Dziwną i wielką nowość, że była kochana.  
Biegła więc, gdzie stał mały domowy ołtarzyk,  
Wyjęła zeń obrazek i relikwiarzyk:  
Na obrazku tym była święta Genowefa,  
A w relikwiji suknia świętego Józefa  
Oblubieńca, patrona zaręczonej młodzi,  
I z tymi świętościami do pokoju wchodzi.

"Pan odjeżdżasz tak prędko? ja Panu na drogę  
Dam podarunek mały i także przestrożę:  
Niechaj Pan zawsze z sobą relikwije nosi  
I ten obrazek, a niech pamięta o Zosi.  
Niech Pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi  
I niech prędko szczęśliwie do nas odprowadzi".  
Umilkła i spuściła głowę; oczki modre  
Ledwie stuliła, z rzęsów pobiegły łzy szczodre,  
A Zosia z zamkniętymi stojąc powiekami  
Milczała, sypiąc łzami jako brylantami.

Tadeusz, biorąc dary i całując rękę,  
Rzekł: "Pani! już ja muszę pożegnać Panienkę,  
Bądź zdrowa, wspomnij o mnie i racz czasem zmówić  
Pacierz za mnie! Zofijo!..." Więcej nie mógł mówić.

Lecz Hrabia, z Telimeną wszedłszy niespodzianie,  
Uważał młodej pary czułe pożegnanie,  
Wzruszył się i rzuciwszy wzrok ku Telimienie:  
"Ileż, rzekł, jest piękności choć w tak prostej scenie!

Kiedy dusza pasterki z wojownika duszą,  
Jak łódź z okrętem w burzy, rozłączyć się muszą!  
Zaiste! nie tak uczuć w sercach nie rozpala,  
Jako kiedy się serce od serca oddała.  
Czas jest to wiatr, on tylko małą świecę zdmuchnie,  
Wielki pożar od wiatru tym mocniej wybuchnie.  
I moje serce zdolne mocniej kochać z dala.  
Panie Soplico! miałem ciebie za rywala;  
Ten błąd był jedną z przyczyn naszej smutnej zwady,  
Która mię przymusiła dostać na was szpady.  
Postrzegam błąd mój, boś ty wzdychał ku pasterce,  
Ja zaś tej pięknej Nimfie oddałem me serce.  
Niech we krwi wrogów nasze utoną urazy,  
Nie będziemy się zbójczy mi rozpierać żelazy.  
Niech się inaczej spór nasz zalotny rozstrzygnie:  
Walczmy! kto kogo czuciem miłości wyścignie!  
Zostawim oba drogie serce naszych przedmioty,  
Pośpieszymy obadwa na miecze, na groty;  
Walczmy z sobą stałością, żalem i cierpieniem,  
A wrogów naszych mężnym ścigajmy ramieniem".  
Rzekł i na Telimenę spojrzął, ale ona  
Nic nie odpowiadała, strasznie zadziwiona.

"Mój Hrabio, przerwał Sędzia, po co chcesz koniecznie  
Wyjeżdżać, wierz mi, w twoich dobrach siedź bezpiecznie  
Szlachtę biedną rząd mógłby odrzeć i przechłostać,  
Ale ty, Hrabio, pewien jesteś cały zostać;  
Wiesz, w jakim rządzie żyjesz, jesteś dość bogaty,  
Wykupisz się od więzień połową intraty".

"To niezgodna, rzekł Hrabia, z moim charakterem,  
Nie mogę być kochankiem, będę bohaterem;  
W miłości troskach, sławy zwę pocieszycielki,  
Gdy jestem nędzarz sercem, będę ręką wielki".

Telimena pytała: "Któż Panu przeszkadza  
Kochać i być szczęśliwym!" - "Mych przeznaczeń władza,  
Rzekł Hrabia; ciemność przeczuć, które ruchem tajnym  
Rwą się ku stronom obcym, dziełom nadzwyczajnym.  
Wyznaję, że dziś chciałem na cześć Telimenie  
U ołtarzów Hymena zapalić płomienie,  
Ale mi dał zbyt piękny przykład ten młodzieniec,  
Sam dobrowolnie ślubny swój zrywając wieniec  
I biegnąc serca swego doświadczać w przeszkodach  
Zmiennych losów, i w krwawych wojennych przygodach.  
Dziś otwiera się nowa i dla mnie epoka!  
Brzmiała odgłosem broni mej Birbante-rokka,

Oby ten odgłos równie w Polsce się rozszerzył!"  
Skończył, i dumnie szpady rękojeść uderzył.

"Jużci, rzekł Robak, trudno ganić tę ochotę;  
Jedź, weź pieniądze, możesz usztyftować rotę,  
Jak Włodzimierz Potocki, co Francuzów zdziwił  
Dając na skarb milijon; jak księżę Radziwiłł  
Dominik, co zastawił dobra swe i sprzęty  
I dwa uzbroił nowe konne regimenty.  
Jedź, jedź, a weź pieniądze; rąk tam dosyć mamy,  
Ale grosza brak w Księżstwie; jedź Wasze, zegnamy".

Telimena, smutnymi rzuciwszy oczyma:  
"Niestety, rzekła, widzę, że cię nic nie wstrzyma!  
Rycerzu mój, w wojenne kiedy wstąpisz szranki,  
Obróć czule spojrzenie na kolor kochanki!  
(Tu wstążkę oderwawszy od sukni, zrobiła  
Kokardę i na piersiach Hrabi przyspiliła).  
Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste,  
Na kopije błyszczące i deszcze siarczyste,  
A kiedy się rozślawisz walecznymi czyny  
I gdy nieśmiertelnymi przesłonisz wawrzyny  
Skrwawiony szyszak i hełm twój zwycięstwem hardy:  
I wtenczas jeszcze oko zwróć do tej kokardy.  
Wspomnij, czyja ten kolor przyspiliła ręka!"  
Tu mu podała rękę. - Pan Hrabia przyklęka,  
Całuje; Telimena zbliżyła do oka  
Chustkę, a drugim okiem pogląda z wysoka  
Na Hrabie, który zegnał ją mocno wzruszony.  
Ona wzdychała, ale ruszyła ramiony.

Lecz Sędzia rzekł: "Mój Hrabio, spiesz się, bo już późno",  
A ksiądz Robak: "Dość tego! wołał z miną groźną,  
Śpiesz się Wasze!" - Tak rozkaz Sędziego i Księdza  
Rozdziela czułą parę i z izby wypędza.

Tymczasem pan Tadeusz stryja obejmował  
Ze łzami i Robaka w rękę pocałował;  
Robak, ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie  
I na głowie mu na krzyż położywszy dłonie,  
Spójrzał ku niebu i rzekł: "Synu! z Panem Bogiem!"  
I zapłakał... A już był Tadeusz za progiem.  
"Jak to? zapytał Sędzia, nic mu brat nie powie?  
I teraz? biedny chłopiec, jeszcze się nie dowie  
O niczym! przed odjazdem?" - "Nie, rzekł Ksiądz, o niczem  
(Płacząc długo z zakrytym rękami obliczem).  
I po cóż by miał wiedzieć biedny, że ma ojca,

Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabójca?  
Bóg widzi, jak pragnąłbym, ale z tej pociechy  
Zrobię Bogu ofiarę za me dawne grzechy".

"Więc, rzecze Sędzia, teraz czas myśleć o sobie,  
Uważ, że człowiek w twoim wieku i chorobie  
Nie zdołałby z innymi razem emigrować;  
Mówiłeś, że wiesz domek, gdzie się masz przechować ;  
Powiedz, gdzie? śpieszmy, czeka zaprzężona bryka,  
Czy nie najlepiej w puszcze, do chaty leśnika?"  
Robak kiwając głową rzekł: "Do jutra rana  
Mam czas; teraz, mój bracie, poślij do plebana,  
Aby tu jak najrychlej przybył z wijatykiem;  
Oddał stąd wszystkich, zostań tyko sam z Klucznikiem.  
Zamknij drzwi".

Sędzia spełnił Robaka rozkazy  
I usiada na łożku przy nim; a Gerwazy  
Stoi, łokieć przytwierdza na głównej rapiera,  
A czoło pochylone na dłoniach opiera.

Robak, nim zaczął mówić, w Klucznika oblicze  
Wzrok utkwiał, i milczenie chował tajemnicze.  
A jako chirurg naprzód miękką rękę składa  
Na ciele chorującym, nim ostrzem raz zada:  
Tak Robak wyraz bystrych oczu swych złagodził,  
Długo nimi po oczach Gerwazego wodził,  
Na koniec, jakby ślepym chciał uderzyć ciosem,  
Zasłonił oczy ręką i rzekł mocnym głosem:

"Jam jest Jacek Soplica..."  
Klucznik na to słowo  
Pobladnął, pochylił się, i ciała połową  
Wygięty naprzód, stanął, zwiśł na jednej nodze,  
Jak gładz lecący z góry, zatrzymany w drodze.  
Oczy roztwierał, usta szeroko rozszerzał  
Grożąc białymi zębami, a wąsy najeżał;  
Rapier z rąk upuszczony przy ziemi zatrzymał  
Kolanami, i głównie prawą ręką imał  
Cisnąc ją; rapier, z tyłu za nim wyciągniony,  
Długim, czarnym swym końcem chwiał się w różne strony  
I Klucznik był podobny rysiowi rannemu,  
Który z drzewa ma skoczyć w oczy myśliwemu,  
Wydyma się kłębuszkiem, mruży, krwawe ślepie

Wyiskrza, wąsy rusza i ogonem trzepie.  
"Panie Rębajło, rzekł Ksiądz, już mię nie zatrwożą  
Gniewy ludzkie, bo jestem już pod ręką Bożą;

Zaklinam cię na imię Tego, co świat zbawił  
I na krzyżu zabójcom swoim błogosławił,  
I przyjął prośbę łotra: byś się udobruchał  
I to, co mam powiedzieć, cierpliwie wysłuchał;  
Sam przyznałem się, muszę dla ulgi sumnienia  
Pozyskać, a przynajmniej prosić przebaczenia;  
Posłuchaj mej spowiedzi; potem zrobisz sobie  
Ze mną, co zechcesz". I tu złożył ręce obie  
Jak do pacierza; Klucznik cofnął się zdumiony,  
Uderzał ręką w czoło i ruszał ramiony.

A Ksiądz zaczął swą dawną z Horeszką zażyłość  
Opowiadać, i swoją z jego córką miłość,  
I swe z tego powodu z Stolnikiem zatargi.  
Lecz mówił nieporządnie, często mieszał skargi  
I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał,  
Jak gdyby już ją kończył, i znowu zaczynał.

Klucznik, dzieje Horeszków znający dokładnie,  
Całą tę powieść, chociaż splątana bezładnie,  
Porządkował w pamięci i dopełniać umiał;  
Lecz Sędzia wielu rzeczy zgoła nie rozumiał.  
Oba pilnie słuchali pochyliwszy głowy,  
A Jacek mówił coraz wolniejszymi słowy  
I często zarywał się.

\* \* \*

Wszak sam wiesz, Gerwazeńku, jak Stolnik zapraszał  
Często mnie na biesiady; zdrowie moje wnaszał.  
Krzyczał nieraz, do góry podniósłszy szklenicę,  
Że nie miał przyjaciela nad Jacka Soplicę;  
Jak on mnie ścisnął! Wszyscy, którzy to widzieli,  
Myślili, że on ze mną duszą się podzieli.  
On przyjaciel? on wiedział, co się wtenczas działo  
W duszy mojej!

" \* \* \*

Tymczasem już szeptała o tym okolica,  
Jaki taki gadał mi: "Ej, panie Soplica,  
Daremnie konkurujesz; dygnitarskie progi  
Za wysokie na Jacka podczaszyca nogi".  
Ja śmiałem się udając, że drwiłem z magnatów  
I z córek ich, i nie dbam o arystokratów;  
Że jeśli bywam u nich, z przyjaźni to robię,  
A za żonę nie pojme, tylko równą sobie.  
Przecie bodły mi duszę do żywca te żarty;  
Byłem młody, odważny, świat był mnie otwarty  
W kraju, gdzie, jako wiecie, szlachcic urodzony  
Jest zarówno z panami kandydat korony!

Wszakże Tęczyński niegdyś z królewskiego domu  
Żądał córy, a król mu oddał ją bez sromu.  
Sopliców czyż nie równe Tęczyńskim zaszczyty  
Krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitej!  
\* \* \*"

Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim  
W jednej chwili, a życiem nie naprawi długim!  
Jedno słowo Stolnika, jakże byśmy byli  
Szczęśliwi! kto wie, może dotąd byśmy żyli,  
Może i on przy swoim kochanym dziecięciu,  
Przy swojej pięknej Ewie, przy swym wdzięcznym zięciu  
Zestarzałby spokojny! może wnuki swoje  
Kołysałby! teraz co? nas zgubił oboje,  
I sam - i to zabójstwo - i wszystkie następstwa  
Tej zbrodni, wszystkie moje biedy i przestępstwa!...  
Ja skarżyć nie mam prawa, ja jego morderca,  
Ja skarżyć nie mam prawa, przebaczam mu z serca,  
Ale i on...

\* \* \*"

Żeby już raz otwarcie był mnie zrekurował,  
Bo znał nasze uczucia; gdyby nie przyjmował  
Mych odwiedzin; to kto wie? może bym odjechał,  
Pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał,  
Ale on, chytrze dumny, wpadł na concept nowy:  
Udawał, że mu nawet nie przyszło do głowy,  
Żeby ja mógł się starać o związek takowy.  
A byłem mu potrzebnym, miałem zachowanie  
U szlachty, i lubili mnie wszyscy ziemianie.  
Więc on niby miłości mojej nie dostrzegał,  
Przyjmował mnie jak dawniej, a nawet nalegał,  
Aby częściej przyjeżdżał; a ilekroć sami  
Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami  
I piersz zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,  
Chytry starzec, wnet wrzucił obojętne słowo  
O procesach, sejmikach, łowach...

\* \* \*"

Ach, nieraz przy kieliszkach, gdy się tak rozrzewniał,  
Gdy mię tak ścisnął i o przyjaźni zapewniał,  
Potrzebując mej szabli lub kreski na sejmie,  
Gdy musiałem nawzajem ścisnąć go uprzejmie,  
To tak we mnie złość wrzała, że ja obracałem  
Ślinę w gębie, a dłonią rękojeść ścisnąłem,  
Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać;  
Ale Ewa, zważając mój wzrok i mą postać,  
Zgadywała, nie wiem jak, co się we mnie działo,  
Patrzyła błagająca, lice jej bledniało;  
A był to taki piękny gołąbek, łagodny,

I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!  
Taki anielski, że już nie wiem, już nie miałem  
Odwagi zagniewać ją, zatrwożyć - milczałem.  
I ja, zawadyjaka sławny w Litwie całej,  
Co przede mną największe pany nieraz drżały,  
Com nie żył dnia bez bitki, co nie Stolnikowi,  
Ale bym się pokrzywdzić nie dał i królowi,  
Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mię sprzeczką,  
Ja wtenczas, zły i pjany, milczał jak owieczka!  
Jak gdybym Sanktissimum ujrzał!

\* \* \*"

Ileż to razy chciałem serce me otworzyć  
I już się nawet przed nim do prośb upokorzyć,  
Lecz spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia  
Zimne jak lód, wstyd mi było mojego wzruszenia;  
Śpieszyłem znowu jak najzimniej dyskurować  
O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować.  
Wszystko to prawda z pychy, żeby nie ubliżyć  
Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć  
Przed panem prośbą próżną, nie dostać odmowy,  
Bo jakież by to były między szlachtą mowy.  
Gdyby wiedziano, że ja, Jacek...

\* \* \*"

Soplicy Horeszkowie odmówili dziewczkę!  
Ze mnie, Jackowi, czarną podano polewkę!

"W końcu sam już nie wiedząc, jak sobie poradzić,  
Umyśliłem ze szlachty mały pułk zgromadzić  
I opuścić na zawsze powiat i Ojczyznę,  
Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę  
I zacząć wojnę. Jadę pożegnać Stolnika,  
W nadziei, że gdy ujrzy wiernego stronnika,  
Dawnego przyjaciela, prawie domownika,  
Z którym pił i wojował przez tak długie lata,  
Teraz żegnającego i kędyś w kraj świata  
Jadącego - że może starzec się poruszy  
I pokaże mi przecież trochę ludzkiej duszy,  
Jak ślimak rogów!

"Ach! kto choć na dzień serca ma dla przyjaciela  
Choćby iskierkę czucia, gdy się z nim rozdziela,  
Dobędzie się iskierka ta przy pożegnaniu,  
Jako ostatni płomyk życia przy skonaniu!  
Raz ostatni dotknąwszy przyjaciela skroni,  
Częstokroć najzimniejsze oko łzę uroni!

\* \* \*"

Biedna, słysząc o moim odjeździe, pobleadła,



Bez przytomności, ledwie że trupem nie padła,  
Nie mogła nic przemówić, aż się jej rzuciły  
Strumieniem łzy - poznałem, jak byłem jej miły!  
\* \* \*"

Pomnę, pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał  
Z radości i z rozpaczy, zapomniał się, szalał,  
Już chciałem znowu upaść ojcu jej pod nogi,  
Wić się jak wąż u kolan, wołać: "Ojcze drogi,  
Weź za syna lub zabij!" Wtem Stolnik posępny,  
Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,  
Wszczął dyskurs, o czym? o czym? o córki weselu!  
W tej chwili! O Gerwazy! uważ, przyjacielu,  
Masz ludzkie serce!  
..."Stolnik rzekł: "Panie Soplica,  
Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica,  
Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?  
Wiesz Wasze, że mam córkę piękną i bogatą,  
A kasztelan witebski! wszakże to w senacie  
Niskie, drażkowe krzesło, cóż mi radzisz, bracie?"  
Nie pamiętam już zgoła, co mu na to rzekłem,  
Podobno nic - na konia wsiadłem i uciekłem!  
" \* \* \*"

Jacku! zawołał Klucznik, mądre ty przyczyny  
Wynajdujesz; cóż? one nie zmniejszą twej winy!  
Bo wszakże zdarzało się już nieraz na świecie,  
Że kto pokochał pańskie lub królewskie dziecię,  
Starął się gwałtem zdobyć, przemyślał wykradać,  
Mścił się otwarcie - ale tak chytrze śmierć zadać!  
Panu polskiemu! w Polszcze, i w zмовie z Moskałem!"

"Nie byłem w zмовie!" Jacek odpowiedział z żalem.  
"Gwałtem porwać? wszak mógłbym, z za krat i z za klamek  
Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek!  
Miałem za sobą Dobrzyn i cztery zaścianki.  
Ach, gdyby ona była jak nasze szlachcianki!  
Silna i zdrowa! gdyby ucieczki, pogoni  
Nie zlekła się i mogła słuchać szczerku broni!  
Lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili,  
Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli,  
Wiosenna gąsieniczka! i tak ją zagrabić,  
Dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić;  
Nie mogłem. Nie.

"Mścić się otwarcie, szturmem zamek zwalić w gruzy,  
Wstyd, boby powiedziano, zem mścił się rekuzy!  
Kluczniku, twoje serce poczciwe nie umie  
Uczuć, ile jest piekła w obrażonej dumie.

"Szatan dumy zaczął mi lepsze plany raić:  
Zemścić się krwawo, ale powód zemsty taić,  
Nie bywać w zamku, miłość z serca wykorzenić,  
Puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić,  
A potem, potem jaką wynaleźć zaczepkę,  
Pomścić się.

"I zdało mi się zrazu, że już serce zmienił,  
I rad byłem z wymysłu, i - jam się ożenił,  
Z pierwszą, którą napotkał, dziewczyną ubogą!  
Żłem zrobił - jakże byłem ukarany srogo!  
Nie kochałem jej, biedna matka Tadeusza,  
Najprzywiązana do mnie, najpocziwsza dusza -  
Ale ja dawną miłość i złość w sercu dusił,  
Byłem jakby szalony, darmom siebie musiał  
Zająć się gospodarstwem albo interesem,  
Wszystko na próżno! Zemsty opętany biesem,  
Zły, opryskliwy, znaleźć nie mogłem pociechy  
W niczym na świecie - i tak z grzechów w nowe grzechy,  
Zacząłem pić.

"I tak niedługo żona ma z żalu umarła,  
Zostawiwszy to dziecię, a mnie rozpacz żarła!  
\* \* \*"

Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę,  
Tyle lat! gdzie ja nie był! a dotąd nie mogę  
Jej zapomnieć, i zawsze jej postać kochana  
Stoi mi przed oczyma jakby malowana!  
Piłem, nie mogłem zapisać pamięci na chwilę  
Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!  
Teraz oto w habicie jestem Bożym sługą,  
Na łożu, we krwi... O niej mówiłem tak długo! -  
W tej chwili, o tych rzeczach mówić? Bóg wybaczy!  
Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rozpacz  
Popelnilem...

"Było to właśnie wkrótce po jej zaręczynach;  
Wszędzie gadano tylko o jej zaręczynach,  
Powiadano, że Ewa, gdy brała obrączkę  
Z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę,  
Że ma początki suchot, że ustawnie szlocha;  
Zgadywano, że kogoś potajemnie kocha. -  
Ale Stolnik, jak zawsze, spokojny, wesoły,  
Dawał na zamku bale, zbierał przyjaciół,  
Mnie już nie prosił - na cóż byłem mu potrzebny?  
Mój bezład w domu, bieda, mój nałóg haniebny  
Podały mnie na wzdrgę i na śmiech przed światem!

Mnie, com niegdyś, rzecz mogę, trząśł całym powiatem!  
Mnie, którego Radziwiłł nazywał: kochanku!  
Mnie, com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku,  
To liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy!  
Kiedym szablę dostawał, to kilka tysięcy  
Szabel błyszczało wkoło, strasząc zamki pańskie!  
A potem ze mnie dzieci śmiały się włościąńskie!  
Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich lichy!  
Jacek Soplica! - Kto zna, co jest czucie pychy..."

Tu Bernardyn osłabiał i upadł na łożę,  
A Klucznik rzekł wzruszony: ""Wielkie sądy Boże!  
Prawda! prawda! więc to ty? i tyżeś to, Jacku  
Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku!  
Ty, którego pamiętam, gdy zdrowy, rumiany,  
Piękny szlachcic, gdy tobie pochlebiały pany,  
Gdy za tobą kobiety szalały! Wąsalu!  
Nie tak to dawno! takeś zestarzał się z żalu!  
Jakżem ciebie nie poznał po owym wystrzale,  
Kiedyś tak do niedźwiedzia trafił doskonale?  
Bo nad ciebie nie miała strzelca Litwa nasza,  
Byłeś także po Maćku pierwszy do pałasza!  
Prawda! o tobie niegdyś śpiewały szlachcianki:  
Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się zaścianki,  
A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,  
Ten zadrzy, choćby to był sam Radziwiłł książę".  
Zawiązałeś ty węzeł i mojemu Panu!  
Nieszczęśniku! i tyżeś? do takiego stanu?  
Jacek Wąsal kwestarzem! wielkie sądy boże!  
I teraz! ha! bezkarnie ujsć tobie nie może,  
Przysiągłem: kto Horeszków krwi kroplę wysączył..."

Tymczasem Ksiądz na łożu usiadł i tak kończył:  
"Jeździłem koło zamku; ile biesów w głowie  
I w sercu miałem, kto ich imiona wypowie!  
Stolnik! zabija dziecię własne, mnie już zabił,  
Zniszczył - jadę pod bramę, szatan mię tam wabił.  
Patrz, jak on hula! co dzień w zamku pijatyka,  
Ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!  
I ten zamek na łysą głowę mu nie runie -  
Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie.  
Ledwie pomyślił, szatan nasyła Moskali.  
Stałem patrząc; wiesz, jak wasz zamek szturmowali.

\* \* \*

Bo fałsz, żebym był w jakiej z Moskalami zmowie.

\* \* \*

Patrzyłem; różne myśli snuły się po głowie.

Zrazu z uśmiechem głupim, jak na pożar dziecko,  
Patrzyłem, potem radość uczułem zbójceją,  
Czekając, rychło zacznie palić się i walić;  
Czasem myśl przychodziła skoczyć, ją ocalić,  
Nawet Stolnika. -

\* \* \*"

Broniliście się, ty wiesz, dzielnie i przytomnie,  
Zdziwiłem się; Moskale padali wkoło mnie,  
Bydłeta, źle strzelają! - na widok ich klęski  
Złość mię znowu porwała. - Ten Stolnik zwycięski!  
I tak-że mu na świecie wszystko się powodzi?  
I z tej strasznej napaści z tryumfem wychodzi?  
Odjeżdżałem ze wstydem - właśnie był poranek,  
Wtem ujrzałem, poznałem: wystąpił na ganek  
I brylantową szpinką ku słońcu migotał,  
I wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał,  
I zdało mi się, że mnie szczególnie urągał,  
Że mnie poznał i ku mnie rękę tak wyciągał,  
Szydząc i grożąc. - Chwytam karabin Moskala,  
Ledwie przyłożył, prawie nie mierzył - wypala!  
Wiesz!

"Przeklęta broń ognista! kto mieczem zabija,  
Musi składać się, natrzeć, odbija, wywija,  
Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać;  
Ale ta broń ognista, dosyć zamek imać,  
Chwila, jedna iskierka...

\* \* \*"

Czyż uciekałem, kiedyś mierzył do mnie z góry?  
Utkwiłem oczy we dwie twojej broni rury,  
Rozpacz, jakiś żal dziwny do ziemi mnie przybił!  
Czemuż? ach, mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił?  
Łaskę byś zrobił! widać za pokutę grzechu  
Trzeba było..."  
Tu znowu brakło mu oddechu.

"Bóg widzi, rzeczy Klucznik, szczerze trafić chciałem!  
Ileż ty krwi wylałeś twoim jednym strzałem,  
Ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę,  
A wszystko to przez Waszą, Panie Jacku, winę!  
A wszakże gdy dziś jegry Hrabie na cel wzięli,  
Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli,  
Tyś go zasłonił, i gdy Moskal do mnie palił,  
Tyś mię rzucił o ziemię, tak nas dwóch ocalił.  
Jeśli prawda, że jesteś księdzem zakonnikiem,  
Jużci sukienka broni cię przed Scyzorykiem.  
Bądź zdrow, więcej na waszym nie postanę progę,  
Z nami kwita, - zostawmy resztę Panu Bogu".

Jacek rękę wyciągnął, - cofnął się Gerwazy:  
"Nie mogę, rzekł, bez mego szlachectwa obraży  
Dotykać rękę, takim morderstwem skrwawioną  
Z prywatnej zemsty, nie zaś pro publico bono".  
Ale Jacek z poduszek na łożo upadłszy,  
Zwrócił się ku Sędziemu, a był coraz bladszy,  
I niespokojnie pytał o księdza plebana,  
I wołał na Klucznika: "Zaklinam Waćpana,  
Abyś został; wnet skończę, ledwie mam dość mocy  
Zakończyć - Panie Klucznik - ja umrę tej nocy!"

"Co, bracie? krzyknął Sędzia, widziałem, wszak rana  
Niewielka, co ty mówisz? po księdza plebana;  
Może źle opatrzone - zaraz po doktora,  
W apteczce jest..." Ksiądz przerwał: "Bracie, już nie pora.

Miałem tam strzał dawniejszy, dostałem pod Jena,  
Źle zgojony, a teraz draśniono - gangrena  
Już tu - znam się na ranach, patrz, jaka krew czarna,  
Jak sadza, co tu doktor? ale to rzecz marna,  
Raz umieramy, jutro czy dziś oddać duszę -  
Panie Klucznik, przebaczysz mnie, ja skończyć muszę!  
\* \* \*"

Jest w tym zasługa nie chcieć zostać winowajcą  
Narodowym, choć naród okrzyczy cię zdrajcą!  
Zwłaszcza w kim taka, jaka była we mnie duma!  
\* \* \*"

Imię zdrajcy przyłgnęło do mnie jako dzuma.  
Odwracali ode mnie twarz obywatele,  
Uciekali ode mnie dawni przyjaciele,  
Kto był lękliwy, z dala witał się i stronił;  
Nawet lada chłop, lada Żyd, choć się pokłonił,  
To mię z boku szyderskim przebijał uśmiechem;  
Wyraz "zdrajca" brzmiał w uszach, odbijał się echem  
W domie, w polu; ten wyraz od rana do mroku  
Wił się przede mną, jako plama w chorym oku.  
Przecież nie byłem zdrajcą kraju.  
\* \* \*"

Moskwa mnie uważała gwałtem za stronnika,  
Dano Soplicom znaczną część dóbr nieboszczyka,  
Targowiczanie potem chcieli mnie zaszczycić  
Urzędem. - Gdybym wtenczas chciał się przemoskwiczyć!  
Szatan radził - już byłem możny i bogaty;  
Gdybym został Moskalem? najpierwsze magnaty  
Szukałyby mych względów; nawet szlachta braty,  
Nawet gmin, który swoim tak łącznie uwłacza,

Tym, którzy Moskwie służą, szczęśliwszym - przebacza!  
Wiedziałem to, a przecież - nie mogłem.

\* \* \*"

Uciekłem z kraju!  
Gdziem nie był! com nie cierpiał!

\* \* \*"

Ale Bóg raczył lekarstwo jedyne objawić.  
Poprawić się potrzeba było i naprawić  
Ile możliwości to...

\* \* \*"

Córka Stolnika, ze swym mężem wojewodą  
Gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo;  
Zostawiła tę w kraju córkę, małą Zosię,  
Kazałem ją hodować.

\* \* \*"

Bardziej niżli z miłości, może z głupiej pychy  
Zabiłem; więc pokora, wszedłem między mnichy,  
Ja, niegdyś dumny z rodu, ja, com był junakiem,  
Spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem,  
Że jako robak w prochu...

"Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady  
Trzeba było okupić dobrymi przykłady,  
Krwia, poświęceniem się...

"Biłem się za kraj; gdzie? jak? zmilczę; nie dla chwały  
Ziemskiej biegłem tylekroć na miecze, na strzały.  
Milej sobie wspominam, nie dzieła waleczne  
I głośne, ale czyny ciche, użyteczne,  
I cierpienia, których nikt...

"Udało mi się nieraz do kraju przedzierać,  
Rozkazy wodzów nosić, wiadomości zbierać,  
Układać zmywy - znają i Galicyjanie  
Ten kaptur mnisi - znają i Wielkopolanie!  
Pracowałem przy taczkach rok w pruskiej fortecy,  
Trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy,  
Raz już wiedli na Sybir; potem Austryjacy  
W Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy,  
W carcer durum - a Pan Bóg wybawił mię cudem  
I pozwolił umierać między swoim ludem,  
Z Sakramentami.

"Może i teraz, kto wie? mozem znowu zgrzeszył!  
Możem nad rozkaz wodzów powstanie przyśpieszył!  
Ta myśl, że dom Sopliców pierwszy się uzbroi,  
Że pierwszą Pogoń w Litwie zatkną krewni moi!...

Ta myśl...zdaje się czysta...

"Chciałeś zemsty? masz! boś ty był narzędziem kary  
Bożej! twoim Bóg mieczem rozciął me zamiary.

Tyś wątek spisku, tyle lat snowany, splątał!  
Cel wielki, który całe życie me zaprzętał,  
Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,  
Którem tulił, hodował, jak najmilsze dziecię,  
Tyś zabił w oczach ojca, a jam ci przebaczył!  
Ty!..."

"Oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył!  
Przerwał Klucznik; jeżeli masz przyjąć wijatyk,  
Księżę Jacku, toć ja nie luter, nie syzmatyk!  
Kto umierającego smuci, wiem, że grzeszy.  
Powiem tobie coś, pewnie to ciebie pocieszy.  
Kiedy nieboszczyk Pan mój upadał zraniony,  
A ja, klęcząc nad jego piersią pochylony  
I miecz maczając w ranę, zemstę zaprzysięgnął,  
Pan głowę wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął  
W stronę, gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu naznaczył;  
Mówić nie mogłem, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył.  
Ja też pojąłem, ale tak się z gniewu wściekłem,  
Że o tym krzyżu nigdy i słowa nie rzekłem".

Tu rozmowę przerwały chorego cierpienia  
I nastąpiła długa godzina milczenia.  
Oczekują plebana. - Podkowy zagrzmiały,  
Zastukał do komnaty Arendarz zdyszały,  
List ma ważny, samemu Jackowi pokaże;  
Jacek bratu oddaje, głośno czytać każe.  
List od Fiszera, który był natenczas szefem  
Sztabu armiji polskiej pod Księciem Józefem.  
Donosi, że w cesarskim tajnym gabinecie  
Stanęła wojna; Cesarz już po całym świecie  
Ogłasza ją; sejm walny w Warszawie zwołany,  
I skonfederowane Mazowieckie Stany  
Wyrzeką uroczyście przyłączenie Litwy.

Jacek, słuchając, cicho odmówił modlitwy;  
Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę,  
Podniósł w niebo zatłone nadzieją źrenice  
I zalał się ostatnich łez rozkosznych zdrojem:  
"Teraz, rzekł, Panie, sługę Twego puść z pokojem!"

Wszyscy uklękli; a wtem ozwał się pod progiem  
Dzwonek: znak, że przyjechał pleban z Panem Bogiem.

Właśnie już noc schodziła i przez niebo mleczne,  
Różowe, biegą pierwsze promyki słoneczne.  
Wpadły przez szyby jako strzały brylantowe,  
Odbiły się na łożu o chorego głowę  
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,  
Że błyszczał jako święty w ognistej koronie.



## Księga XI: Rok 1812

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!  
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,  
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy  
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.  
Z dawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem  
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;  
Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem  
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,  
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.

Kiedy pierwszy raz było wygnano na wiosnę,  
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,  
Nie biegło na ruń, co już umiała grudę,  
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy  
Ryczało albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy ciągnący na jarzynę pługi  
Nie cieszą się, jak zwykle, z końca zimy długiej,  
Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,  
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.  
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie  
I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,  
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,  
I uważają z trwogą wracające ptaki.  
Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny  
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;  
A za nim, krzykliwymi nadciągnawszy pułki,  
Gromadziły się ponad wodami jaskółki  
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.  
W wieczór słyhać w zaroślach szept ciągnącej słomki,  
I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem,  
I znużone na popas spadają z hałasem,  
A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żurawie.  
Słyszac to nocni stróże pytają w obawie,  
Skąd w królestwie skrzydlatym tyle zamieszania,  
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania.

Aż oto nowe stada, jakby gilów, siewek  
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek  
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.  
Konnica! dziwne stroje, nie widziane bronie,  
Pułk za pułkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,  
Płyną drogami kute żelazem szeregi;  
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,  
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ: rzekłbyś, iż wonczas z wyraju  
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,  
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.  
Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą

Płyną; na niebie górą tu i ówdzie łuny,  
Ziemia drży, słyhać, biją stronami pioruny. -  
Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi,

Gdzie by jej huk nie doszedł; pomiędzy ciemnymi  
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice  
Pomarli nie wyjrzawszy za lasu granice,  
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków  
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,  
Gości innych nie widział oprócz spółleśników,-  
Teraz widzi: na niebie dziwna łuna pała,  
W puszczy łoskot, to kula od jakiegoś działa,  
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała  
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,  
Zadrzał we mchu, najeżył długie włosie grzywy,  
Wstaje na wpół, na przednich nogach się opiera  
I potrząsając brodą zdziwiony spoziera  
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:  
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszczce,  
Pękł z hukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu  
Zląkł się i uciekł w głębszym schować się ukryciu.

Bitwa! gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,  
Chwytają broń, kobiety wznoszą w niebo ręce,  
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:  
<<Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!>>

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju  
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!  
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca  
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,  
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!  
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!  
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,  
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Soplicowo leżało tuż przy wielkiej drodze,  
Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:  
Nasz Książę Józef i król westfalski Hieronim.  
Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim,  
Gdy król rozkazał wojsku dać trzy dni wytchnienia

Ale polscy żołnierze mimo utrudzenia  
Skarżyli się, że król im marszu nie dozwala,  
Tak radzi by co prędzej doścignąć Moskala.

W mieście pobliskim stanął główny sztab książęcy,  
A w Soplicowie obóz czterdziestu tysięcy  
I ze sztabami swymi jenerał Dąbrowski,  
Kniaziewicz, Małachowski, Giedroją i Grabowski.

Późno było, gdy weszli; więc każdy, gdzie może,  
Zabierają kwatery w zamczysku, we dworze;  
Skoro dano rozkazy, rozstawiono czaty,  
Każdy strudzony poszedł spać do swej komnaty.  
Z nocą wszystko ucichło: obóz, dwór i pole;  
Widać tylko, jak cienie, błędzące patrole  
I gdzieniegdzie błyskania ognisk obozowych,  
Słychać kolejne hasła stanowisk wojskowych.

Spali: gospodarz domu, wodze i żołnierze;  
Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze ;  
Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,  
Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wsławić:

Biesiadę, godną miłych sercom polskim gości  
I odpowiedną wielkiej dnia uroczystości,  
Co jest świętem kościelnym i świętem rodziny:  
Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny,  
Zaś jenerał Dąbrowski oświadczył z wieczora,  
Że chce mieć obiad polski.  
Choć spóźniona pora,  
Wojski zebrał co prędzej z sąsiedztwa kucharzy;  
Pięciu ich było, służą, on sam gospodarzy.  
Jako kuchmistrz białym się fartuchem opasał,  
Wdział szlafmycę, a ręce do łokciów zakasał;  
W rękę ma plackę muszą, owad lada jaki  
Odpędza, wpadający chciwie na przysmaki;  
Drugą ręką przetarte okulary włożył,  
Dobyl z zanadru księgę, odwinał, otworzył.

Księga ta miała tytuł: Kucharz doskonały.  
W niej spisane dokładnie wszystkie specyjały  
Stołów polskich; podług niej Hrabia na Tęczynie  
Dawał owe biesiady we włoskiej krainie,  
Którym się Ojciec Święty Urban Ósmy dziwił;  
Podług niej później Karol-Kochanku-Radziwiłł,  
Gdy przyjmował w Nieświżu króla Stanisława,  
Sprawił pamiętną ową ucztę, której sława

Dotąd żyje na Litwie we gminnej powieści.

Co Wojski wyczytawszy pojmie i obwieści,  
To natychmiast kucharze robią umiejętni.  
Wre robota, pięćdziesiąt nożów w stoły tętni,  
Zwijają się kuchciki czarne jak szatany:  
Ci niosą drwa, ci z mlekiem i z winem sagany,  
Leją w kotły, skowrody, w rondle, dym wybucha;  
Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszki dmucha,  
Wojski, ażeby ogień tym łacniej rozpalać,  
Rozkazał stopionego masła na drwa nalać  
Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu).  
Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu.  
Inni na rożny sadzą ogromne pieczenie  
Wołowe, sarnie, combry dzicze i jelenie;  
Ci skubią stopy ptastwa, lecą puchów chmury,  
Obnażają się głuszce, cietrzewie i kury.  
Lecz kur niewiele było; od owej wyprawy,  
Którą w czasie zajazdu Dobrzyński Sak krwawy  
Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo  
Zniszczył nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo:  
Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąć na nowo  
Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.  
Zresztą zaś mięs wszelkich był wielki dostatek,  
Co się zgromadzić dało i z domu, i z jatek,  
I z lasów, i z sąsiedztwa, z bliska i z daleka:  
Rzekłbyś, ptasiego tylko niedostaje mleka.  
Dwie rzeczy, których hojny pan uczy szuka,  
Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny  
Kwietnej; pogoda była prześliczna, czas ranny,  
Niebo czyste, wokoło ziemi obciążnięte,  
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;  
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna  
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna  
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,  
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,  
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany  
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie  
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła blednie,  
Prawą skronią złożone na wezglowiu cieni  
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;  
A dalej okrąg jakby powieka szeroka  
Rozsuwa się i w środku widać białek oka,

Widać tęczę, źrenicę - już promień wytrysnął,  
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął  
I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.  
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,  
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,  
A oko słońca weszło. - Jeszcze nieco senne,  
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,  
Siedmią barw błyszczą razem: szafirowe razem,  
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,  
Aż rozłśniło się jako kryształ przezroczyste,  
Potem jak brylant światłe, na koniec ogniste,  
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:  
Tak po niezmiernym niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo litewskie z całej okolicy  
Zebrało się przed wschodem wokoło kaplicy,  
Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.  
Zbiór ten pochodził w części z pobożności ludu,  
A w części z ciekawości: bo dziś w Soplicowie  
Na nabożeństwie mają być generałowie,  
Sławni dowódcy owi naszych legijonów,  
Których lud znał imiona i czcił jak patronów,  
Których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy  
Były ewangeliją narodową Litwy.

Już przyszło oficerów kilku, tłum żołnierzy;  
Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy  
Oglądając rodaków mundury noszących,  
Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza - nie obejmie świątynia maleńka  
Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka,  
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy:  
Włos litewskiego ludu, biały albo płowy,  
Pozłacał się jako łąn dojrzałego żyta;  
Gdzieniegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,  
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy  
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,  
Śród głów męskich, jak w zbożu bławat i kąkole.  
Klęczący różnobarwny tłum okrywa pole,  
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,  
Chylą się wszystkie głowy jak kłosa na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela  
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;  
Wszystko wkoło ubrane w bukiety i w wianki,  
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.

Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,  
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,  
I rozlewa jak z mszalnej kadzielnicy wonie.

A gdy w kościele było po mszy i kazaniu,  
Wyszedł przewodniczący całemu zebraniu  
Podkomorzy, niedawno przez powiatu stany  
Zgodnie konfederackim marszałkiem obrany.  
Miał mundur województwa: żupan złotem szyty,  
Kontusz gredyturowy z frędzlą i pas lity,  
Przy którym karabela z głównią jaszczurową;  
Na szyi świecił wielką szpinką brylantową;  
Konfederatka biała, a na niej pęk gruby  
Drogich piórek, były to białych czapel czuby  
(Na fest kładnie się tylko kitka tak bogata,  
Której każde pióreczko kosztuje dukata).  
Tak ubrany, na wzgórek wstąpił przed kościołem,  
Wieśniacy i żołnierstwo ścisnęło się kołem,  
On rzekł:

<<Bracia! ogłosił wam ksiądz na ambonie  
Wolność, którą Cesarz-Król przywrócił Koronie,  
A teraz Litewskiemu Księstwu, Polszcze całej  
Przywraca; słyszeliście rządowe uchwały  
I zwołujące walny sejm uniwersały.  
Ja tylko mam słów parę przemówić do gminy,  
W rzeczy, która się tycze Sopliców rodziny,  
Tutejszych panów.  
<<Cała pomni okolica,  
Co tu zbroił nieboszczyk - pan Jacek Soplica;  
Ale kiedy o grzechach jego wszyscy wiecie,  
Czas i zasługi jego ogłosić na świecie.  
Obecni tu są naszych wojsk generałowie,  
Od których usłyszałem wszystko, co wam mówię  
Ten Jacek nie był umarł (jak głoszono) w Rzymie,  
Tylko odmienił życie dawne, stan i imię;  
A wszystkie przeciw Bogu i Ojczyźnie winy  
Zgładził, przez żywot święty i przez wielkie czyny.

<<On to pod Hohenlinden, gdy Ryszpans generał  
Na pół pobity już się do odwrotu zbierał  
Nie wiedząc, że Kniaziewicz ciągnie ku odsieczce,  
On to Jacek, zwan Robak, wśród grotów i mieczy  
Przeniósł od Kniaziewicza listy Ryszpansowi,  
Donoszące, że nasi biorą tył wrogowi.  
On potem w Hiszpaniji, gdy nasze ułany  
Zdobyły Samosiery grzbiet oszańcowany,  
Obok Koziatulskiego był ranny dwa razy!

Następnie, jak wysłaniec, z tajnymi rozkazy  
Biegał po różnych stronach ducha ludzi badać,  
Towarzystwa tajemne wiązać i zakładać;  
Na koniec w Soplicowie, w swym ojczystym gnieździe,  
Gdy gotował powstanie, zginął na zajeździe.  
Właśnie o jego śmierci nadeszła wiadomość  
Do Warszawy w tę chwilę, gdy Cesarz Jegomość  
Raczył mu dać za dawne czyny bohaterskie  
Legiji honorowej znaki kawalerskie.

<<Owoż te wszystkie rzeczy mając na uwadze,  
Ja, reprezentujący województwa władzę,  
Moją konfederacką ogłaszam wam łaską:  
Że Jacek wierną służbą i cesarską łaską  
Zniósł infamiji plamę, powraca do cześci  
I znowu się w rząd prawych patryjotów mieści;  
Więc kto będzie śmiał Jacka zmarłego rodzinie  
Wspomnieć kiedy o dawnej, zagładzonej winie,  
Ten podpadnie za karę takiego wyrzutu  
Gravis notae maculae, wedle słów Statutu  
Karzących tak militem jak i skartabella,  
Co by siał infamiją na obywatela;  
A że teraz jest równość, więc artykuł trzeci  
Obowiązuje równie i mieszczan, i kmieci.  
Ten wyrok marszałkowski pan Pisarz umieści  
W aktach Jeneralności, a Woźny obwieści.

<<Co się tycze legiji honorowej krzyża,  
Że późno przyszedł, nic to sławie nie ubliża;  
Jeśli Jackowi nie mógł służyć ku ozdobie,  
Niech służy ku pamiętce, wieszam go na grobie  
Trzy dni tu będzie wisiał, potem do kaplicy  
Złoży się, jako wotum dla Boga Rodzicy>>.

To powiedziawszy, order wydobyl z pokrowca  
I zawiesił na skromnym krzyżyku grobowca  
Uwiązaną w kokardę wstążeczkę czerwoną,  
I krzyż biały gwiazdzisty ze złotą koroną;  
Przeciw słońcu promienie gwiazdy zajaśniały  
Jako ostatni odbłysek ziemskiej Jacka chwały.  
Tymczasem lud na klęczkach Anioł Pański mowi  
Upraszając o wieczny pokój grzesznikowi;  
Sędzia obchodzi gości i wiejską gromadę,  
Wszystkich do Soplicowa wzywa na biesiadę.

Ale na przyzbie domu usiedli dwaj starce,  
Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce;

Patrzą w sad, gdzie śród pączków barwistego maku  
Stał ułan jak słonecznik, w błyszczącym kołpaku,  
Strojnym blachą złocistą i piórem koguta;  
Przy nim dziewczę w zielonej sukience jak ruta  
Pozioma, wznosi oczki błękitne jak bratki  
Ku oczom chłopca; dalej panny rwały kwiatki  
Po ogrodzie, umyślnie odwracając głowy  
Od kochanków, żeby im nie mieszać rozmowy.

Ale starce miód piją, tabakierką z kory  
Częstując się nawzajem, toczą rozhowory.

<<Tak, tak, mój Protazeńku>> rzekł klucznik Gerwazy.  
<<Tak, tak, mój Gerwazeńku>> rzekł woźny Protazy.  
<<Tak to, tak!>> powtórzyli zgodnie kilka razy  
Kiwając w takt głowami; wreszcie Woźny rzecze:  
<<Iż proces nasz kończy się dziwnie, ja nie przeczę;  
Wszakże były przykłady; pamiętam procesy,  
W których się działy gorsze niż u nas ekscesy,  
A intercyza cały zakończyła kłopot:  
Tak z Borzdobohatymi pogodził się Łopot,  
Krepsztulowie z Kupściami, Putrament z Pikturną,  
Z Odyńcami Mackiewicz, z Kwileckimi Turno.  
Co mówię! wszak Polacy mieszkali zamieszki  
Z Litwą, gorsze niżeli z Soplicą Horeszki,  
A gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga,  
To się bez sądów owa skończyła intryga.  
Dobrze, gdy strony mają panny albo wdowy  
Na wydaniu: to zawsze kompromis gotowy.  
Najdłuższy proces zwykle bywa z duchowieństwem  
Katolickim albo też z bliskim pokrewieństwem,  
Bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeństwem.  
Stąd to Lachy z Rusami w sporach nieskończonych,  
Idąc z Lecha i Rusa, dwu braci rodzonych;  
Stąd się tyle procesów litewskich ciągnęło  
Długo z księżmi Krzyżaki, aż wygrał Jagiełło.  
Stąd na koniec pendebat długo przed aktami  
Sławny ów proces Rymuszów z dominikanami,  
Aż wygrał wreszcie syndyk klasztorny ksiądz Dymsza,  
Skąd jest przysłowie: większy Pan Bóg niż pan Rymsza;  
Ja zaś dołożę: lepszy miód od Scyzoryka>>.  
To mówiąc, półgarcówką przepił do Klucznika.

<<Prawda! prawda! rzekł na to Gerwazy wzruszony  
Dziwneć to były losy tej naszej Korony  
I naszej Litwy! wszak to jak małżonków dwoje!  
Bóg złączył, a czart dzieli, Bóg swoje, czart swoje!



Ach, bracie Protazeńku! że to oczy nasze  
Widzą! że znowu do nas ci Koronijasze  
Zawitali! Służyłem ja z nimi przed laty,  
Pamiętam, dzielne były z nich konfederaty!  
Gdyby nieboszczyk pan mój Stolnik dożył chwili!  
O Jacku! Jacku! - lecz cóż będziemy kwilili?  
Skoro dziś znowu Litwa łączy się z Koroną,  
Toć tym samym już wszystko zgodzono, zgładzono>>.  
<<I to dziw, rzekł Protazy, że o tej to Zosi,  
O której rękę teraz nasz Tadeusz prosi,  
Było przed rokiem omen, jakoby znak z nieba!>>  
<<Panną Zofiją, przerwał Klucznik, zwać ją trzeba,  
Bo już dorosła, nie jest dziewczyną maluczką,  
Przy tym z krwi dygnitarskiej, jest Stolnika wnuczką>>.  
<<Owoż, kończył Protazy, był to znak proroczy  
O jej losie, widziałem znak na własne oczy.  
Przed rokiem tu siedziała w święto czeladź nasza  
Pijąc miód, alić patrzym: pęc, pada z poddasza  
Dwóch wróblów bijących się, oba samcy stare,  
Jeden młodszy cokolwiek, miał podgarle szare,  
Drugi czarne; dalejże tłuc się po podwórzu,  
Przewracać kulki, że aż zaryli się w kurzu;  
My patrzym, a tymczasem szepcą sobie sługi;  
Że ten czarny niech będzie Horeszko, a drugi  
Soplica; więc ilekroć szary był na górze,  
Krzyczą: 'Wiwat Soplica! pfe, Horeszki tchórze!'  
A gdy spadał, wołali: 'Popraw się, Soplica!  
Nie daj się magnatowi, to wstyd na szlachcica!'  
Tak śmiejąc się czekamy, kto kogo pokona;  
Wtem Zosięńka, nad ptastwem litością wzruszona,  
Podbiegła i nakryła rączką te rycerze,  
Jeszcze się w rękę bili, aż leciało pierze,  
Taka była zawziętość w tym maleńkim lichu.  
Baby patrząc na Zosię gadały po cichu,  
Że pewnie przeznaczeniem będzie tej dziewczyny  
Pogodzić dwie od dawna zwaśnione rodziny.  
A widzę, że się dzisiaj ziścił omen babi.  
Prawdać to, że naonczas myślano o Hrabi,  
Nie zaś o Tadeuszu>>. Na to Klucznik rzecze:  
<<Dziwne są sprawy w świecie, kto wszystko dociecze!  
Ja też powiem Waszeci rzecz, choć nie tak cudną  
Jak ów omen, a przecież do pojęcia trudną.  
Wiesz, iż dawniej rad bym był Sopliców rodzinę  
W łyżce wody utopić; a tego chłopczyńkę,  
Tadeusza, od dziecka nieźmiernie polubił.  
Uważałem, że gdy się z chłopiętami czubił,  
Zawsze ich zbił; więc ilekroć do zamku biegał,

Jam go zawsze do trudnych imprezów podzegał.  
Wszystko mu się udało; czy wydrzeć gołębie  
Na wieży, czy jemiołę oberwać na dębie,  
Czyli z najwyższej sosny złupić wronie gniazdo,  
Wszystko umiał; myślałem: pod szczęśliwą gwiazdą  
Urodził się ten chłopiec, szkoda, że Soplica!  
Któż by zgadł, że w nim zamku powitam dziedzica,  
Męża panny Zofiji, mej Wielmożnej Pani!>>

Tu skończyli rozmowę, piją zadumani,  
Słysząc tylko niekiedy te krótkie wyrazy:  
<<Tak, tak, Panie Gerwazy>> - <<Tak, Panie Protazy>>.

Przyzba tykała kuchni, której okna stały  
Otworem i dym jako z pożaru buchały,  
Aż z kłębów dymu, niby biała gołębica,  
Mignęła świecąca się kuchmistrza szlafmyca.  
Wojski przez okno kuchni, ponad starców głowy  
Wytknąwszy głowę, milczkiem słuchał ich rozmowy  
I podał im nareszcie filiżanki spodek  
Pełen biszkoktów, mówiąc: <<Zakaście wasz miodek.  
A ja wam też opowiem historią ciekawą  
Sporu, który miał bitwą zakończyć się krwawą,  
Gdy polujący w głębi Nalibockich lasów  
Rejtan wypłatał sztukę księżęciu Denassów.  
Tej sztuki omal własnym nie przyplacił zdrowiem;  
Jam kłótnię panów zgodził, jak to wam opowiem>>.  
Ale Wojskiego powieść przerwali kucharze  
Pytając, komu serwis ustawiać rozkaże.

Wojski odszedł, a starcy, zaczerpnąwszy miodu,  
Zadumani zwrócili oczy w głąb ogrodu,  
Gdzie ów dorodny ułan rozmawiał z panienką.  
Właśnie ułan ujawszy jej dłoń lewą ręką  
(Prawą miał na temlaku, widać, że był ranny),  
Z takimi odezwał się słowami do panny:

<<Zofijo, musisz to mnie koniecznie powiedzieć,  
Nim zamienim pierścionki, muszę o tym wiedzieć.  
I cóż, że przeszłej zimy byłaś już gotowa  
Dać słowo mnie? Ja wtenczas nie przyjąłem słowa:  
Bo i cóż mi po takim wymuszonym słowie.  
Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie,  
Nie byłem taki próżny, ażebym się łudził,  
Żem jednym mem spojrzeniem miłość w tobie wzbudził;  
Ja nie fanfaron, chciałem mą własną zasługą  
Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.

Teraz jesteś łaskawa tve słowo powtórzyc:  
Czymże na tyle łaski umiałem zasłużyć?  
Może mnie bierzesz, Zosiu, nie tak z przywiązania,  
Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania;  
Ale małżeństwo, Zosiu, jest rzecz wielkiej wagi,  
Radź się serca własnego, niczyjej powagi  
Tu nie słuchaj, ni stryja prósb, ni namów cioci;  
Jeśli nie czujesz dla mnie nic oprócz dobroci,  
Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać,  
Więzić twej woli nie chcę, będziem, Zosiu, czekać.  
Nic nas nie nagli, zwłaszcza że wczora wieczorem  
Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem  
W pułku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę  
I cóż, kochana Zosiu?>>  
Na to Zosia rzecze  
Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nieśmiało:  
<<Nie pamiętam już dobrze, co się dawniej działo,  
Wiem, że wszyscy mówili, iż za mąż iść trzeba  
Za Pana; ja się zawsze zgadzam z wolą Nieba  
I z wolą starszych>>. Potem spuściwszy oczęta  
Dodała: <<Przed odjazdem, jeśli Pan pamięta,  
Kiedy umarł ksiądz Robak w ową burzę nocną,  
Widziałam, że Pan jadąc żałował nas mocno,  
Pan łzy miał w oczach; te łzy, powiem Panu szczerze,  
Wpadły mnie aż do serca; odtąd Panu wierzę,  
Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze  
Za Pana powodzenie, zawsze przed oczami  
Stał Pan z tymi dużymi, błyszczącymi łzami.  
Potem Podkomorzyna do Wilna jeździła,  
Wzięła mię tam na zimę, alem ja tęskniła  
Do Soplicowa i do tego pokoiku,  
Gdzie mnie Pan naprzód w wieczor spotkał przy stoliku,  
Potem pożegnał; nie wiem, skąd pamiętka Pana,  
Coś niby jak rozsada w jesieni zasiana,  
Przez całą zimę w moim sercu się krzewiła,  
Że, jako mówię Panu, - ustawniem tęskniła  
Do tego pokoiku, i coś mi szeptało,  
Że tam znów Pana znajdę, i tak się też stało.  
Mając to w głowie, często też miałam na ustach  
Imię Pana - było to w Wilnie na zapustach;  
Panny mówiły, że ja jestem zakochana:  
Jużci, jeżeli kocham, to już chyba Pana>>.  
Tadeusz, rad z takiego miłości dowodu,  
Wziął ją pod rękę, ścisnął i wyszli z ogrodu  
Do pokoju damskiego, do owej komnaty,  
Kędy Tadeusz mieszkał przed dziesięcią laty.

Teraz bawił tam Rejent, cudnie wystrojony,  
I usługiwał damie, swojej narzeczonej,  
Biegając i podając sygnety, łańcuszki,  
Słoiki i flaszeczki, i proszki, i muszki;  
Wesoł, na pannę młodą patrzył tryumfalnie.  
Panna młoda kończyła robić gotowalnię;  
Siedziała przed zwierciadłem radząc się bóstw wdzięku;  
Pokojowe zaś, jedne z żelazkami w ręku  
Odświeżają nadstygłe warkoczów pierścionki,  
Drugie klęcząc pracują około falbonki.

Gdy się tak Rejent bawi ze swą narzeczoną,  
Kuchcik stuknął doń w okno: kota postrzeżono.  
Kot wykradłszy się z łozy prześmignął po łące  
I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące;  
Tam siedzi, wystraszyć go łącno z rozsadniku  
I uszczuć, postawiwszy charty na przesmyku.  
Bieży Asesor ciągnąc za obróż Sokoła,  
Pośpiesza za nim Rejent i Kusego woła.  
Wojski obu z chartami przy płocie ustawił,  
A sam się z placką muszą do sadu wyprawił,  
Depcąc, świszcząc i klaszcząc, bardzo zwierza trwoży;  
Szczwacze, trzymając każdy charta na obroży,  
Ukazują palcami, skąd zając wyruszy,  
Cmokają z cicha; charty nadstawiły uszy,  
Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie,  
Jak dwie strzały złożone na jednej cięciwie.  
Wtem Wojski krzyknął: <<Wycz-ha!>> Zając smyk z za płotu  
Na łąkę, charty za nim, i wnet bez obrotu  
Sokół i Kusy razem spadli na szaraka  
Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła ptaka,  
I zęby mu jak szpony zatopili w grzbiecie.  
Kot jęknął raz, jak nowo narodzone dziecko.  
Żałośnie! biegą szczwacze: już leży bez ducha,  
A charty mu sierć białą targają spod brzucha.

Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tymczasem  
Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem,  
Oderznął skoki i rzekł: <<Dziś równą odprawę  
Wezmą pieski, bo równą pozyskali sławę,  
Równa ich była rączność, równa była praca;  
Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca,  
Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty;  
Otoż skończony spór wasz długi i zażarty;  
Ja, któregoście sędzią zakładu obrali,  
Wydaję wreszcie wyrok: obaście wygrali,  
Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie,

A wy podpiszcie zgodę>>. - Na starca wezwanie  
Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice  
I długo rozdzielone złączyli prawice.

Wtem rzekł Rejent: <<Stawiłem niegdyś konia z rzędem,  
Opisałem się także przed ziemskim urzędem,  
Iż pierścień mój sędziemu w salarjum złożę;  
Fant, postawiony w zakład, wracać się nie może.  
Pierścień niechaj Pan Wojski na pamiątkę przymie  
I każe na nim wyryć albo swoje imię,  
Lub gdy zechce, herbowne Hreczechów ozdoby;  
Krwawnik jest gładki, złoto jedenastej proby.  
Konia teraz ułani pod jazdę zabrali,  
Rzęd został przy mnie; każdy znawca ten rząd chwali,  
Iż jest wygodny, trwały, a piękny jak cacko:  
Kulbaczka wąska, modą z turecka kozacką,  
Kula na przodzie, w kuli są drogie kamienie,  
Poduszczyk z rubrontu wyściela siedzenie.  
A kiedy na łęk wskoczysz, na tym miękkim puszkę  
Między kulami siedzisz wygodnie jak w łóżku;  
A gdy w galop puścisz się (tu rejent Bolesta,  
Który, jako wiadomo, bardzo lubił gesta,  
Rozstawił nogi, jakby na konia wskakiwał,  
Potem galop udając powoli się kiwał),  
A gdy w galop puścisz się, natenczas z czapraka  
Błask bije, jakby złoto kapalo z rumaka,  
Bo tabenki są gęsto złotem nakrapiane  
I szerokie strzemiona srebrne poślacane;  
Na rzemieniach musztuka i na uździenicy  
Połyskają guziki perłowej macicy,  
U napierśnika wisi księżyc w kształt Leliwy,  
To jest w kształt nowiu. Cały ten sprzęt osobliwy,  
Zdobyty (jak wieść niesie) w boju podhajeckim  
Na jakimś bardzo znacznym szlachcicu tureckim,  
Przyjm, Asesorze, w dowód mojego szacunku>>.

A na to rzekł Asesor, wesół z podarunku:  
<<Ja niegdyś darowane od księcia Sanguszki  
Stawiłem w zakład moje prześliczne obróżki,  
Jaszczurem wykładane, z kolcami ze złota,  
I utkaną z jedwabiu smycz, której robota  
Równie droga jak kamień, co się na niej świeci.  
Chciałem sprzęt ten zostawić w dziedzictwie dla dzieci;  
Dzieci pewnie mieć będą, wiesz, że się dziś żenię;  
Ale ten sprzęt, Rejencie, proszę uniżenie,  
Bądź łaskaw przyjąć w zamian za twój rząd bogaty  
I na pamiątkę sporu, co długimi laty

Toczył się i nareszcie zakończył zaszczytnie  
Dla nas obu. - Niech zgoda między nami kwitnie.>>

Więc wracali do domu oznajmić za stołem,  
Że się skończył spór między Kusym i Sokołem.

Była wieść, że zająca tego Wojski w domu  
Wyhodował i w ogród puścił po kryjomu,  
Ażeby szczerwaczów zgodzić zbyt łatwą zdobyczą.  
Staruszek tak swą sztukę zrobił tajemniczo,  
Że oszukał zupełnie całe Soplicowo.  
Kuchcik w lat kilka później szepnął o tym słowo,  
Chcąc Asesora skłócić z Rejentem na nowo;  
Ale próżno krzywdzące chartów wieści szerzył,  
Wojski zaprzeczył i nikt kuchcie nie uwierzył.

Już goście zgromadzeni w wielkiej zamku sali,  
Czekając uczty wkoło stołu rozmawiali,  
Gdy pan Sędzia w mundurze wojewódzkim wchodzi  
I pana Tadeusza z Zofiją przywodzi.  
Tadeusz, lewą dłonią dotykając głowy,  
Pozdrowił swych dowódców przez ukłon wojskowy.  
Zofija z opuszczonym ku ziemi wejrzeniem  
Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem  
Od Telimeny pięknie dygać wyuczona).  
Miała wianek na głowie jako narzeczona,  
Zresztą ubior ten samy, w jakim dziś w kaplicy  
Składała snop wiosenny dla Boga Rodzicy.  
Uzęła znów dla gości nowy snopek ziela;  
Jedną ręką zeń kwiaty i trawy różdziela,  
Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie;  
Brali ziółka, całując jej ręce, wodzowie;  
Zosia znowu dygała w kolej zapłoniona.  
Wtem generał Kniaziewicz wziął ją za ramiona  
I złożywszy ojcowski całus na jej czole,  
Podniósł w górę dziewczynę, postawił na stole,  
A wszyscy klaszcząc w dłonie zawołali: <<Brawo!>>  
Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,  
A szczególnie jej strojem litewskim, prostaczym;  
Bo dla tych wodzów, którzy w swym życiu tułaczym  
Tak długo błąkali się w obcych stronach świata,  
Dziwne miała powaby narodowa szata,  
Która im wspominała i młode ich lata,  
I dawne ich miłostki; więc ze łzami prawie  
Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.  
Ci proszą, aby Zosia wzniosła nieco czoło  
I oczy pokazała; ci, ażeby w koło

Raczyła się obrócić - dziewczyna wstydliva  
Obraca się, lecz oczy rękami zakrywa.  
Tadeusz patrzył wesoł i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiej sukience,  
Czy instynktem wiedziała (bo dziewczyna zgadnie  
Zawsze instynktem, co jej do twarzy przypadnie),  
Dosyć, że Zosia pierwszy raz w życiu dziś z rana  
Była od Telimeny za upor łajana,  
Nie chcąc modnego stroju, aż wymogła płaczem,  
Że ją tak zostawiono, w ubraniu prostaczem.

Spodniczkę miała długą, białą; suknię krótką  
Z zielonego kamlotu z różową obwódka;  
Gorset także zielony, różowymi wstęgi  
Od łona aż do szyi sznurowany w pręgi;  
Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.  
Od ramion świecą białe rękawy koszuli,  
Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,  
U dłoni skarbowane i wstążką opięte;  
Szyja także koszulką obciśniona wąską,  
Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiązką;  
Zauszniczki wyrżnięte sztucznie z pestek wiszni,  
Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni  
Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem,  
Dane dla Zosi, gdy Sak był jej zalotnikiem);  
Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,  
Na skroniach zielonego wianek rozmarynu,  
Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,  
A na czoło włożyła zwyczajem żniwiarki  
Sierp krzywy, świeżym żęciem traw oszlifowany,  
Jasny jak nów miesięczny nad czołem Dyjany.

Wszyscy chwalą, klaskają. Jeden z oficerów  
Dobył z kieszeni portefeuille z plikami papierów,  
Rozłożył je, ołówek przyciął, w ustach zmoczył,  
Patrzy w Zosię, rysuje. Ledwie Sędzia zoczył  
Papiery i ołówki, poznał rysownika,  
Choć go bardzo odmienił mundur pułkownika,  
Bogate szlify, mina prawdziwie ułańska  
I wąsik poczerniony, i bródka hiszpańska.  
Sędzia poznał: <<Jak się masz, mój Jaśnie Wielmożny  
Hrabio, i w ładownicy masz twój sprzęt podróżny  
Do malarstwa!>> - W istocie był to Hrabia młody,  
Niedawny żołnierz, lecz że wielkie miał dochody  
I swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił,  
I w pierwszej zaraz bitwie wybornie się sprawił,

Cesarz go pułkownikiem dziś właśnie mianował:  
Więc Sędzia witał Hrabiego i rangi winszował,  
Ale Hrabia nie słuchał, a pilnie rysował.  
Tymczasem weszła druga para narzeczona:  
Asesor, niegdyś cara, dziś Napoleona  
Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komendzie,  
A choć ledwie dwadzieście godzin był w urzędzie,  
Już włożył mundur siny z polskimi wyłogi  
I ciągnął krzywą szablę, i dzwonił w ostrogi.  
Obok poważnym krokiem szła jego kochanka,  
Ubrana bardzo strojnie, Tekla Hreczeszanka;  
Bo Asesor już dawno Telimenę rzucił  
I aby tę kokietkę tym mocniej zasmucił,  
Ku Wojszczance afekty serdeczne obrócił.  
Panna nie nadto młoda, już pono półwieczna,  
Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna  
I posażna, bo oprócz swej dziedzicznej wioski  
Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski.

Trzeciej pary daremnie czekają czas długi.  
Sędzia niecierpliwi się i wysyła sługi;  
Wracają: powiadają, że trzeci małżonek,  
Pan Rejent, szcując kota, zgubił swój pierścionek  
Ślubny, szuka na łące; a Rejenta dama  
Jeszcze u gotowalni, choć śpieszy się sama  
I choć jej pomagają służebne kobiety,  
Nie mogła w żaden sposób skończyć toalety:  
Ledwie będzie gotowa na godzinę czwartą.



## Księga XII: Kochajmy się!

Na koniec z trzaskiem sali drzwi na wściąg otwarto.  
Wchodzi pan Wojski w czapce i z głową zadartą,  
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze,  
Bo Wojski występuje w nowym charakterze  
Marszałka dworu; laskę ma na znak urzędu  
I tą laską z kolei, jako mistrz obrzędu,  
Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.  
Naprzód, jako najpierwsza województwa władza,  
Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne,  
Ze słoniowym poręczem krzesło aksamitne;  
Obok na prawej stronie generał Dąbrowski,  
Na lewej siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski.  
Śród nich Podkomorzyna, dalej inne panie,  
Oficerowie, pany, szlachta i ziemianie,  
Mężczyźni i kobiety na przemian po parze,  
Usiadają porządkiem, gdzie Wojski ukaże.

Pan Sędzia skłoniwszy się opuścił biesiadę;  
On na dziedzińcu włościan traktował gromadę,  
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim,  
Sam siadł na jednym końcu, a pleban na drugim.  
Tadeusz i Zofija do stołu nie siedli,  
Zajęci częstowaniem włościan, chodząc jedli.  
Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi  
Na pierwszej uczcie sami służyli ludowi.

Tymczasem goście, potraw czekający w sali,  
Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,  
Którego równie drogi kruszec jak robota.  
Jest podanie, że ksiązę Radziwiłł-Sierota  
Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić  
I wedle własnych planów po polsku ozdobić.

Serwis, potem zabrany czasu wojny szwedzkiej,  
Przeszedł, nie wiedzieć jaką drogą, w dom szlachecki;  
Dziś ze skarbca dobyte zajął środek stoła  
Ogromnym kręgiem na kształt karetnego koła.  
Serwis ten był nalany ode dna po brzegi  
Piankami i cukrami białymi jak śniegi,  
Udawał przewybornie krajobraz zimowy;  
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,  
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,  
Okryte zamiast śronu cukrowymi pianki;  
Na krawędziach naczyń, stoją dla ozdoby  
Niewielkie z porcelany wydęte osoby

W polskich strojach; jakoby aktory na scenie,  
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;  
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,  
Tylko głosu im braknie, zresztą gdyby żywe.

Cóż przedstawiają? goście pytali ciekawi,  
Za czym Wojski podnosi łaskę i tak prawi  
(Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem):  
"Za mych Wielce Mościwych Panów pozwoleniem  
Te persony, których tu widzicie bez liku,  
Przedstawiają polskiego historią sejmiku,  
Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie;  
Sam tę scenę odgadłem i Państwu objaśnię.

"Oto na prawo widać liczne szlachty grono:  
Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono,  
Czeka nakryty stół; nikt gości nie sadza,  
Stoją kupkami, każda kupka się naradza.  
Patrzcie, iż w każdej kupce stoi w środku człowiek,  
Z którego ust otwartych, z podniesionych powiek,  
Rąk niespokojnych, widać - mówca, coś tłumaczy,  
I palcem eksplikuje, i na dłoni znaczy.  
Ci mówcy zalecają swoich kandydatów  
Z różnym skutkiem, jak widać z miny szlachty bratów.

"Wprawdzie tam w drugiej kupie szlachta pilnie słucha,  
Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,  
Ów dłoń przy uchu trzyma i milczkiem wąs kręci,  
Zapewne słowa zbiera i niżej w pamięci;  
Cieszy się mówca widząc, że są nawróceni,  
Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.

"Lecz za to w trzecim gronie dzieje się inaczej:  
Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy,  
Patrzcie, wrywają się i cofają uszy;  
Patrzcie, jako ten słuchacz od gniewu się puszy,  
Wzniósł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,  
Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika;  
Ten drugi, pochylwszy czoło na kształt byka,  
Powiedziałbyś, że mówcę pochwyci na rogi;  
Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

"Jeden między kupkami szlachcie cichy stoi,  
Widać, że człek bezstronny, waha się i boi,  
Za kim dać kreskę? nie wie i sam z sobą w walce,  
Pyta losu, wzniosł ręce, wytknął wielkie palce,  
Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy,

Widać, że kreskę swoją kabale powierzy:  
Jeśli palce trafią się, da afirmatywę,  
A jeżeli się chybią, rzuci negatywę.

"Na lewej druga scena: refektarz klasztoru  
Obrócony na salę szlacheckiego zboru.  
Starsi rzędem na ławach siedzą, młodszy stają  
I ciekawi przez głowy w środek zagląдают;  
W środku marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,  
Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma,  
Właśnie wytrząsł ostatnią; woźni ręce wznoszą  
I imię obranego urzędnika głoszą.

"Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa,  
Patrz, wytknął głowę oknem z kuchni refektarza,  
Patrz, jak oczy wytrzeszczył, jak pogląda śmiało,  
Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;  
Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: "Veto!"  
Patrzcie, jak za tą nagłą do kłótni podniętą  
Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię;  
Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.

"Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie  
Tego starego księdza, co idzie w ornacie,  
To przeor, Sanktissimum z ołtarza wynosi,  
A chłopiec w komży dzwoni i na ustąp prosi;  
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,  
A ksiądz tam się obraca, gdzie jeszcze broń szczęka;  
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

"Ach! wy nie pamiętacie tego, Państwo młodzi!  
Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,  
Zbrojnej, nie trzeba było policji żadnej;  
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,  
Była wolność z porządkiem i z dostatkiem sława!  
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,  
Policyjantów różnych, żandarmów, konstabów;  
Ale jeśli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,  
Żeby w tych krajach była wolność - nie uwierzę".

Wtem dzwoniąc w tabakierę rzekł pan Podkomorzy:  
"Panie Wojski, niech Wasze na potem odłoży  
Te historyje; prawda, że sejmik ciekawy,  
Ale my głodni, każ Wać przynosić potrawy".

Na to Wojski skłaniając aż do ziemi łaskę:  
"Jaśnie Wielmożny Panie, zróbże mi tę łaskę,

Zaraz dokończę scenę ostatnią sejmików;  
Oto nowy marszałek na ręku stronników  
Wyniesion z refektarza, patrz, jak szlachta braty  
Rzucają czapki, usta otwarli, - wiwaty!  
A tam po drugiej stronie pan przekreskowany,  
Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany,  
Żona przed domem czeka, zgadła, co się dzieje,  
Biedna! oto na ręku pokojowej mdleje,  
Biedna! Jaśnie Wielmożnej tytuł przybrać miała,  
A znów tylko Wielmożną na lat trzy została!"

Tu Wojski skończył opis i laską znak daje,  
I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje  
Roznoszący potrawy: barszcz królewskim zwany  
I rosół staropolski sztucznie gotowany,  
Do którego pan Wojski z dziwnymi sekrety  
Wrzucił kilka perełek i sztukę monety,  
Taki rosół krew czyści i pokrzepia zdrowie.  
Dalej inne potrawy, a któż je wypowie!  
Kto zrozumie nie znane już za naszych czasów  
Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,  
Z ingrediencyjami pomuchł, figatelów,  
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunelów;  
Owe ryby! łososie suche, dunajeckie,  
Wyżyny, kawijary weneckie, tureckie,  
Szczuki główne i szczuki podgłówne, łokietne,  
Flądry i karpie ćwiki, i karpie szlachetne!  
W końcu sekret kucharski: ryba nie krojona,  
U głowy przysmażona, we środku pieczona,  
A mająca potrawkę z sosem u ogona.

Goście ani pytali nazwiska potrawy,  
Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy,  
Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,  
Kieliszki napełniając węgrzynem obfitym.

Ale tymczasem wielki serwis barwę zmienił  
I odarty ze śniegu już się zazielenił,  
Bo lekka, ciepłem letnim powoli rozgrzana  
Roztopiła się lodu cukrowego piana  
I dno odkryła, dotąd zatajone oku;  
Więc krajobraz przedstawił nową porę roku,  
Zabłyśnąwszy zieloną, różnofarbną wiosną.  
Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosną,

Pszenicy szafranowej buja kłos złocisty,  
Żyto ubrane w srebra malarskiego listy

I gryka wyrabiana sztucznie z czekolady,  
I kwitnące gruszkami i jabłkami sady.

Ledwie mają czas goście darów lata użyć,  
Darmo proszą Wojskiego, żeby je przedłużyć,  
Już serwis, jak planeta koniecznym obrotem,  
Zmienia porę, już zboża malowane złotem,  
Nabrawszy ciepła w izbie powoli topnieją,  
Już trawy pożółkniały, liście czerwienieją,  
Sypią się, rzekłbyś, iż wiatr jesienny powiewa;  
Na koniec owe chwilę przedtem strojne drzewa,  
Teraz, jakby odarte od wichrów i sronu,  
Stoją nagie; były to laski cynamonu  
Lub udające sosnę gałązki wawrzynu,  
Odziane zamiast kolców ziarenkami kminu.

Goście pijący wino zaczęli gałązki,  
Pnie i korzenie zrywać i gryźć dla zakąski.  
Wojski obchodził serwis i, pełen radości,  
Tryumfujące oczy obracał na gości.

Henryk Dąbrowski udał wielkie zadziwienie  
I rzekł: "Mój Panie Wojski, czy to chińskie cienie?  
Czy to Pinety Panu dał w służbę swe bisy?  
Czy dotąd u was w Litwie są takie serwisy  
I wszyscy takim starym uczują zwyczajem?  
Powiedz mi, bo ja życie strawiłem za krajem".

Wojski rzekł kłaniając się: "Nie, Jaśnie Wielmożny  
Jenerale, nie jest to żaden kunszt bezbożny!  
Jest to pamiątka tylko owych biesiad sławnych,  
Które dawano w domach panów starodawnych,  
Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!  
Com zrobił, tom wyczytał z tej tu oto księgi.  
Pytasz, czy wszędzie w Litwie ten się zwyczaj chowa?  
Niestety! już i do nas włązi moda nowa.  
Niejeden panicz krzyczy, że nie cierpi zbytków,  
Je jak Żyd, skąpi gościom potraw i napitków,  
Węgrzyna pożałuje, a pije szatańskie  
Fałszywe wino modne, moskiewskie, szampańskie;  
Potem w wieczor na karty tyle złota straci,  
Że za nie dałbyś ucztę na stu szlachty braci.  
Nawet (bo co na sercu mam, dziś powiem szczerze,  
Niech tego Podkomorzy za złe mi nie bierze),  
Kiedym ten serwis cudny ze skarbca dobywał,  
To nawet Podkomorzy, i on mnie przedrwiwał!  
Mówiąc, że to machina zmudna, staroświecka,

Że to ma pozor niby zabawki dla dziecka,  
Nieprzyzwoitej dla tak znakomitych ludzi!  
Sędzio! i Sędzia mówił, że to gości znudzi!  
A przecież, ile wnoszę z Panów zadziwienia,  
Widzę, iż ten kunszt piękny godzien był widzenia!  
Nie wiem, czy się podobna okazyja zdarzy  
Częstować w Soplicowie takich dygnitarzy.  
Widzę, że Pan Jenerał na biesiadach zna się,  
Niechaj przyjmie tę książkę, ona Panu zda się,  
Gdy będziesz dla monarchów zagranicznych grona  
Dawał ucztę, ba, nawet dla Napoleona.  
Ale pozwól, nim księgę tę Panu poświęcę,  
Niech powiem, jakim trafem wpadła w moje ręce".

Wtem szmer powstał za drzwiami, razem głosów wiele  
Zawołało: "Niech żyje Kurek na kościele!"  
Ciżba tłoczy się w salę, a Maciej na czele.  
Sędzia gościa za rękę do stołu prowadził  
I wysoko pomiędzy wodzami posadził  
Mówiąc: "Panie Macieju, niedobry sąsiedzie,  
Przyjeżdżasz bardzo późno, prawie po obiedzie".  
"Jem wcześniej, rzekł Dobrzyński, ja tu nie dla jadła  
Przybyłem, tylko że mnie ciekawość napadła  
Obejrzeć z bliska naszą armię narodową.  
Wiele by gadać - jest to ani to, ni owo!  
Szlachta mnie obaczyła i gwałtem tu wiedzie,  
A Waszeć za stół sadzasz - dziękuję, sąsiedzie".  
To wyrzekłszy przewrócił talerz dnem do góry  
Na znak, że jeść nie będzie, i milczał ponury.

"Panie Dobrzyński, rzekł mu jenerał Dąbrowski,  
Tyż to jesteś ów sławny rębacz Kościuszkowski,  
Ów Maciej, zwany Różga! znam ciebie ze sławy.  
I proszę, takiś dotąd czerstwy, taki żwawy!  
Ileż to lat minęło! Patrz, jam się podstarzał,  
Patrz, i Kniaziewiczowi już się włos poszarzał,  
A ty jeszcze z młodszymi mógłbyś pójść w zapasy.  
I Różga twoja kwitnie pono jak przed czasy;  
Słyszałem, żeś niedawno Moskalów oćwicył.  
Lecz gdzie są bracia twoi? Nieźmiernie bym życzył  
Widzieć te Sczoryki i te wasze Brzytwy,  
Ostatnie egzemplarze starodawnej Litwy".

"Jenerale, rzekł Sędzia, po owym zwycięstwie  
Prawie wszyscy Dobrzyńscy schronili się w Księżstwie;  
Zapewne do którego weszli legijonu".  
"W istocie, odpowiedział młody szef szwadronu,

Mam w drugiej kompaniji wąsate straszdyło,  
Wachmistrza Dobrzyńskiego, co się zwie Kropidło,  
A Mazury zowią go litewskim niedźwiedziem.  
Jeśli Jenerał każe, to go tu przywiedziem".  
"Jest, rzekł porucznik, kilku innych rodem z Litwy,  
Jeden żołnierz znajomy pod imieniem Brzytwy  
I drugi, co z tromblonem jeździ na flankiery;  
Są także w pułku strzelców dwa grenadyjery  
Dobrzyńscy".  
"Ale, ale, o ich naczelniku,  
Rzekł Jenerał, chcę wiedzieć o tym Scyzoryku,  
O którym mnie Pan Wojski tyle prawił cudów,  
Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów".  
"Scyzoryk, rzeczce Wojski, choć nie egzulował,  
Ale bojąc się śledztwa, przed Moskwą się schował,  
Całą zimę nieborak tułał się po lasach,  
Teraz dopiero wyszedł; w tych wojennych czasach  
Mógłby się na co przydać, jest rycerskim człekiem,  
Szkoda tylko, że trochę przyciśniony wiekiem.  
Lecz owoż on!..." Tu Wojski palcem wskazał w sieni,  
Gdzie czeladź i wieśniacy stali natłoczeni,  
A nad wszystkich głowami łysina błyszcząca  
Ukazała się nagle jak pełnia miesiąca,  
Trzykroć weszła i trzykroć znikła w głów obłoku;  
Klucznik idąc kłaniał się, aż dobył się z tłoku,  
I rzekł:  
"Jaśnie Wielmożny Koronny Hetmanie  
Czy Jenerale, mniejsza o tytułowanie,  
Jam jest Rębajło, staję na tve zawołanie  
Z tym moim Scyzorykiem, który nie z oprawy  
Ani z napisów, ale z hartu nabył sławy,  
Że nawet o nim Jaśnie Wielmożny Pan wiedział  
Gdyby on gadać umiał, może by powiedział  
Cokolwiek na pochwałę i tej starej ręki,  
Która służyła długo, wiernie, Bogu dzięki,  
Ojczyźnie tudzież panów Horeszków rodzinie,  
Czego pamięć dotychczas między ludźmi słynie.  
Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy  
Tak zręcznie temperuje pióra, jak on głowy;  
Długo liczyć! A nosów i uszu bez liku!  
A nie ma żadnej szczyrby na tym Scyzoryku  
I żaden go nie splamił zbojecki uczynek;  
Tylko otwarta wojna albo pojedynek.  
Raz tylko! Panie, daj mu wieczny odpoczynek,  
Bezbronnego człowieka, niestety, sprzątniono!  
A i to, Bóg mi świadkiem, pro publico bono".

"Pokaż no, rzekł śmiejąc się generał Dąbrowski,  
A to piękny scyzoryk, istny miecz katowski!"  
I z zadziwieniem wielki rapier opatrywał,  
I innym oficerom w kolej pokazywał;  
Probowali go wszyscy, ale ledwie który  
Z oficerów mógł podnieść ten rapier do góry.  
Mówiono, że Dembiński, sławny ręki siłą,  
Podźwignąłby szablicę, lecz go tam nie było.  
Z obecnych zaś tylko szef szwadronu Dwernicki  
I dowódca plutonu, porucznik Różycki,  
Potrafili obracać tym żelaznym drągiem;  
I tak rapier na próbę szedł z rąk do rąk ciągiem.

Lecz generał Kniaziewicz, wzrostem najślusniejszy,  
Pokazało się, iż był w ręku najsilniejszy;  
Ujawszy rapier, lekko jakby szpadę dźwignął  
I nad głowami gości błyskawicą mignął,  
Przypominając polskie fechtarskie wykrety:  
Krzyżową sztukę, młyńca, cios krzywy, raz cięty,  
Cios kradziony i tempy kontrpunktów, tercetów,  
Które też umiał, bo był ze Szkoły Kadetów.

Gdy śmiejąc się fechtował, Rębajło już klęczał,  
Objął go za kolana i ze łzami jęczał  
Za każdym zwrotem miecza: "Pięknie! Jenerale,  
Czyś był konfederatem? pięknie, doskonale!  
To sztych Pułaskich! tak się Dzierżanowski składał,  
To sztych Sawy! Któż Panu tak rękę układał,  
Chyba Maciej Dobrzyński! A to? Jenerale,  
Mój wynalazek, dalbóg mój, ja się nie chwale,  
To cięcie znane tylko w Rębajłów zaścianku,  
Od mojego imienia zwane cios mopanku;  
Któż to Pana nauczył? to jest moje cięcie,  
Moje!" - Wstał, Jenerała porwawszy w objęcie.  
"Teraz umrę spokojny! jest przecie na świecie  
Człowiek, który przytuli moje drogie dziecię;  
Bo wszak nad tym od dawna dzień i noc boleję,  
Czy po śmierci ten rapier mój nie zerdzewieje!  
Otoż nie zerdzewieje! Mój Jaśnie Wielmożny  
Jenerale, wybac mi, porzućcie te rożny,  
Niemieckie szpadki, to wstyd szlacheckiemu dziecku  
Nosić ten kijek; weźmij szabłę po szlachecku!  
Oto ten mój Scyzoryk u nóg Twoich składam,  
To jest, co najdroższego na świecie posiadam,  
Nie miałem nigdy żony, nie miałem dziecięcia,  
On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia  
Nigdy on nie wychodził; od rana do mroku



Pieściłem go, on w nocy sypiał przy mym boku!  
A kiedym się zestarzał, nad łóżkiem na ścianie  
Wisiał, jako nad Żydem Boże przykazanie!  
Myślałem zakopać go razem z ręką w grobie,  
Lecz znalazłem dziedzica. - Niechaj służy Tobie!"

Jenerał wpół śmiejąc się, a na wpół wzruszony:  
"Kolego, rzekł, jeżeli ustąpisz mnie żony  
I dziecka, to zostaniesz przez resztę żywota  
Bardzo samotny, stary, wdowiec i sierota!  
Powiedz, czym ci ten drogi dar mam wynagrodzić  
I czym twoje sieroctwo i wdowstwo osłodzić?"  
"Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,  
Co żonę przegrał, grając w mariasza z Moskalem,  
Jak o tym pieśń powiada. - Ja mam dosyć na tem,  
Że mój Scyzoryk jeszcze zabłyśnie przed światem  
W takim ręku! - Niech tylko Jenerał pamięta,  
Aby tasiemka była długa, rozciągnięta,  
Bo to długie; a zawsze od lewego ucha  
Ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha".

Jenerał wziął Scyzoryk, lecz że bardzo długi,  
Nie mógł nosić, w furgonie schowały go sługi.  
Co się z nim stało, różnie powiadają o tem,  
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem.

Dąbrowski rzekł do Maćka: "A ty co, Kolego?  
Zdaje się, żeś ty nierad z przybycia naszego?  
Milczysz kwaśny? i jakże, serce ci nie skacze,  
Gdy widzisz orły złote, srebrne? gdy trębacze  
Pobudkę Kościuszkowską trąbią ci nad uchem?  
Maćku! myślałem, że ty większym jesteś zuchem;  
Jeśli szabli nie weźmiesz i na koń nie sidziesz,  
Przynajmniej z kolegami wesoło pić będziesz  
Zdrowie Napoleona i Polski nadzieje!"

"Ha! rzekł Maciej, słyszałem, widzę, co się dzieje!  
Ale, Panie, dwóch orłów razem się nie gnieździ!  
Łaska pańska, Hetmanie, na pstrym koniu jeździ!  
Cesarz wielki bohater! gadać o tym wiele!  
Pamiętam, że Pułascy, moi przyjaciele,  
Mawiali pogładając na Dymuryjera,  
Że dla Polski polskiego trzeba bohatera,  
Nie Francuza ani też Włocha, ale Piasta.  
Jana albo Józefa, lub Maćka - i basta.  
Wojsko! mówią, że polskie! lecz te fizyliery,  
Sapery, grenadiery i kanonijery!"

Więcej słyhać niemieckich tytułów w tym tłumie  
Niżeli narodowych! Kto to już zrozumie!  
A muszą też być z wami Turki czy Tartary,  
Czy syzmatyki, co ni Boga, ani wiary:  
Sam widziałem, kobiety w wioskach napastują,  
Przechodniów odzierają, kościoły rabują!  
Cesarz idzie do Moskwy! daleka to droga,  
Jeśli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga!  
Słyszałem, że już podpadł pod klątwy biskupie;  
Wszystko to jest..." Tu Maciej chleb umoczył w supie  
I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Nie w smak Podkomorzemu poszła Maćka mowa,  
Młodzież zaczęła szemrać; Sędzia przerwał swary  
Głosząc przybycie trzeciej narzeczonej pary.

Był to Rejent, sam siebie Rejentem ogłosił,  
Nikt go nie poznał; dotąd polskie suknie nosił,  
Lecz teraz Telimena, przyszła żona, zmusza  
Warunkiem intercyzy wyrzec się kontusza;  
Więc się Rejent rad nierad po francusku przebrał.  
Widno, że mu frak duszy połowę odebrał,  
Stąpa, jakby kij połknął, prosto, nieruchawo,  
Jak żuraw; nie śmie spojrzeć ni w lewo, ni w prawo;  
Mina gęsta, lecz z miny widać, że jest w męce,  
Nie wie, jak się pokłonić, gdzie ma podziać ręce,  
On, co tak gesty lubił! ręce za pas sadził -  
Nie masz pasa - tylko się po żołądku gładził;  
Postrzegł omyłkę; bardzo zmięszał się, spiekł raka  
I ręce obie schował w jedną kieszeń fraka.  
Idzie jakby przez różgi wśród szeptów i drwinek,  
Wstydząc się za frak, jakby za niecny uczynek;  
Aż spotkał oczy Maćka i zadrzał z bojaźni.

Maciej dotąd z Rejentem żył w wielkiej przyjaźni,  
Teraz wzrok nań obrócił tak ostry i dziki,  
Że Rejent zbladnął, zaczął zapinać guziki,  
Myśląc, że Maciej wzrokiem suknie z niego złupi;  
Dobrzyński tylko dwakroć wyrzekł głośno: "Głupi!"  
I tak strasznie zgorszył się z Rejenta przebrania,  
Że zaraz wstał od stołu i bez pożegnania  
Wymknąwszy się, wsiadł na koń, wrócił do zaścianka.

A tymczasem Rejenta nadobna kochanka,  
Telimena, roztacza blaski swej urody  
I ubior od stóp do głów co najświeższej mody.  
Jaką miała sukienkę, jaki strój na głowie,

Daremnie pisać, pióro tego nie wypowie,  
Chyba pędzel by skreślił te tiule, ptyfenie,  
Blondyny, kaszemiry, perły i kamienie,  
I oblicze różane, i żywe wejrzenie.

Poznał ją zaraz Hrabia, z zadziwienia blady  
Wstał od stołu i szukał koło siebie szpady:  
"I tyżeś to! zawołał, czy mnie oczy ludzą?  
Ty? w obecności mojej? ściskasz rękę cudzą?  
O niewierna istoto, o duszo zmiennicza!  
I nie skryjesz ze wstydu pod ziemię oblicza?  
Takeś twojej tak świeżej niepomna przysięgi?  
O łatwowierny! po cóż nosilem te wstęgi!  
Lecz biada rywalowi, co mię tak znieważa!  
Po moim chyba trupie pójdzie do ołtarza!"

Goście powstali, Rejent okropnie się zmieszał,  
Podkomorzy rywalów zagodzić pośpieszał;  
Lecz Telimena wzięwszy Hrabiego na stronę:  
"Jeszcze, szepnęła, Rejent nie wziął mię za żonę,  
Jeżeli Pan przeszkadzasz, odpowiedź na to,  
A odpowiedz mi zaraz, krótko, węzłowato:  
Czy mnie kochasz, czyś dotąd serca nie odmienił,  
Czyś gotów, żebyś ze mną zaraz się ożenił,  
Zaraz, dziś? - jeśli zechcesz, odstąpię Rejenta".  
Hrabia rzekł: "O kobieto dla mnie niepojęta!  
Dawniej w uczuciach twoich byłaś poetyczną,  
A teraz mi się zdajesz całkiem prozaiczną;  
Cóż są wasze małżeństwa, jeśli nie łańcuchy,  
Które związują tylko ręce, a nie duchy?  
Wierzaj, są oświadczenia, nawet bez wyznania,  
Są obowiązki nawet bez obowiązania!  
Dwa serca, pałające na dwóch końcach ziemi,  
Rozmawiają jak gwiazdy promieńmi drżącemi;  
Kto wie! może dlatego ziemia tak do słońca  
Dąży i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,  
Że wiecznie patrzą na się i najkrótszą drogą  
Biegą do siebie! ale zbliżyć się nie mogą!"  
"Dość już tego, przerwała, nie jestem planetą  
Z łaski Bożej, dość, Hrabio, ja jestem kobietą,  
Już wiem resztę, przestań mi pleść ni to, ni owo.  
Teraz ostrzegam, jeśli piśniesz jedno słowo,  
Ażeby ślub mój zerwać, to jak Bóg na niebie,  
Że z tymi paznokciami przyskoczę do ciebie  
I..." - "Nie będę, rzekł Hrabia, szczęścia Pani kłócić!"  
I oczy pełne smutku i wzdargy odwrócił,  
I ażeby ukarać niewierną kochankę,

Za przedmiot stałych ogniów wziął Podkomorzanę.

Wojski pragnął młodzieńców poróżnionych zgodzić  
Przykładami mądrymi, więc zaczął wywodzić  
Historję o dziku Nalibockich lasów  
I o kłótni Rejtana z księżciem Denassów,  
Ale goście tymczasem skończyli jeść lody  
I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

Tam włość już kończy ucztę, krążą miodu dzbany,  
Muzyka już się stroi i wzywa na tany;  
Szukają Tadeusza, który stał na stronie  
I coś pilnego szeptał swojej przyszłej żonie.

"Zofijo! muszę cię w bardzo ważnej rzeczy  
Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy.  
Wiesz, iż znaczna część wiosek, które mam posiadać,  
Wedle prawa na cię powinna by spadać.  
A chłopci nie są moi, lecz twoi poddani,  
Nie śmiałbym ich urządzić bez woli ich pani.  
Teraz, kiedy już mamy Ojczyznę kochaną,  
Czyliż wieśniacy zyszczą z tą szczęśliwą zmianą  
Tyle tylko, że pana innego dostaną?  
Prawda, że byli dotąd rządzeni łaskawie,  
Lecz po mej śmierci Bóg wie komu ich zostawię;  
Jestem żołnierz, jesteście śmiertelni oboje,  
Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję,  
Bezpieczniej zrobię, kiedy władzy się wyrzekę  
I oddam los włościanów pod prawa opiekę.  
Sami wolni, uczynimy i włościan wolnemi,  
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,  
Na której się zrodzili, którą krwawą pracą  
Zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą.  
Lecz muszę cię ostrzec, że tych ziem nadanie  
Zmniejszy nasz dochód, w miernym musimy żyć stanie.  
Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu,  
Lecz ty, Zofijo, jesteś z wysokiego rodu,  
W stolicy przepędziłaś twoje młode lata,  
Czyż zgodzisz się żyć na wsi? z daleka od świata!  
Jak ziemianka!"

A na to Zosia rzekła skromnie:

"Jestem kobietą, rzędy nie należą do mnie,  
Wszakże Pan będziesz mężem; ja do rady młoda,  
Co Pan urządzisz, na to całym sercem zgoda!  
Jeśli włość uwalniając zostaniesz uboższy,  
To, Tadeuszu, będziesz sercu memu droższy.  
O moim rodzie mało wiem i nie dbam o to;

Tyle pomnę, że byłam ubogą, sierotą,  
Ze od Sopliców byłam za córkę przybrana,  
W ich domu hodowana i za mąż wydana.  
Wsi nie lękam się; jeśli w wielkim mieście żyłam,  
To dawno; zapomniałam, wieś zawsze lubiałam;  
I wierz mi, że mnie moje kogutki i kurki  
Więcej bawiły niżli owe Peterburki;  
Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi,  
To z dzieciństwa; wiem teraz, że mnie miasto nudzi;  
Przekonałam się zimą po krótkim pobycie  
W Wilnie, że ja na wiejskie urodzona życie;  
Pośród zabaw tęskniłam znów do Soplicowa.  
Pracy też nie lękam się, bom młoda i zdrowa,  
Umiem chodzić około domu, nosić klucze;  
Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!"

Gdy Zosia domawiała ostatnie wyrazy,  
Podszedł ku niej zdziwiony i kwaśny Gerwazy:  
"Już wiem! rzekł, Sędzia mówił już o tej wolności!  
Lecz nie pojmuję, co to ściąga się do włości!  
Boję się, żeby to coś nie było z niemiecka!  
Wszak wolność nie jest chłopska rzecz, ale szlachecka!  
Prawda, że się wywodzim wszyscy od Adama,  
Ale słyszał, że chłopci pochodzą od Chama,  
Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema,  
A więc panujem jako starsi nad obiema.  
Jużci pleban inaczej uczy na ambonie...  
Powiada, że to było tak w Starym Zakonie,  
Ale skoro Chrystus Pan, choć z królów pochodził,  
Między Żydami w chłopskiej stajni się urodził,  
Odtąd więc wszystkie stany porównał i zgodził;  
Niech i tak będzie, kiedy inaczej nie można!  
Zwłaszcza że, jako słyszę, i Jaśnie Wielmożna  
Pani moja Zofija na wszystko się zgadza;  
Jej rozkazać, mnie słuchać, jużci przy niej władza.  
Tylko ostrzegam, byśmy wolności nie dali  
Pustej i słownej tylko, jako za Moskali,  
Kiedy pan Karp nieboszczyk włością wyswobodził,  
A Moskal ich podatkiem potrójnym ogłodził.  
Radzę więc, aby chłopów starym obyczajem  
Uszlachcić i ogłosić, że im herb nasz dajem.  
Pani udzieli jednym wioskom Półkozica,  
Drugim niech swą Leliwę nada Pan Soplica.  
Natenczas i Rębajło uzna chłopa równym,  
Gdy go ujrzy szlachcicem wielmożnym, herbownym.  
Sejm potwierdzi.  
"A niech się mąż Pani nie trwoży,

Iż oddanie ziem Państwo tak bardzo zuboży;  
Nie da Bóg, abym ręczki córy dygnitarskiej  
Widział umozolone w pracy gospodarskiej.  
Jest na to sposób; - w zamku wiem ja pewną skrzynię,  
W której jest Horeszkowskie stołowe naczynie,  
Przy tym różne sygnety, kanaki, manele,  
Kity bogate, rzędy, cudne karabele,  
Skarbczyk Stolnika, w ziemi skryty od grabieży;  
Pani Zofiji jako dziedzicze należy;  
Pilnowałem go w zamku jako oka w głowie,  
Od Moskalów i od was, Państwo Soplicowie.  
Mam także spory worek mych własnych talarów,  
Uzbieranych z wysługi tudzież z pańskich darów,  
Myślałem, gdy nam zamek wróconym zostanie,  
Obrócić grosz na murów wyreperowanie;  
Nowemu gospodarstwu dziś zda się w potrzebie; -  
A więc, Panie Soplico, wnoszę się do ciebie,  
Będę żył u mej Pani na łaskawym chlebie  
I kołyszac Horeszków pokolenie trzecie,  
Wprawiać do Scyzoryka Pani mojej dziecię,  
Jeśli syn, a syn będzie, bo wojny nadchodzą,  
A w czasie wojny zawždy synowie się rodzą".

Ledwie ostatnie słowa domówił Gerwazy,  
Gdy poważnymi kroki przystąpił Protazy,  
Skłonił się i wydobył z zanadru kontusza  
Panegiryk ogromny, w półtrzecia arkusza.  
Skomponował go rymem podoficer młody,  
Który niegdyś w stolicy sławne pisał ody,  
Potem wdział mundur, lecz i w wojsku beletrysta,  
Wiersze rabiął - już Woźny przeczytał ich trzysta,  
Aż gdy przyszedł do miejsca: "O ty, której wdzięki  
Budzą bolesną radość i rozkoszne męki!  
Która na szyk Bellony, gdy zwrócisz twarz piękną,  
Złamią się wnet oszczepy i tarcze rozpęką,  
Zwalcz dziś Marsa Hymenem; srogiej niezgód hydrze  
Niech dłoń twoja syczące z czoła zmije wydrze!" -  
Tadeusz i Zofija ustawnie klaskali  
Niby chwając, w istocie nie chcąc słuchać dalej;  
Już z rozkazu Sędziego pleban stał na stole  
I ogłaszał włościanom Tadeusza wolę.

Zaledwie usłyszeli nowinę poddani,  
Skoczyli do panicza, padli do nóg pani,  
"Zdrowie Państwu naszemu!" ze łzami krzyknęli;  
Tadeusz krzyknął: "Zdrowie Spółobywateli,  
Wolnych, równych, Polaków!" - "Wnoszę Ludu zdrowie!"

Rzekł Dąbrowski, lud krzyknął: "Niech żyją Wodzowie,  
Wiwat Wojsko, wiwat Lud, wiwat wszystkie Stany!"  
Tysiącem głosów zdrowia grzmiały na przemiany.

Tylko Buchman radości podzielać nie raczył,  
Pochwalał projekt, lecz go rad by przeinaczył,  
A naprzód komisją legalną wyznaczył,  
Która by - krótkość czasu była na zawadzie,  
Że nie stało się zadość Buchmanowej radzie.

Bo na dziedzińcu zamku już stali parami  
Oficery z damami, wiara z wieśniaczkami:  
"Poloneza!" krzyknęli wszyscy w jedno słowo.  
Oficerowie wiodą muzykę wojskową;  
Ale pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:  
"Kaź Pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała,  
Wiesz, że dzisiaj synowca mego zaręczyny,  
A dawnym obyczajem jest naszej rodziny  
Zaręczać się i żenić przy wiejskiej muzyce.  
Patrz, stoi cymbalista, skrzypak i kozice;  
Pocziwi muzykanci - już się skrzypak zżyma,  
A kobeźnik kłania się i żebrze oczyma;  
Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;  
Lud przy innej muzyce nie potrafi skakać,  
Niechaj ci zaczną, niech się i lud podweseli,  
Potem będziem wybornej twej słuchać kapeli".  
Dał znak.  
Skrzypak u sukni zakasał rękawek,  
Ścisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek  
I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.  
Na to hasło stojący obok kobeźnicy,  
Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem  
Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem;  
Myśliłbyś, że ta para w powietrze uleci,  
Podobna do pyzatyńskich Boreasza dzieci.  
Brakło cymbałów.  
Było cymbalistów wielu,  
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu  
(Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,  
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).  
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie  
Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.  
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały,  
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,  
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;  
Kłaniając się umyka; gdy to Zosia widzi,  
Podbiega i na białej podaje mu dłoni

Drażki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni;  
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska  
I dygając: "Jankielu, mów, jeśli łaska,  
Wszak to me zaręczyny, zagrajże Jankielu,  
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mym weselu?"

Jankiel niezmiernie Zosię lubił, kiwnął brodą  
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,  
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,  
Kładą mu na kolanach, on patrzy z rozkoszą  
I z dumą; jak weteran w służbę powołany,  
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,  
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,  
Lecz uczył, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,  
Stroją na nowo struny i próbując brzęczą;  
Jankiel z przymrużonymi na poły oczyma  
Milczy i nieruchome drażki w palcach trzyma.

Spuścił je, zrazu bijąc taktem tryumfalnym,  
Potem gęściej siekł struny jak deszczem nawalnym;  
Dziwią się wszyscy - lecz to była tylko proba,  
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drażki oba.

Znowu gra: już drżą drażki tak lekkimi ruchy,  
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,  
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.  
Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.  
Spójrzął z góry, instrument dumnym okiem zmierzył,  
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drażki uderzył,  
Zdumieni się słuchacze...  
Razem ze strun wiela  
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela  
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki.  
Brzmi Polonez Trzeciego Maja! - Skoczne dźwięki  
Radością oddychają, radością słuch poją,  
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją -  
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,  
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły  
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali  
Zgodzonego z narodem króla fetowali;  
Gdy przy tańcu śpiewano: "Wiwat Król kochany!  
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!"

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,  
A wtem puścił fałszywy akord jak syk węża,



Jak zgrzyt żelaza po szkłe - przejął wszystkich dreszczem  
I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem.  
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,  
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?  
Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie trąca  
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyję zmaça,  
Coraz głośnieję targając akord rozdasany,  
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany;  
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica  
I krzyknął: "Znam! znam głos ten! to jest Targowica!"  
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca;  
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaça,  
Porzuca prymy, bieży z drażkami do basów.

Słysząc tysiące coraz głośniejszych hałasów,  
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słysząc wystrzały,  
Jęk dzieci, płacze matek. - Tak mistrz doskonały  
Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,  
Przypominając sobie ze łzami boleści  
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i z powieści,  
Rade, że mistrz na koniec strunami wszystkimi  
Zagrzmiał, i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,  
Znowu muzyka inna - znów zrazu brzęczenia  
Lekkie i ciche, kilka cienkich strunek jęczy,  
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.  
Lecz strun coraz przybywa, już rozpierzchnęły tony  
Łączą się i akordów wiążą legijony,  
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,  
Tworząc nutę żalną tej sławnej piosenki:  
O żołnierzu tułaczu, który borem, lasem  
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,  
Na koniec pada u nóg konika wiernego,  
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.  
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!  
Poznali ją żołnierze, wiara się skupiła  
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie  
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie  
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;  
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,  
Po łąkach, morzach, piaskach gorących i mrozie,  
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie  
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.  
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy.

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,

Nateża, takty zmienia, coś innego głosi.  
I znowu spójrział z góry, okiem struny zmierzył,  
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:  
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,  
Ze struny zadzwoniły jak trąby mosiężne  
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,  
Marsz tryumfalny: Jeszcze Polska nie zginęła!...  
Marsz Dąbrowski do Polski! - I wszyscy klasnęli,  
I wszyscy: "Marsz Dąbrowski!" chorem okrzyknęli!  
Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,  
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce,  
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,  
Powiewała poważnie broda podniesiona,  
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,  
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca,  
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,  
Zakrył rękami, spod rąk łez potok się rzucił:  
"Jenerale, rzekł, Ciebie długo Litwa nasza  
Czekała - długo, jak my Żydzi Mesyjasza,  
Ciebie prorokowali dawno między ludem  
Śpiewaki, Ciebie niebo obwieściło cudem,  
Żyj i wojuj, o, Ty nasz!..." Mówiąc ciągle szlochał,  
Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!  
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,  
On, czapkę zdjawszy, wodza rękę ucałował.

Poloneza czas zacząć. - Podkomorzy rusza  
I z lekka zarzuciwszy wyloty kontusza,  
I wąsa podkręcając, podał rękę Zosi  
I skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.  
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi,  
Dano hasło, zaczęto taniec - on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskają buty,  
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,  
A on stąpa powoli, niby od niechcienia;  
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia  
Można tancerza czucia i myśli wyczytać: -  
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,  
Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;  
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha,  
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,  
Dama raczyła spójrzeć, lecz milczy upornie;  
On krok zwalnia, oczyma jej spójrzenie śledzi  
I zaśmiał się na koniec, - rad z jej odpowiedzi  
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów z góry  
I swą konfederatkę z czaplinoimi pióry

To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,  
Aż włożył ją na bakier i podkręcił wąsa.  
Idzie, wszyscy zazdroszczą, biegną w jego ślady,  
On by rad ze swą damą wymknąć się z gromady;  
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi  
I żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;  
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,  
Odmienia drogę, rad by towarzyszków zmylić,  
Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty  
I zewsząd obwijają tanecznymi skręty;  
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,  
Jakby rzekł: "Nie dbam o was, zazdrośnikom biada!"  
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku  
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,  
Ustępują mu z drogi, - i zmieniwszy szyki,  
Puszczają się znów za nim.  
Brzmia zewsząd okrzyki:  
"Ach, to może ostatni! patrzcie, patrzcie, młodzi,  
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!" -  
I szły pary po parach hucznie i wesoło,  
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,  
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów;  
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów  
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,  
Wyzłocona promieniami zachodniego słońca  
I odbita o ciemne murawy węzłowia.  
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Tylko kapral Dobrzyński Sak ani kapeli  
Nie słucha, ani tańczy, ani się weseli,  
Ręce w tył założywszy stoi zły, ponury,  
Wspomina swe dawniejsze do Zosi konkury:  
Jak lubił dla niej nosić kwiaty, pleść koszyczki,  
Wybierać gniazda ptasie, robić zauszniczki.  
Niewdzięczna! chociaż tyle pięknych darów strwonił,  
Choć przed nim uciekała, choć mu ojciec bronił!  
On jeszcze! ileż razy na parkanie siadał,  
By ją dójrzeć przez okna; w konopie się wkradał,  
Żeby patrzeć, jak ona pleła swe ogródki,  
Rwała ogórki albo karmiła kogutki.  
Niewdzięczna! spuścił głowę i na koniec świsnął  
Mazurka; potem kaszkiet na uszy nacisnął  
I szedł w obóz, gdzie stała przy armatach warta;  
Tam dla rozerwania się zaczął grać w druźbarta  
Z wiarusami, kielichem osładzając żalność.  
Taka była dla Zosi Dobrzyńskiego stałość.

Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszej parze,  
Ledwie widna z daleka; na wielkim obszarze  
Zarosłego dziedzińca, w zielonej sukience,  
Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,  
Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,  
Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem  
Zgadniesz, gdzie jest, bo ku niej obrócone oczy,  
Wyciągnięte ramiona, ku niej zgiełk się tłoczy.  
Darmo się Podkomorzy zostać przy niej sili,  
Zazdrościcy już z pierwszej pary go odbili;  
I szczęśliwy Dąbrowski niedługo się cieszył,  
Ustał ją drugiemu, a już trzeci śpieszył,  
I ten, zaraz odbity, odszedł bez nadziei.  
Aż Zosia, już strudzona, spotkała z kolei  
Tadeusza, i dalszej lękając się zmiany  
I chcąc przy nim pozostać, zakończyła tany.  
Idzie do stołu gościom nalewać kielichy.

Słońce już gasło, wieczor był ciepły i cichy,  
Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,  
U góry błękitnawy, na zachód różany;  
Chmurki wróżą pogodę, lekkie i świecące,  
Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,  
Ówdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek.  
Na zachód obłok na kształt rąbkowych firanek,  
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,  
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,  
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,  
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał:  
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło  
I raz ciepłym powiewem westchnąwszy - usnęło.

A szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi:  
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,  
Wreszcie z kolei wszystkich trzech par zaręczonych,  
Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszonych,  
Wszystkich przyjaciół, których kto żywych spamięta,  
I których zmarłych pamięć pozostała święta!

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,  
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem.